



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

STYCZEŃ - LUTY 1 (54) 2000

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOSNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH · WROCŁAW



Lwy przed Ratuszem Lwowskim w zimowej szacie.

Fot. A. Kaminski

Spis treści

I co dalej...? – Jerzy Masiór	1
Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie u progu nowego tysiąclecia – Andrzej Chlipalski	4
Świąteczna pomoc z Wrocławia dla Polaków za wschodnią granicą – Danuta Nespiak	5
Wykaz Ofiarodawców na pomoc świąteczną (Boże Narodzenie 1999 r.) dla Rodaków ze Lwowa i Stanisławowa	6
Wspomnienia (c.d.) VI – Franciszka Grodecka	6
58 dni we Lwowie we wspomnieniach z 1939 r. – Tadeusz Heimrath	8
Przed narodzinami Lwowa – Danuta Nespiak	12
JEDNA TYLKO CHWILA – wiersz – Jerzy Masiór	13
Podolski wrzesień – Zofia Różańska	13
Opowiadania Mamy... – Alfred Janicki	14
KRESOWE KOŚCIOŁY	
Matka Boża Łucka znowu w katedrze Wołynia – Tadeusz Kukiz	16
Zofia Konrad-Głuzińska	17
„Pierwszy generał wśród przemysłowców”. Z działalności gospodarczej gen. T. Rozwadowskiego – Mariusz Patelski	19
Sąd Okręgowy II-giej Rzeczypospolitej w Czortkowie – Tadeusz Błażyński (Wetherby – Anglia), Jerzy Stoszek (Warszawa)	20
Polskie przedszkole przy Klasztorze Sióstr Sacré Coeur we Lwowie w latach okupacji hitlerowskiej (1943-1944)	22
LISTY DO REDAKCJI	
List z Sosnowca od pana Jerzego Fica do Redakcji „Semper Fidelis” we Wrocławiu	24
List z Gdańska od pana Tadeusza Riedla do Redakcji Semper Fidelis	25
List z Warszawy od Dyrektora Generalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych pana Michała Radlickiego do Pana Andrzeja Kaminskiego Prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich we Wrocławiu	25
List z Nowego Sącza od pana Jerzego Masiora do Szanownego Pana Redaktora	26
List z Jasła od pana Albina Pietrusa do Towarzystwa Miłośników Lwowa Zarząd Główny	27
Odpowiedź od Dyrektora Gabinetu Marszałka Senatu Rzeczypospolitej Polskiej prof. dr. hab. Jerzego Pietrzaka na list pana Albina Pietrusa	27
Lwowski śmiech czasów Apokalipsy – Stan Scheller	27
Moje przemyslenia – Janusz Ragankiewicz	30
Informacje, regulamin i program i karta zgłoszenia uczestnictwa do VIII-go OGÓLNOPOLSKIEGO DZIECIĘCEGO FESTIWALU PIOSENKI LWOWSKIEJ „TA JO!” – Leszno 2000”	31
Informacje, regulamin i karta zgłoszenia do II OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU POLSZCZYZNY LWOWA	
I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH pn. „WIELKIE BAŁAKANIE – WĘGLINIEC 2000”	32
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW	
Dziesiąte recytacje kresowe w Brzegu – Zbigniew Grata	33
Otwarcie wystawy w Katowicach – opracował Andrzej Michniewski	34
Orlętom Lwowskim	34
Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Tarnobrzegu – Jan Rawski	35
Świdwiński V Wieczór Poezji i Piosenki Lwowskiej – Mieczysław Kostur	36
List z Gniezna do Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich we Wrocławiu	36
WCZORA, DZIŚ, JUTRO	
Kronika Kresowa – Zbigniew Umański	37
„Z Trembowelskiego Raptularza – 1997” II cz. – Józef Dobrowolski	41
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Stanisław Adamski (1916-1999)	43
Śp. ks. biskup Antoni Adamiuk (1913-2000)	45
Ksiądz prałat Józef Ferensowicz (1915-1999)	45
Śp. Michał Koziański (22.6.1924-4.1.1999)	46
Śp. Adam Lewicki (8.03.1924-8.02.2000 r.)	47
ZAPAMIĘTAJCIE TO WSZYSCY – wiersz – Jerzy Masiór	47
PRO MEMORIA – pamięci profesora Jerzego Łanowskiego – Janina Augustyn-Puziewicz	48
Wspomnienie o Księdzu prof. dr. med. Henryku Mosingu	48
Śp. Bronisław Radomski (1922-2000)	51
Ostatnie spotkanie – wiersz – Jadwiga Sibiga	51
WŚRÓD KSIĄŻEK	52
APELE	52
Poszukiwani	52

Czasopismo jest współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Wydawca: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej).
Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”: Zarząd: D. TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Z. BAKULIŃSKA, Z. UMAŃSKI. PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masiór

I co dalej...?



Fot. Józef Drzazga

Zjazd Prezesów w Brzegu 97

Czas może być i jest funkcją. Może być elementem wzoru matematycznego, jak również może być dylematem astro-fizycznym rozważań o jego początku i końcu. Może on jednakże być funkcją odmienną – metaforyczną, lub realistyczną naszej pamięci, marzeń, nadziei, spełnień. Rozważania o czasie można także prowadzić w kategoriach utylitarnych. I często tak się dzieje, padają określenia: „Nie mam czasu”, „Mamy czas – nie pali się”, „Oh, te zamierzchłe czasy”, „Minuty się liczą”, lub zupełnie przeciwnie: „Rozkładałam to na lata”. Można by mnożyć te powiedzenia, w których upływ czasu determinuje nasze czynności te już dokonane i te w przyszłości; wręcz określa życie. Czas bywa w tych razach funkcją mniej lub więcej policzoną, oczywiście zależną od wielu napotkanych okoliczności, ale także niewiadomą, bądź spodziewaną, mogącą być przyjętą za tezę, co pomaga w osiągnięciu właściwej wartości po drugiej stronie znaku równości: tam, gdzie onegdaj postawiliśmy znak zapytania.

Wkraczamy w 2000 rok. Jak nagłaśniają wszystkie publikatory – ma to być czas przełomu. Nikt nie wie dokładnie jakiego i czego, poza zróżnicowaniem podatków, możemy się spodziewać. Czasy nadeszły – wbrew oczekiwaniom – niestabilne. Ludzie zapędzeni, miotani szybkością i różnorodnością zdarzeń jak trzciny na wietrze nie potrafią niejednokrotnie określić siebie i świata, bywa, że bardzo bliskiego. Nieomal każdy dzień, a już najwyższy tydzień rodzi tyle pomysłów na urządzenie przyszłości, na odczytywanie przeszłości, że udźwignąć i objąć tych pomysłów nie sposób. Czas, który nadszedł – przełom wieku i tysiącleci, będzie jednak czasem pytań. Nastąpiła szczególna okoliczność stawiania pytań koniecznych, egzystencjalnych, ale też i tych mniej ważnych, do osobistych odgadywań.

My lwowianie i kresowianie mamy swoją enklawę w III Rzeczypospolitej. Wprawdzie ta enklawa to duża diaspóra, a Rzeczpospolita to nie ta, jaka nam się przed 10 laty zwiadywała, ale przecież nieustannie spragnieni jesteśmy siebie i swoich myśli. 60 lat temu zabrano nam Lwów, a my wciąż jesteśmy inni i wytrwali w pojmowaniu rzeczy i zjawisk. Mamy swój klucz do odczytywania prze-

szłości i współcześnie nam biegnącego czasu. Nie jesteśmy hermetyczni, spieramy się o nasze racje otoczeni najczęściej falą obojętności, bądź przekornego – na swój polityczny pożytek – odczytywania historii. Niekiedy bywamy „po lwowski” ekstremalni i sami wciągamy się w pułapki prymitywnych i swarliwych działań. Jeszcze nie wystygła w nas krewkość lwowskiego Rynku, Krakidałów i rogatek. Bywa także i tak, że prywatnie zgłasza pierwszeństwo, nad kresową wspólnotą. A tu za drzwiami nadchodzi pora, by pozbierać w zgodzie największą przeszłość i teraźniejszość na przyszłość. Tę przyszłość zbudowaną na nadziejach, ale i realiach nas otaczających. Nadeszła potrzeba chwili, by przystanąć, by zamyślić się jak bardzo jesteśmy doświadczeni, ale mimo upływu lat niepewni i niezbyt trafnie przewidujący. Przemądrzali prorocy na pewno są wśród nas. Skoro jednak stawiamy sobie wspólne mielenijne pytanie: „co dalej?”, to postaram się moim Czytelnikom opowiedzieć jak to widać z mojego podwórka, pagórka (bo wyżej – lepiej widać), żeby nie powiedzieć: z mojego wysokiego zamku. W tym patrzeniu chodzi o Lwów, który jest i będzie. Dla nas to przecież dziś tylko hasło, którego przemyślenia i inspiracje trzeba widzieć o tym czasie ostrzej, jak na koniec wieku przystało.

A więc zacznijmy od tego co najważniejsze. Moim zdaniem, to nie jest Cmentarz Orląt, lecz losy naszych Rodaków w Mieście i na Kresach. Ich trwanie w polskości. Bywam we Lwowie na tyle często, że rozeznanie w tych sprawach mam dość dobre i wierzę mi, że wszelakie formy i sposoby trwania tam obywateli Ukrainy, mówiących i czujących po polsku, jest sprawą nieocenioną wprost wagi. Jest działaniem ich i naszym najpierwszym. Z minionych lat na tym polu działań musimy jednakże wyciągnąć mądre i konkretne wnioski. Oceniam, że to co robiliśmy dotychczas „na tym kierunku”, było to działanie wprawdzie z najlepszych intencji, „od serca”, ale chaotyczno-spontaniczne, nie wyzbyte nutek egzaltacji, najczęściej nie na miarę potrzeb. A o te potrzeby właśnie najbardziej chodzi. To oczywiste, że nasze Towarzystwo ze względów materialnych i organizacyjnych nie jest w stanie być skutecznym pośrednikiem między nimi a nami. Jednakże trochę ruchów sensownych dotychczas wykonaliśmy: zaistniał plan pomocy parafiom, a tym samym skupiskom Polaków, sponzorowany przez A. Chlipalskiego. Brak jednak przeświadczenia, że sprawnie zafunkcjonował. Plan zakładał, że najbardziej skuteczne dotarcie do rozsianej we Lwowie i na Kresach polskiej konstelacji, to oparcie się na parafiach rzymsko-katolickich. Niby to i racja, gdyby określonych reguł trzymały się obie strony: darczyńcy i obdarowani. A niestety nie zawsze tak jest. Są różni duchowni po parafiach, a i w naszych oddziałach istnieje „przeciąganie” terytorialnych racji. Czy należy tak dalej? Wołam o STOP dla nawykowego już działania, nieomal rutynowego. Muszą się znaleźć osoby o wysokim i sprawdzonym autorytecie moralnym po obu stronach granicy, by sterować akcjami pomocy, tak aby ona przynosiła maksymalne korzyści wszystkim rodakom. Nie może być np. tak, że działwa z jednego środowiska (szkoły polskie) bywa w kraju kilkakrotnie w ciągu roku, bo taka jest siła przebiecia tych środowisk, a niektóre dzieciaki z bardzo małych i oddalonych od centrum (Lwów) skupisk Polaków jeszcze nigdy granicy pod Mościskami nie przekroczyły. Siłą rzeczy polskie słowo zaczyna się ograniczać do pol-

skiej pieśni kościelnej. Zarząd Główny naszego Towarzystwa i Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, czy ichnia Federacja, muszą wypracować środki, sposoby i zmobilizować ludzi, aby działania na linii Kraj-Wschód (np. Ukraina) było niezawodnym sprzężeniem, działającym bez potknięć nieodłącznie towarzyszącym spontaniczności i wybuchom jednorazowej egzaltacji (znam takowe), dysponować stałą i niezawodną informacją z dostatecznym wyprzedzeniem, bo to gwarantuje planowanie i organizację. Tak, akcja ta wymaga realnego planowania w oparciu o posiadane środki i możliwości realizacyjne.

Przykład na chaos pierwszy z brzegu: wysyłanie książek szkolnych i pomocy naukowych. To co było dotychczas, jest wysterowane taką dozą spontaniczności i brakiem rozeznania potrzeb, że graniczy ze spalaniem chęci w ogniu ignorancji. Dorośli i dzieci na Ukrainie, nawet tej zachodniej, nie czytają wszystkiego „jak leci”, bo albo nie potrafią, albo i nie ta tematyka, albo inna jakaś przyczyna. A tych może być wiele. Już nie jest tak, że istnieje głód polskiej książki. Przez 10 lat podstawowe braki jakoś tam załatwiliśmy. Niestęchanie istotna jest pomoc w podręcznikach szkolnych. Nauka w szkołach, nawet polskich, jest prowadzona nie wg programów naszego MEN, lecz władz oświatowych ukraińskich. Te programy rzadko do siebie przystają. Jest rzeczą dość powszechnie znaną, zwłaszcza osobom kwalifikującym młodzież ze szkół średnich na Ukrainie na studia wyższe w Polsce, że poziom jej wiedzy jest niewystarczający i potrzeba niekiedy dobrej woli komisji i wiary w sygnalizowane zdolności kandydata, by przyjęcie na uczelnię zaakceptować. Nie dziwny się: za szkolnictwem na Ukrainie ciągnie się jeszcze swąd radzieckiej „dziesięciolatki”. A co tu mówić o nauczaniu w tzw. szkołkach sobotnio-niedzielnich prowadzonych przez parafie lub bardziej okrzepłe środowiska polskie. Trudno tam rozprawiać o programach, bo chyba nikt takowych dla tego typu nauczania nie wypracował. Trzeba pamiętać, że ten typ nauczania obejmuje znacznie więcej chętnych (tak dziatwy jak i dorosłych) niż wynosi ilość uczniów w obu polskich szkołach we Lwowie. Więc pytanie o to co dalej z nauczaniem na tamtejszych terenach jest pytaniem zasadniczym, pytaniem o przetrwanie polskości. Symbolem tego przetrwania nie powinien więc być nieustanny od lat i jakże mozolny trud nad odbudową cmentarza Obrońców Lwowa 1918 r. Potrzebne tu jest myślenie perspektywiczne, a ono nasuwa niezbyt optymistyczne wnioski. Lwów jest i zapewne długo jeszcze będzie wskaźnikiem nastrojów i sformułowań idei politycznych, zdecydowanie nam Polakom nieprzychylnych, opartych na historycznych nieprawdach, na naginaniu słów do głoszonych treści. Tam, we Lwowie ustawicznie powstają zawirowania klimatu politycznego. W kraju mamy także dowody na urabianie klimatu wokół racji polsko-ukraińskich. Aby nie być gołosłownym radzę Czytelnikom przeczytać w dodatku do „Rzeczypospolitej” „+ PLUS – MINUS” z dnia 27/28 listopada br., na stronie D6 w kolumnie z nadtytułem „Od redakcji” dwa artykuły: „POLACY DZIWNY NARÓD” Oleha Puszkara z Warszawy i „MILCZENIE NIE GOIRAN” Piotra Tyma, sekretarza ZG Związku Ukraińców w Polsce. Doprawdy nie wiem czym kierowała się redakcja o tak zobowiązującym tytule polskiego dziennika, by zamieszczać na swoich łamach treści, z których wynika, że „Polska była potężna tylko w okresie współpracy z Ukra-

iną” i gdyby nie udział Zaporozców i innych Rusinów w decydujących polskich bitwach „pod Grunwaldem, Wiedniem, w „cudzie nad Wisłą” i w walce pod Monte Cassino”, to nasze sukcesy militarne nie byłyby tak jednoznaczne. P. Tym domaga się aby mordercy narodowości ukraińskiej, nawet zawodowi – a takich nie brak – przyłapani w Polsce, Ukraińcami nazywani nie byli! Doprawdy, paranoiczne to żądanie. I to wszystko w polskiej, wybitnie opinotwórczej gazecie. Jeżeli takie treści ukazują się w naszej prasie, to cóż dopiero wypisują np. w takim „Wysockim Zamku” we Lwowie, obecnie gnieździe OUN-owskich tradycji i nadal indoktrynacji antypolskiej.

Nie można też być spokojnym o losy pozostawionych na Wschodzie, a szczególnie na Ukrainie – cmentarzy wojennych. Przynajmniej w najbliższych latach, a czas nigdy nie był sprzymierzeńcem grobów. I doprawdy nie wiem jakie są sposoby, by zapobiec temu tragicznemu biegowi spraw, skoro nawet ustalenia prezydenckie nie mają mocy zobowiązującej. Przypominam, że tamtejszy prezydent jest władny wydać dekrety. Czyżby rogatą, lwowsko-ukraińską duszę i te nie potrafiły ujarzmić?

Co w kraju? Sporo zdań temu tematowi poświęciłem w poprzednich felietonach. Dziś chcę o jednym, o nadchodzących wyborach do władz naszego Towarzystwa. W sytuacji zachodzących zmian, w pogarszającej się tu i ówdzie aktywności, bądź jej całkowitym uwiąznię (rozwiązywanie oddziałów i klubów), przy trwającym podziale i sporach kompetencyjnych o nadrzędności polityki nad działalnością merytoryczną – statutową – prezes Zarządu Głównego przyszłej kadencji i jego członkowie nie lada zadania będą mieli do rozwiązania. Tak jest zawsze, gdy struktury porastają historią, rutyną i bezkrytycznym subiektywizmem. Naprawianie, a niekiedy rekonstrukcja zaślanych struktur, jest bardzo trudna. Ale tylko tacy wśród nas, którzy potrafią i udźwigną wyprostowania TML-owskich ścieżek, powinni podjąć się zadań stojących przed nowym Zarządem. Wybierając nowych, nie zapominajmy jednak o tych, którzy się już w wieloletnim działaniu sprawdzili. Taktyczny to błąd negacja wszystkiego „co dotychczas”. Życzę nowemu Zarządowi skutecznego rozwiązywania tych zadań, o których wspominałem wcześniej, ale też i:

1) Na zwrócenie większej niż dotychczas uwagi na młodzież – na tych co po nas. Tu nie chodzi tylko o Festiwal Lwowskiej Piosenki w Lesznie, za którym stale gardłuję. Nie ma lepszego sposobu na wiedzę i wzbudzanie uczuć (to niestety ważne i z psychologicznego punktu widzenia – trudne) jak wycieczki w Tamte strony: na Kresy od południa po północ. Tam wszędzie jest tak ogromnie dużo Polski, a młodzieży w szkole rzadko kto o tym mówi. Cóż może być bardziej ważnego i... odkrywczego dla uczennicy kl. III wrocławskiego LO im. Aleksandra Fredry, niż przystąpienie nad jego grobowcem w Rudkach i zapalenie znicza na katafalku komediopisarza. Jakież zdumienie ogarnia „fredrzanek”, gdy spostrzeża na tymże katafalku wcześniej złożone tu wieńce od nowosądeckiego, IV LO, ale imienia... Bolesława Chrobrego. Przypuszczam, że uczucie jej osobistej satysfakcji z tego, że ona tu dotarła, musi się mieszać z uczuciem wstydu, bo liceum wrocławskie jeszcze nigdy tu nie było, nie miało lekcji literatury właśnie tu, w rudeckiej kaplicy! Niech Ci nie będzie wstyd, Bożenka – to nie Twoja wina, ale Twoich pro-

fesorów języka polskiego i wielu takich profesorów w Polsce, bo przecież „fredrowskich” szkół jest więcej. Apeluję do dyrektorów tych szkół: przyjeżdżajcie do Rudek (to jednodniowy wypad z Przemyśla, z noclegiem tamże), przyjeżdżajcie do Lwowa, Krzemieńca, Zbaraża, ale także i na Białoruś, do Grodna, Nowogródka, Tuchanowicz no i do prześlizgnięcia Wilna gdzie „Matka i serce Syna”, gdzie drugie polskie Campo Santo po Orłętach na Łyczakowie. Nic bardziej sentymentalnego, ale i pouczającego jak lekcje literatury i historii (a może i geografii), niż woda zaczerpnięta i przywieziona do szkoły ze Świtezi, zasuszony, jesienny liść z Tuhanowicz, kolorowy krzemień z łąk nad Ikwą. To są te drogowskazy sentymentalne, które dowodzą młodym, że „w dobie atomu, komputera i dyskoteki chcemy jednak pozostać ludźmi” jak powiedział, wyczuwający nastroje swojej młodzieży, dyrektor IV LO w Nowym Sączu, a jednocześnie niestrudzony organizator wycieczek dla niej na Kresy i najlepszy tam literacki cicerone – mgr Bogusław Kołcz.

2) Przeniesienie naszych pielgrzymkowych, dorocznych spotkań tam gdzieśmy je zaczynali – do Częstochowy. Dedykuję tę prośbę nie tylko naszemu Zarządowi Głównemu, ale i kapelanowi Towarzystwa ks. Januszowi Popławskiemu, który zapewne ma u OO. Paulinów przetarte ścieżki.

3) Zjednoczenie Towarzystwa. Niech nawet zaistnieje „frakcja polityczna”, skoro niektórzy z nas są przekonani, że na tej drodze uzyskamy większą niż dotychczas, akceptację kresowian w społeczeństwie polskim, bo z tym rzeczywiście nie jest najlepiej. I to nawet w środowiskach inteligentnych i twórczych. Wydaje mi się, że owo angażowanie się polityczne wymaga powszechnie akceptowanych liderów, a także oparcia się na dotychczasowych doświadczeniach Funduszu Organizacji Kresowych i jej dostępie do parlamentu. Niewiele jest takich wśród nas, którzy gorzej ogniem polityki, a co najważniejsze: umieją się w jej meandrach poruszać, tym bardziej, że istniejące realia parlamentarne i rządowe (MSZ) od lat sygnalizują dość wyraźnie swą nieprzychylność. Nie wiem, czy jakimś sposobem na bardziej zdecydowane i skuteczne, satysfakcjonujące nas wszystkich działanie – jest odmłodzenie Towarzystwa, jak to sugerują niektórzy. Pytam więc: gdzie są ci młodzi? Niestety popełnialiśmy przez 11 lat stale ten sam błąd: w naszych Oddziałach i Klubach nie potrafiliśmy przyciągnąć pokoleń średniego i młodego. Nawet naszych dzieci (ja też nie potrafiłem!). Zresztą w robocie politycznej nie młodość i chęci, a doświadczenie się liczy.

4) Ożywmy makroregiony. Na placu boju pozostał tylko jeden: południowo-wschodni z nieformalną stolicą w Tarnowie, za to powszechnie akceptowanym „wodzem”, p. inż. Adamem Lewickim. Makroregiony są tą platformą spotkań organizacyjno-koleżeńskich, które nie tylko, że jednoczą naszą lwowsko-kresową społeczność i właśnie stamtąd powinny wychodzić pomysły na trwanie.

5) Jaka ma być nasza prasa i nasze wydawnictwa. Niepokoi spadek czytelnictwa. „Semper Fidelis” miał w moim Oddziale 20 stałych odbiorców, a dziś z trudem sprzedajemy 10 egzemplarzy. Podobnie jest z „Cracovia-Leopolis”. Warszawski „Biuletyn Informacyjny” dociera w jednym egzemplarzu i to chyba tylko dlatego, że mnie tam od czasu do czasu drukują. Podobnie jest z książkami o kresowej tematyce, których ostatnimi laty ukazuje się w księgarniach

sporo, ale nie znajdują one nabywców. Nie sądzę, aby ich cena była tu barierą czytelnictwa. Na ogół dotychczas nie żałowaliśmy grosza na czytanie wszystkiego co przepełnione jest opisami i wspomnieniami STAMTĄD. Skąd więc ten spadek czytelnictwa? Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie, ale wydaje mi się, że należałoby przemyśleć treści zamieszczanych np. w czasopismach artykułów. Może mniej pamiętnikarstwa, niekiedy bardzo osobistego, a więc nie wzbudzającego żywszego zainteresowania. Osobiście lubię patrzeć na krainę młodości cudzymi oczyma. To wzbogaca. Jednakże spora liczba czytających poszukuje treści bardziej uniwersalnych. Wydaje mi się, że za mało mamy w naszych czasopismach aktualności stamtąd. Kolejne doniesienia o niepowodzeniach przy odbudowie Cmentarza Orłąt nie zastępują bieżących reportarzy ze Stryja, Stanisławowa, Tarnopola, czy chociażby z Sambora lub Kołomyi. Tam przecież są Oni – Rodacy. I ich sprawy. Jakże często dowiadujemy się o ich trwaniu z serdecznych apeli o pomoc w budowie świątyni lub zafunkcjonowaniu polskiego przedszkola. Dobre i to, ale lukę informacyjną należałoby chyba wypełnić „siecią” tamtejszych korespondentów. Trzeba ich ośmielić do pisania korespondencji, uwzględnić redakcyjną korektę, zwłaszcza językową, bo obawiam się, że z tym może być nie najlepiej. Jednakże język Rodaków z Kresów nie powinien być żadnym hamulcem dla pozyskiwania wiadomości ze wszystkich zakątków, gdzie i nasze upływały lata. Może to przybliżyłoby możliwości włączenia się w nurt tamtejszych realiów, tamtejszego sposobu na przetrwanie...

Tyle na dziś pytań – zda się podstawowych. Wiem, że jest ich więcej, ale niechże i Czytelnicy mają swoją rubrykę. Ja byłbym szczęśliwy, gdyby któryś z dyrektorów szkół w Polsce zapytał mnie jak trafić do domu Brunona Schulza w Drohobycz, albo nad Ikwą w Krzemieńcu. Niechże krzemieni na tamtejszych łąkach nie zbiera tylko młodzież z IV LO z Nowego Sącza. I tu ja stawiam pytanie: ile jest szkół im. Juliusza Słowackiego w Polsce i które z nich trafiły nad Ikwę, albo pod Liceum Krzemienieckie? Ale mam też pytanie drastyczniejsze, nasze, wewnętrzne. Ile szkół im. Orłąt Lwowskich było we Lwowie i złożyło wieniec na płycie Nieznanych z Persenkówki. Pytam też o kulisy braku Domu Polskiego we Lwowie. Niech mi na to pytanie odpowie redakcja „Gazety Lwowskiej”, o której dotychczas nie wspominałem, za co przepraszam. Uważam, że tylko Wy, tam pod Kopcem, wiecie co na Kajzerwaldzie i Pohulance w trawie piszczy! Chciałbym też wiedzieć, co ze szkołą w Strzelczyskach, bo w naszych publikatorach to raz on się buduje, a najczęściej nie! Niech nam odpowie ksiądz Andrzej Rams. Chciałbym też usłyszeć z Rynku 17 we Lwowie, czy są przygotowani aby centralnie „wysterować” akcję kolonijną dla ich dzieci i młodzieży u nas, a wśród nich dla gromadki dziatwy polskiej z mojego Chodorowa? Nowy Sącz przygotowuje się do organizacji ich kolonii wakacyjnej, więc pytanie to jest bardzo pilne.

PS. Przed chwilą miałem telefon ze Lwowa. Zmarł prof. dr Mosing, pomnikowa postać tamże. Tylko czego: medycyny, ducha, trwania... Pytanie więc najbardziej aktualne: jaki będzie polski Lwów bez niego?

Nowy Sącz, w grudniu 1999

Andrzej Chlipalski

Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie u progu nowego tysiąclecia

Łuck był w dniach 20-21 listopada '99 miejscem III Sejmiku Organizacji Polskich, działających na terenie państwa ukraińskiego. Celem zjazdu było zamknięcie II i otwarcie III kadencji Zarządu Federacji OP. Mimo zimowych warunków, do stolicy Wołynia zjechały ponad dwie setki delegatów i sporo gości z obu stron pojałtańskiego kordonu.

Przypomnijmy, że Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie powstała w 1992 r. i skupia 115 ośrodków (do Federacji należy również Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z 16 oddziałami). Prezesem Federacji od samego początku jej istnienia jest p. Emilia Chmielowa, dobrze znana – z najlepszej strony – nie tylko Polakom w Małopolsce Wschodniej oraz rozsianym od Gródka Podolskiego po Berdiańsk nad Morzem Azowskim i od Kijowa po Sewastopol na Krymie. Pani prezes jest też dobrze znana w ministerstwach, centralnych urzędach w Warszawie, w licznych instytucjach i organizacjach całej Polski, szczególnie w Krakowie, gdzie – zawdzięczając swym kompetencjom, rzetelności i oddaniu sprawom Polaków na Wschodzie (a może i dzięki urokowi osobistemu) – udaje jej się załatwić wiele ważnych spraw na korzyść ponad milionowej rzeszy Rodaków, odłączonych od Macierzy.

Ze strony RP na III Sejmik przybyli: senator S. Gogacz z Lublina, poseł P. Miszczuk z Chelma (zarazem prezes tamt. „Wspólnoty Polskiej”), konsul generalny ze Lwowa Piotr Konowrocki; w imieniu „Wspólnoty Polskiej” dr Krystyna Gąsowska, członek Zarządu Krajowego i zarazem dyrektor oddziału „Wspólnoty Polskiej” w Krakowie, dyr. Adam Bekisz z Zarządu Krajowego w Warszawie, a wraz z nimi Andrzej Chlipalski z oddziału krakowskiego, reprezentując równocześnie TMLiKPW; z Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”: prezes Wiesław Turzański i sekretarz Rafał Dzieciolowski. Radio „Polonia” reprezentowała red. Bogna Kaniewska. Byli też przedstawiciele państwa Ukraina.

Sejmik, poza głównym statutowym celem – rozliczenia dotychczasowej kadencji Zarządu (1996-99) i wyboru nowych władz Federacji, był okazją do złożenia relacji, wymiany zdań, przedstawienia propozycji i projektów, a także interesujących i wzruszających spotkań.

Po oficjalnych wystąpieniach na otwarcie Sejmiku, wspólnej modlitwie pod przewodnictwem ks. prałata Ludwika Kamilewskiego i wygłoszeniu sprawozdań z ubiegłej kadencji – na ich podstawie udzielono ustępującemu zarządowi absolutorium – wysłuchaliśmy wiele ważnych, ciekawych i wzruszających wypowiedzi delegatów. Nie sposób je wszystkie zrelacjonować, kilka wszakże zasługuje na wzmiankę.

Pani prezes Pustelnik opowiadała o Czortkowie. W tym 35-tysięcznym mieście ulokowano w latach powojennych 14 tys. przesiedlonych Łemków. Ludzie ci, obecni we wszystkich władzach i urzędach miasta, są Polsce i sprawom polskim mało życzliwi (ich frustrację można nawet zrozumieć, skoro z Polski ich przeniesiono do ZSRR i tak dalej... – komentarz A.C.). Fakt ten powoduje istotne trudności w działaniu organizacji Polaków.

P. Eugeniusz Dąbrowski z Truskawca zwrócił uwagę na to, że władze ukraińskie, które zaprzestały opłacania nauki języka polskiego w szkołach państwowych (poza nielicznymi wyjątkami), oraz utrudniają zakładanie Domów Polskich, działają sprzecznie z konstytucją swego państwa.

Pani Kostecka z Łucka zaapelowała o tworzenie drużyn harcerskich przy każdej organizacji polskiej i oddziale terenowym. P. Tkaczow z Tarnopola postawił wniosek, by przy Federacji utworzyć dział naukowy, łączący licznych naukowców polskich z tego państwa (pisał o nich kwartalnik „Cracovia-Leopolis” 4/99 – przyp. A.C.).

P. Zieliński, lwowiak żyjący w Donbasie, zaproponował utworzenie polskiej partii politycznej, ta inicjatywa jednak nie zyskała aplauzu.

Delegaci z Czerniowiec, to dr Strutyński, który apelował o organizowanie Domów Polskich, koniecznych dla integracji Polaków (wbrew trudnościom, wspomnianym przez p. Dąbrowskiego) – Federacja powinna upowszechnić tę ideę, oraz pani Kuczabińska, która zwróciła uwagę na potrzebę wydawania lokalnej prasy polskiej, niezbędnej dla Polaków w poszczególnych regionach, bardzo różniących się od siebie (przypomnijmy: Ukraina lewo- i prawobrzeżna, Małopolska Wschodnia, Bukowina, Zakarpacie, Krym – przyp. A.C.). Apeluje o to do „Wspólnoty Polskiej”.

Piszącego te słowa wzruszyły szczególnie dwa wystąpienia: pani Wysockiej z Berdiańska – portu nad Morzem Azowskim, oraz pani Śliwińskiej z Sewastopola. W Berdiańsku żyje ok. 120 Polaków, mają swój kościół (ksiądz z Lublina), dzieci uczą się polskiego. Mają 11 lekarzy pochodzenia polskiego. P. Wysocka jest z urodzenia lwowiaką, osobą w „dawnym, dobrym stylu”, mówiącą po polsku tak, jakby z kraju nigdy nie wyjeżdżała. Była wywieziona na Sybir i tam poślubiła Rosjanina.

W Sewastopolu żyje też ok. 120 rodaków, którzy starają się o zwrot kościoła od wielu lat, dotąd bezskutecznie. Dzieci uczą się po polsku. P. Maria Śliwińska pochodzi z Polaków, osiadłych tu w XIX wieku (pamiętamy, że polscy fachowcy budowali m.in. liczne linie kolejowe w ówczesnej Rosji, w tym na Krymie i Kaukazie – przynosili tam europejską cywilizację). Pani Maria, kobieta 28-letnia walczy o kościół, mimo, iż niebawem przyjedzie z mężem i dwoma synkami na stałe do Polski – Wadowice dają tej rodzinie mieszkanie i pracę.

Mówili ponadto delegaci z Kijowa, Charkowa, Baru, Doniecka, Winnicy, Żytomierza, z Zakarpacia, a także ze Lwowa, Drohobycza, Stanisławowa i jeszcze paru innych organizacji, wchodzących w skład FOPnU.

Po delegatach głos zabrała dr Krystyna Gąsowska, która mówiła o tworzeniu wieloletnich oraz rocznych programów działania organizacji i przedstawianiu tych ostatnich „Wspólnocie Polskiej” we właściwym czasie, nie dalej niż do końca września roku poprzedzającego. Zachęciła do planowania zgodnego z rozsądkiem, ale i z rozmachem – pieniędzy powinno wystarczyć na różne przedsięwzięcia...

W wypowiedziach delegatów, poza sprawami merytorycznymi, poruszano kwestię personalną: wszyscy mówcy opowiadali się za pozostaniem p. Emilii Chmielowej na stanowisku prezesa, podnosząc jej zasługi, inicjatywy, pomoc organizacjom i ludziom, realizację licznych przedsięwzięć społecznych, kulturalnych, sportowych. Problem jednak polegał na tym, że E. Chmielowa prezesowała już w dwóch 3-letnich kadencjach – na tyle pozwala statut. Postawiono przeto wniosek, by odnośne punkty statutu zmodyfikować i tak się stało. Miażdżącą większością głosów uchwalono dopuszczalność trzech kadencji 5-letnich!

Sejmik zakończyły wybory. Do zarządu Federacji zgłoszono 25 kandydatur, z których wybrano, zgodnie ze statu-

tem, 11 osób. Trzeba dodać, że na 227 wydanych kart mandatowych, na E. Chmielową oddano 211 głosów, co z góry przesądziło jej dalszą prezesurę. Wiceprezesami zostali dr Władysław Strutyński z Czerniowiec i Ryszard Zieliński z Donbasu. Z Małopolski Wschodniej do zarządu Federacji, poza lwowiaką Emilią Chmielową, weszli: Adam Chłopek z Drohobycza, Eugeniusz Dąbrowski z Truskawca i Teresa Dutkiewicz ze Lwowa.

Nazajutrz, w niedzielę 21 listopada, w katedrze łuckiej odbyła się uroczysta msza św. w intencji organizacji polskich i ich federacji oraz 17-tysięcznej rzeszy członkowskiej. Odprawił ją i piękną homilię wygłosił ks. prałat Lu-

dwik Kamilewski (ks. biskup M. Trofimiak był nieobecny w Łucku).

Obecność na zjeździe Polaków, odłączonych nie ze swojej winy i woli od Macierzy, była dla każdego z uczestników spotkania, także dla piszącego tę relację, przeżyciem pouczającym, wzruszającym, ale i zobowiązującym. Jest wiele spraw do załatwienia: trzeba je przemyśleć, przedyskutować, zrealizować. To wspaniały bodziec do aktywności, wyjścia poza działania rutynowe, czasem nie najważniejsze. Także do odrzucenia podziałów, trafiających się po tej i po tamtej stronie. Weźmy to pod uwagę. □

Danuta Nespiak

Świąteczna pomoc z Wrocławia dla Polaków za wschodnią granicą

Akcję pomocy zorganizowała Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” we Wrocławiu, na konto której, po apelu zamieszczonym w prasie i telewizji wrocławskiej oraz Telewizji „Polonia”, napłynęły pieniądze od ofiarnych ludzi dobrego serca. Ogółem wpłynęło ponad 4 tys. zł. Przyjechalismy do Lwowa 20 grudnia 1999 r. – Danuta Nespiak i Jerzy Tandecki. Powitała nas tam zima, prawie przedwiojenna – skrzący, srebrny śnieg, mróz i oczekujące nas polskie małżeństwo ze Lwowa. Nazajutrz o godz. 10-tej byliśmy już w Konsulacie Generalnym RP gdzie przemilała pani konsul Maria Hanuza (wrocławianka) wręczyła nam listę z nazwiskami najuboższych lwowskich i podlowskich Polaków. Znajdowali się na niej ludzie, przeważnie kobiety w podeszłym wieku, dla których nasza pomoc była jedyną możliwością przygotowania wigilii, tak by nie być głodnym i by na stole obok chleba znalazła się jakaś potrawa będąca wspomnieniem dawnych Świąt Bożego Narodzenia.

Polacy we Lwowie i na byłych Kresach, zwłaszcza ludzie starzy, samotni są bardzo biedni. Nie tylko z racji ubożuchnej emerytury, ale będącej jej konsekwencją sytuacji, w której brak pomocy żywnościowej czy medycznej nie daje nadziei na dalsze przeżycie.

Kryzys gospodarczy na Ukrainie odbija się fatalnie na sytuacji rodzin. Polskie rodziny wielodzietne również dopisaliśmy do naszej listy – liczyła ona przeszło 120 osób.

Natomiast do Stanisławowa (obecnie Iwanofrankowsk) zawieźliśmy oprócz pieniędzy również leki przeciwgrypowe i witaminy, które były darem pp. Szostaków, właścicieli apteki „Medicamentum” w Obornikach Śl. (rodzina ma lwowskie korzenie) oraz lekarstwa przeciwgruźlicze.

Bardzo serdecznie dziękujemy wszystkim ofiarodawcom indywidualnym, dziękujemy ks. Arcybiskupowi Henrykowi Kardynałowi Gulbinowiczowi, Oddziałom TMLiKPW z Kielc i Nysy, wrocławskiemu Okręgowemu Oddziałowi Narodowego Banku Polskiego, Teatrowi Współczesnemu we Wrocławiu za odzew na nasz apel.

Dziękujemy również wrocławskiej prasie i telewizji oraz Telewizji „Polonia”, że mogliśmy nasz apel „upublicznić”.

Wypełniliśmy wiernie życzenia ofiarodawców by pomoc finansową przekazać starszym samotnym Polakom i

polskim rodzinom z dziećmi, gdzie pomoc ta była szczególnie ważna.

Na adres Fundacji napływają już liczne podziękowania. Oto niektóre z ostatniej poczty: „Dziękuję serdecznie za pomoc pieniężną w wysokości 50 hrywien, które otrzymałam przed Świątami Bożego Narodzenia. Wraz z mężem wychowuję dziwnie dziecko w wieku szkolnym i przedszkolnym. Wasza pomoc pozwoliła naszej rodzinie radośniej przeżyć święta. Jeszcze raz Bóg zapłać za waszą dobroć. Irena Chmielewska, Lwowska Oblast, Żółtki Rejon, Rawa Ruska ul. Włodzimierza Wielkiego 54”.

Otrzymaliśmy również podziękowanie z Wołynia (pieniądze przekazaliśmy za pośrednictwem p. Emilii Chmielowej we Lwowie, energicznego prezesa Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie). Cytujemy je w całości: „Szanowni Państwo. Kochani Rodacy w Chrystusie! Serdecznie pozdrawiam i składam podziękowanie za udzieloną mi pomoc kwotą 10 dolarów dla wsparcia w okresie rehabilitacji po ciężkiej chorobie. Bóg zapłać. Korzystając z okazji proszę przyjąć w Oktawę Bożego Narodzenia Życzenia pełni Łask Bożych. Najserdeczniejsze życzenia sukcesów i pomyślności w Nowym 2000 roku. Anna Maria Steciak Wiceprezes Zarządu Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu. Łuck, 28.12.1999 r.”.

Mimo, że podziękowania nadeszły na adres naszej Fundacji, to jednak należą się one Wam, Szanownym ofiarodawcom z Wrocławia i innych miast, bo my ofiarowaliśmy tylko trochę naszego zmęczenia i niepokoju, gdy brnąc w śniegu w dzielnicy Lwowa Zamarstynowie wyłączono światło i zostaliśmy w kompletnej ciemności.

Mamy wielką satysfakcję, że dzięki naszej pomocy tyle polskich rodzin mogło godnie spędzić Święta Bożego Narodzenia.

Gdyby ta akcja pomocy naszym Rodakom na Ukrainie mogła stać się stałym świadectwem więzi między Wrocławiem a Lwowem (mającej przecież swoje historyczne korzenie sięgające XIII wieku) to Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” nie szczędziłaby trudu, by w oparciu o współpracę i wsparcie finansowe mieszkańców i instytucji Wrocławia oraz innych miast co roku ją realizować.

Co Państwo sądzicie o takim „pomocie” między Wrocławiem a Lwowem? □

Wykaz Ofiarodawców na pomoc świąteczną (Boże Narodzenie 1999 r.) dla Rodaków ze Lwowa i Stanisławowa:

1. Karol Kuflowski, Olsztyn	165.-	32. Mieczysław Stepkowski, Hrubieszów	36.-
2. Ewa Kosman, Kraków	100.-	33. Saturnin Wasilewski, Gostyń	50.-
3. Alfred Kowalski, Gdynia	100.-	34. Witold Gaca, Wrocław	100.-
4. Stanisław Lewek, Sanok	76.-	35. Mieczysław Borecki, Wrocław	60.-
5. Michalina Sośnicka, Wrocław	100.-	36. Adolf Zabuski, Wrocław	20.-
6. Adam Zając, Rzeszów	50.-	37. Jerzy Lachaut, Wrocław	18.-
7. ks. Witold Szumiato, Piec	30.-	38. Janina Kasza, Wrocław	50.-
8. Zbigniew Kubas, Brzozów	22.-	39. Adam Buczyński, Wrocław	15.-
9. Czesława Pietras, Bielsko Biała	10.-	40. Janina Bułaj, Wrocław	15.-
10. Maria Piwko, Sandomierz	30.-	42. N. N., Legnica	30.-
11. Helena Niwiński, Kraków	30.-	43. Zdzisław Szell, Szprotawa	100.-
12. Mieczysław Tokarski, Włodawa	20.-	44. Stefania Rurek, Jasień	50.-
13. Maria Mokrzycka, Gliwice	100.-	45. Stanisław Góral, Jasień	30.-
14. Zofia Sałdak, Zakopane	66.-	46. Władysław Hapoński, Lublin	300.-
15. Ryszard Tęczyg, Gdańsk Brzeźno	42.-	47. Bronisław Ostrowski, Wrocław	25.-
16. Danuta Hoenl, Działdowo	26.-	48. Maria Jońca, Gliwice	76.-
17. Bogumiła Zając, Rzeszów	50.-	49. Narodowy Bank Polski Wrocław	1500.-
18. Teresa Gołda, Trzebnica	100.-	50. Barbara Hoszowska-Bógdoł, Rybnik	25.-
19. Krystyna Huculak, Warszawa	50.-	51. Helena Firyn, Kraków	50.-
20. TMKIPW Nysa	100.-	52. „Caritas” Archidiecezji Wrocław	500.-
21. Jerzy Fic, Sosnowiec	50.-	53. Andrzej Sokołowski, Szprotawa	10.-
22. TMLIKPW Kielce	300.-	54. Wojciech Bitschan, Warszawa	26.-
23. Ireneusz Chojnacki, Łódź	20.-	56. Wincenty Pawłowski, Kraków	30.-
24. Anna Treter, Gdańsk-Oliwa	200.-	56. Jan Dubianik, Kędzierzyn-Koźle	52.-
25. Michał Kowalczyk, Elbląg	10.-	57. Janina, Roman Chrzastowscy, Katowice	40.-
26. Danuta Markiewicz, Trzebnica	20.-	58. Michalina Olszańska, Wrocław	60.-
27. Stanisław Łoś, Wilczyn Leśny	20.-	59. Ewa Aumer, Wrocław	100 \$
28. Maria Sasiadowicz, Tarnów	20.-	60. dr TZ Błażyński, Anglia	110.-
29. Irena Łukaszkiewicz, Bytom	100.-	61. Janusz Englot, Wrocław	20.-
30. Irena Koniewicz, Szczecin	30.-	62. Piotr Żołyński, Bukowina Bobrzańska	10.-
31. Bronisław Więckowski, Kobyłka	50.-	63. Teatr Współczesny Wrocław	200.-

Franicszka Grodecka

Wspomnienia (c.d.) VI

Pewnego dnia na wiosnę otrzymałam zawiadomienie z Delegatury o przydzieleniu mi jednej pary męskich butów, wojskowych. Trzeba było iść po nie do Semipałatyńska, a tu Irtysz tajał, pimy moje zupełnie zdarte. Wieczorem proszę p. Ilnicką, aby wzięła dla mnie te buty. Zgodziła się. Rano mówi do mnie: „proszę mi wierzyć, że dla pani zrobię wszystko, ale coś mi mówi, żeby pani poszła ze mną”. Rozłościłam się na nią, pobiegłam do kantoru, zwolniłam się z pracy i poszłyśmy, brnąc w lodowatej wodzie po krach Irtysza. Z przemoczonymi nogami stanęłyśmy w ogonku przed Delegaturą, było bardzo zimno, szalony wiatr, przemarzłyśmy. Po godzinie stania słyszę: Czy jest tu p. Grodecka, proszę do pana delegata. O Boże, pewnie NKWD? Tak stałe żył człowiek pod pregiertem tej osławionej instytucji. Rozpacz, dzieci pozostały na obozie... Ale idę, przeciskam się przez tłum Rodaków, stoję przed delegatem, nie widząc NKWD, myślałam jednak, że są w drugim pokoju.

Delegat podał mi krzesło i mówi: p. Zofia Prorok mąż zaufania na Żana Semej musi zaraz wyjechać do ojca do Buzułuka, czy może pani po niej objąć urządowanie, ale musi pani w tej chwili z nią wracać. Odetchnęłam. Pokaza-

łam mu podarte pimy, kazał mi wydać parę męskich butów. Podarłam reformy, aby je powiązać i wracam przez Irtysz.

Odebrałam urządowanie. Pani Prorok po dwóch godzinach wyjechała z matką, a ja poszłam na zawód do dzieci, aby zlikwidować swoje rzeczy, a raczej żałosne ostatki. Co za zdziwienie było na zawodzie u naszych, a u ruskich szalone. Marusia, która mi tak dokuczała oniemiała, zawiędujuszcy też. Patrzyli z żalem, że jednak jestem wolna. Cieszyli się Chińczycy, żegnając mnie mówili: pewnie i dla nas to nastąpi. Żal mi ich, robili cegły z mokrej gliny, biegali z tym ciężarem tak drobniutko.

Zamieszkałam w miasteczku Żana Semej, a stamtąd codziennie dojeżdżałam do Delegatury rano pociągami, po zasiłki, żywność i pocztę. Zaczęłam tę lżejszą pracę dnia 12 marca 1942 r. Co za awans, praca prawie biurowa „po specjalności”. Drugi luksus to mieszkanie, osobny domek, pokój i kuchnia – wielkie błogosławieństwo Boże. Ludność polska zamieszkała tam to przeważnie Białorusini, naród dobry, pracowali w fabryce konserw, często przynosili mi kawałek mięsa czy słoniny.

Byłam tam wszystkim dla moich ludzi, ochrzciłam z wody dziecko, pochowałam dwoje, szłam jak ksiądz przed trumną, bo mnie o to prosili, śpiewałam z nimi lub odma-
wiałam różaniec. W Wielkanoc święciłam jaja.

Ciągle jeszcze wyczekiwałam wiadomości, czy przyjadu męża. Jaka to męka. Zaczęły się znowu nieprzespane noce.

Jednego dnia będąc jak zwykle rano w Delegaturze, czekając na załatwienie czegoś dla moich ludzi – patrzę, a na ławce siedzi polski żołnierz w nowym mundurze, na czapce orzełek. Patrzę na niego z radością i rozrzewnieniem widziałam w nim męża, którego poznałam w 1920 roku. On patrzył też na mnie. Pomyślałam sobie: lepiej nie będę patrzyła dłużej, bo nie wypada. Stoję dalej i płacząc schowałam twarz w kołnierz futra. Tyle już rodzin wyjechało, a ja na pewno tu zginę. Nagle staje on za mną i pyta: Czy pani Grodecka, jestem Barski, młodszy kolega pani męża. Co za wstrząs. Powiedział, że przywiózł tzw. trebowanie (tj. zezwolenie na wyjazd) dla jakiejś rodziny. Pytał o męża, o dzieci, opowiedziałam ogólnikowo o wszystkim co przeszliśmy. Prosił o napisanie danych o nas, że nie ma nikogo wywiezionego i postara się mnie ściągnąć jako swoją rodzinę. Podziękowałam serdecznie za dobroć serca. Przyznam się, że tego powiedzenia nie brałam na serio, bo nie wierzyłam, by młody człowiek mógł o tym pamiętać. Po prostu zapominałam. Było to w kwietniu 1942 r.

Janka Dziedzic oczekiwała zezwolenia na wyjazd. Mieszkała daleko od stacji kolejowej, więc wzięłam ją do siebie z Krysią i Danusią. Było nam razem raźniej i przyjemniej. Łączyły nas te same prawie przeżycia we Lwowie, wspomnienia młodości.

Z końcem lipca zachorowała Irma, lekarka ze Lwowa. Żydówka, dr Weintraub polecił ją odżywiać. Recepta dobra, ale skąd wziąć, jak ją zrealizować. Napisałam do Delegatury prośbę o trochę smalcu i cukru, odpisano, że nie ma. Ale Bóg dobry zasmuci i pocieszy. Zrobiło się jej lepiej. Było ciężko moralnie, nerwy odmawiały posłuszeństwa. Było o tyle znośniej, że było nas więcej. Dziewczynki zajmowały się moimi.

Powróciłam z Semipałatyńska z jakąś dziwną, niepojętą otuchą. Mówię do dzieci, że zbliża się święto Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny, rocznica Cudu nad Wisłą, że na pewno i my doświadczymy dobrodziejstwa Bożego.

Na drugi dzień był szalony upał, wróciłam z Semipałatyńska b. zmęczona. Po południu przyjechała Krysia, wpada uradowana i mówi: Ach, pani Grodecka, jedziemy razem. Patrzyłam na nią, będąc pewna, że kpi i mówię: no wiesz Krysiu nie spodziewałam się, że tak potrafisz naciągać starszą osobę. A ona na to: gdzieżbym śmiała, ale widziałam listę i jest pani nazwisko zaraz pod naszym. Nie mogłam uwierzyć, bo przecie dopiero co powróciłam z Delegatury i nic mi nikt nie powiedział o tym.

A jednak było to prawdą, najprawdziwszą, najcudowniejszą, przekonałam się o tym nazajutrz. Błogosławieństwo Boże niech spłynie w wielkiej obfitości na mego wybawcę, ktokolwiek nim był. Do dziś nie mogę spłacić długu wdzięczności.

Otrzymałam list od koleżanki biurowej, która była w Georgiewce, że przyjechał tam do rodziny młody człowiek z więzienia i powiedział jej, że ze Lwowa jechał z moim mężem do Kijowa, trzymał mu jego tobołek, bo go bardzo czyściło, był chory. W Kijowie ich rozłączono. Pokrywa się to z wiadomością z NKWD, że był w Kijowie.

I znowu Irma dostała temperaturę. Powiedziała mi lekar-
ka, że jej nie dowiozę na wolność. Ot dola, u progu szczęścia...

Dała mi ona aspiryny i trochę cukru. Polacy nie dali. Poszłam do szpitala, by się pożegnać z przebywającą tam

p. Ilnicką, biedna rozpacziała: no teraz już na pewno zginie-
my, gdy pani wyjedzie. Ciężko było na sercu.

Nastąpił dzień wyjazdu: 13 sierpnia 1942 roku. I znowu trzynastka, ale jaka? Cudowna...

Odprawdziły nas na dworzec znajome z tej samej ulicy we Lwowie. Idąc obok odjeżdżającego pociągu śpiewały z płaczem: Może uda się, że powrócisz zdrów i zobaczysz miasto Lwów... Niestety żadna z nas nie zobaczyła Lwowa. Reszta rodaków wróciła do Polski, do Krakowa.

W Semipałatyńsku na dworcu prosiła mnie p. Wanda Łuszczyńska, abym zaopiekowała się jej dziećmi, teściową i p. Marią Rogalską, bo jej nie dano zezwolenia na wyjazd, a chce choć dzieci uratować. Naturalnie zgodziłam się. Jechało nas siedem osób w małym przedziale. Teściowa sparaliżowana, a p. Rogalska chora na żołądek.

P. Rogalska oddała mi do dyspozycji 16,000 rubli, które w ostatniej niemal chwili otrzymała z Turcji od syna. Kupowałam dzieciom owoce. P. Rogalska leczyła się ze skutkiem granatami. Kupowałam na stacjach kolejowych. W Ałma-
Ata i w Taszkencie przynoszono do wagonów wspaniałe, duże i bardzo soczyste winogrona, kawony i melony. Przy przesiadaniu z pociągu do pociągu, opłacałam sowicie ruskich za przenoszenie sparaliżowanej staruszki, przykry to był widok, zarzucali ją przez swoje ramie, jak ręcznik, gdy się idzie na plażę.

Po ciężkiej podróży dotarliśmy do Taszkentu, gdzie nocowaliśmy na gołej ziemi. Jaka tam była masa skorpionów dokoła nas. O spaniu mowy nie było.

Tu spotkałam znajomych z innych miejscowości. Rano odjechaliśmy do Jangi-Jul, gdzie przebywał sztab naszej armii gen. W. Anders, biskup Gawlina itd. Moc oficerów i żołnierzy. Mieszkaliśmy w namiotach, p. Rogalska wyzdrowiała, a staruszką zajął się syn kapitan Jan Łuszczyński.

Dzięki koledze męża p. Jasińskiego, otrzymaliśmy wikt z kuchni oficerskiej. Upał był okropny, moskity dokuczały morowo. Pomimo, że byliśmy już pod opieką naszego sztabu, to jednak nie mogliśmy się pozbyć wrażeń i obaw, że mogą nas nie wypuścić. W tym czasie zamknięto delegaturę w Samarkandzie i w Semipałatyńsku, urzędnikom groziło każdej chwili aresztowanie, co się jednak stało. Aresztowano delegata i jego zastępcę. Urzędnikom pozwolono wyjechać. Przyjechała szczęśliwie dość późno p. Wanda Łuszczyńska, której oddałam dzieci, ale dopiero w Teheranie. Junacy z Jangi-Jul już wyjechali do Persji.

Wyjeżdżając z Semipałatyńska sprzedałam dość zniszczone futro za 750 rubli. Wiedząc, że jadę na lepsze i na pewno nie na głodowanie, przesałam z Jangi-Jul dwoma przekazami pozostałej na zawodzie p. Ilnickiej z 3-giem dziećmi. Nie mogłam inaczej postąpić, wiedząc jak oni tam wegetują. I byłam szczęśliwa, że mogę im pomóc. Dowiedziałam się, że otrzymała. Rodacy kupowali złoto, bo Żydzi sprzedawali. P. Jasiński opiekował się nami bardzo, donosił pysznych owoców. Brzoskwiń tak dużych i słodkich nigdzie nie widziałam. Odżyliśmy. P. Jasiński był też znajomym p. Rogalskiej.

Wielkie wrażenie zrobiła na mnie Msza św. odprawiona w małym pokoju przez biskupa Gawlinę. Po trzech latach uczestniczyłam we Mszy św. Moc Żydów i Żydówek przeszło na wiarę katolicką, aby tylko mogli wyjechać, niestety nie wyjechali, rozpaczali bardzo gdyśmy wyjeżdżali z Jangi-Jul, czepiali się aut ciężarowych. Pani Rogalska powierzyła mi pilnowanie jej rodowej biżuterii, opiekowałam się z bojaźnią, aby nie zgubić. Oddałam jej, gdy była już zupełnie

zdrowa. Na drugi dzień skradziono je w nocy z namiotu. Spałyśmy obok siebie i nikt z nas nie słyszał. Zarządzono poszukiwania, ale nic z tego. P. Rogalska wcale nie rozpaczala, powiedziała: co to znaczy wobec tego, że jestem wolna.

Wyjeżdżamy do Persji. Jechaliśmy osobowymi wagonami nie wiem jak długo przez bezludne stepy i pustynie, piaski czerwone, góry skaliste. Widzieliśmy karawany tubylców na wielbłądach.

Dotarliśmy do Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim. Rozlokowano nas nad brzegiem na piasku. Brak wody do picia, a upał szalony, słońce piekło niemiłosiernie. Za butelkę wina płaciliśmy 50 rubli, a wodę otrzymywaliśmy tylko za herbatę. Jurek zdobywał dla nas wino. Dokoła Krasnowodsk pustka, okolice bez drzewa, ludzie żyją tam jak pierwotni. Szałas z drzewa, okrągłe, pokryte bydłęcymi skórami. O kąpieli w morzu nie było mowy, morze pełne plam oliwy i ropy, a teren błotnisty. Koczowaliśmy pod gołym niebem. Nasze władze wojskowe kazały nam wrzucać do rozpalonego ogniska rosyjskie pieniądze, wszystkie zapiski, listy, aby się nie narazić na aresztowanie przy ewentualnej rewizji, bo to nam niestety ciągle jeszcze groziło. Wrzuciłam bez żalu p. Rogalskiej i mego dziesięć tysięcy rubli, bo zdołałam wydać tylko sześć. Naturalnie przykro było tylko dlatego, że można je było oddać pozostałym rodakom. Nie wszyscy jednak zastosowali się do tego zarządzenia, ryzykowali, a po przyjeździe do Teheranu kupowali żywność itp.

Zajechały auta ciężarowe, załadowano nasze bagaże i dowieziono do portu. Rozlokowano nas na jakiejś dolinie. Widzieliśmy w górze dwa olbrzymie okręty. Tu wojskowi nasi dali nam moc różnych konserw i czekoladę na podróż. Spakowaliśmy to, aby potem wszystko zostawić na brzegu, bo wsiadając na okręt można było wziąć tylko tyle ile się uniesie. Wzięłam więc w ręce walizy p. Rogalskiej, na plecy

p. Łuszczynskiej, a Jurka proszę, aby wziął naszą. Powiedział mi: mam nie mogę, zostawiłam. Dobrze, że wziął pościel. Po wywołaniu naszych imion, kazałam się mojej czwórce dzieci trzymać mnie mocno, wejście było bardzo pochyłe i śliskie, ledwie wyszłam. W tym czasie obok mnie wpadła do wody jakaś kobieta. Była noc.

Zapomniałam nadmienić, jak wielkie wrażenie zrobiło na nas, gdy usłyszeliśmy potężny śpiew męski „Wszystkie nasze codzienne sprawy...”. To śpiewali nasi żołnierze biwakujący na przyległej górze. Płakaliśmy wszyscy, że tu w tym bezbożnym kraju rozbrzmiewa taka pieśń. Czekali oni na wyjazd tym drugim okrętem, ale dopiero po załadunku i odjeździe ludności cywilnej, inaczej nie chcieli wsiadać. Ciąga obawa i niepewność.

Z biciem serca wchodziliśmy na okręt szczęścia – wolności. Ścisk był ogromny. Ścieśnialiśmy się coraz bardziej, jeden przy drugim staliśmy, o leżeniu, a nawet siedzeniu mowy nie było. Aby tylko jak najwięcej mogło naszych wyjechać. Był to wielki statek przewożący ropę. Dzieci usiadły na walizce, a ja stałam trzymając się słupa. Schyliłam się do dzieci i w pewnej chwili czuję ciężar na sobie, to marynarz wskoczył na balkon po koło ratunkowe, bo ktoś tonął. Okręt wypełniono po same burty. Nad ranem odpłynęliśmy w kierunku Persji. Nie wiem dlaczego zdawało mi się, że nie jedziemy, że stoimy w porcie, że nas z powrotem wróć do raj. Przyszła spokojna cicha noc, morze gładkie. Chorowaliśmy wszyscy, zapach ropy, okropne zapachy przepełnione i zalewające pokład kłozetu. Musieliśmy w tym wszystkim siedzieć. Wiele osób zmarło znalazłszy grób w morzu. Wiele chorujących przy burcie wpadało do morza, ale uratowano.

Ranek, słońce rozświetliło się jaskrawie, zaczęło przypiekać. Podróż trwała dwa dni. Okręt nazywał się „ZDANOV”. □

Tadeusz Heimrath

58 dni we Lwowie we wspomnieniach z 1939 r.

Było to wczesnym rankiem 13 września 1939 r. Nasza wielodniowa podróż z Matką bombardowanym pociągiem ewakuacyjnym z Poznania skończyła się na stacji Kleparów, po przebytej nocy jeździe z Rawy Ruskiej przez Brzuchowice do Lwowa. Dlaczego nie na Dworcu Głównym? To trzeba wyjaśnić sięgając do historii tamtego Września. Wiele lat później wróciłem wspomnieniami do wydarzeń lwowskich i chciałem poznać wojenne okoliczności, które zmusiły Matkę i mnie do opuszczenia pociągu przed przybyciem na Dworzec Główny. Jak to się stało? Odpowiedź znalazłem w książce pt. „Die Wehrmacht”, zbiorowego autorstwa, wydanej w 1940 r., z rozdziałem „Sturmfahrt auf Lemberg”. Tam poznałem przyczyny tego, co zdarzyło się nam rankiem i przedpołudniem we Lwowie.

Przybyliśmy do miasta prawie w tym samym czasie, w odstępie około 12 godzin, Niemcy z południowego, my uchodźcy, z północnego zachodu. Było to przykładem, jak w czasie wielkich zdarzeń losy jednostek sprzegają się z celami i realizacją planów gigantycznych sił. Na dworcu Kleparów a potem w kierunku przedmieścia, drogi nasze i Niemców przecięły się, gdy okazało się po naszym przybyciu, że Niemcy poprzedniego dnia po południu zajęli Górą Gródecką z Dworcem Głównym. Kim oni byli, skąd przyszli?

Żeby to wyjaśnić trzeba sięgnąć nieco wstecz. Otóż gdy my od nocy z 2 na 3 września posuwaliśmy się pociągiem ewakuacyjnym DOK VII z Poznania przez Kutno, Łódź, Skarżysko Kamienną, most pod Sandomierzem, Rozwadow, Przeworsk, Jarosław, poprzez San do Lubaczowa i Rawy Ruskiej i dalej do Lwowa, uciekając przed okrażeniem, to w tym samym czasie szło niemieckie natarcie na Lwów od południowego zachodu. Dywizja strzelców górskich przekroczyła granicę słowacką w Piwnicznej nad Popradem i w Zdyni, bardziej na wschód. 6 IX była już głęboko w Beskidzie Sądeckim, gdy my minęliśmy dopiero Łódź. Nazajutrz jadąc przez Ostrowiec Świętokrzyski, nie wiedzieliśmy że niemieccy strzelcy byli już w Grybowie, Krynicy i Gorlicach. 8 IX my w Starachowicach, Niemcy w Żmigrodzie i Dukli. 9 IX my w Rozwadowie, oni w Rymanowie i Sanoku.

Gen. maj. Kübler, dowódca dywizji strzelców górskich dojechał do Lwowa w godzinach popołudniowych 12 IX. Wydał rozkaz aby wszystkie jednostki zmotoryzowane dywizji podciągnąć w nocy z 12 na 13 IX do Lwowa. Rano o godz. 6.30 wydał rozkaz o zajęciu pozycji do ataku na miasto. Natarcie miało na celu obejście miasta od zachodu i północy aby zdobyć wzgórze nad Zboiskami. Rozpoczęło się o godz. 10.15 i wyszło z Biłohorszcza, Lewandówki i Bog-

danówki, przez szosę Janowską, dworzec Kleparowski i linię kolejową do kamieniołomów na północy i dalej łukiem od zachodu do Hołoska Wielkiego i Zboisk. Zajęto je o zmierzchu 13 IX i trzymano do 21 IX, tj. do odejścia Niemców spod Lwowa.

Rano teren od Stacji Kleparów do Kleparowa samego był już zagrożony ostrzeliwaniem z blisko leżących od południa pozycji niemieckich. Jednak przejście przez Kortumową Górę na północ od Cmentarza Janowskiego było wolne. Tamtędy poszliśmy na Kleparów. Było to jeszcze przed godz. 10.15, a strzelanina od południa była sporadyczna. 13 IX był dniem upalnym. Odnotował to niemiecki autor relacji. Szliśmy przez wzgórza na wschód dźwigając nasz dobytek. Grupa uciekinierów idących z nami była liczna, ale po drodze przez grzbiety i jary wydłużała się. Widoczność była wspaniała. Po ustąpieniu porannej mgiełki Lwów leżał pod nami od południa w wieńcu wzgórz, których nazw jeszcze nie znałem. Wysoko nad miastem widoczne były pojedyncze niemieckie samoloty, których tor lotu był świetnie widoczny, jakby powolny. Pociski rozrywały się wokół samolotów, zestrzeleń nie widziałem.

Pomimo wielkiego zmęczenia szliśmy rażno bo za nami od południowego zachodu rozpoczęła się strzelanina; to Niemcy o 10.15 ruszyli przecinając poza nami przebiegającą przez nas niedawno drogę. Pociski przelatwały nad nami z gwizdem. Osiągnęliśmy wreszcie Rogatkę Kleparowską i weszliśmy w gęstsze ale raczej parterowe lub jednopiętrowe zabudowania. Bitwa była coraz żywsza. Matka postanowiła, że mnie tu gdzieś zostawi z dobytkiem, a sama pójdzie do Korpusu Kadetów szukać Ojca i wróci tu z nim. Ojciec był już we Lwowie od 30 sierpnia ewakuowany z rawickim Korpusem Kadetów. Nie była to łatwa decyzja wobec bitwy właśnie na obrzeżach Kleparowa. Okazała się jednak trafna. Lwowa nie znaliśmy, Korpusu trzeba było szukać i to na własnych nogach.

Gdzie zostałem? Otóż Mama weszła ze mną do jednego z domów niedaleko Rogatki, po przekroczeniu Warszawskiej. Być może, przed domem stali jego mieszkańcy i zaoferowali krótki odpoczynek. Było to starsze małżeństwo z otoczeniem, bardzo serdeczne. Stałem na tym, że tam właśnie zostałem, a Mama pożegnawszy się ze mną poszła dalej. To, co mnie tam spotkało, było niepojęte i nierzeczywiste po przebytej ucieczce... Zostałem wykapywany, przebrany i położony zaraz, a było to południe, do czystej pościeli. W pobliżu nas, z kierunku Hołoska i fortów kleparowskich toczyła się bitwa. W pokoju, w którym leżałem, gospodyni z towarzyszkami modliły się gorąco, przyspieszając i podnosząc głos, gdy pociski zbliżały się i eksplodowały. Nie mogłem początkowo zasnąć. Spokój zachowywał starszy pan, gospodarz, rzemieślnik, o charakterystycznej sylwetce i rysach twarzy (gdy wiele lat później zobaczyłem zdjęcie Tomasza Manna, coś mi się skojarzyło). Wreszcie wśród tej kanonady zasnąłem przetrwając przez chwilę całą przebiegającą od Poznania drogę.

W pewnym momencie coś mnie zbudziło... Nade mną pochylała się uśmiechnięta twarz Ojca. Nie mogłem tego zrozumieć i trwało to chyba dłuższą chwilę. Wróciła z nim Matka prowadząc także pracownika Korpusu z wózkiem na bagaże. Było późne popołudnie. Czekala nas droga przez cały Lwów na Górę Kadecką. Droga, którą Mama już raz dzisiaj przebyła. Żegnaliśmy się serdecznie z gospodarzami. Zapamiętałem nazwisko i imię gospodarza na wiszącym szyldzie oraz adres domu. Była to ul. Północna 10, z domem

Fryderyka Jahna. Nigdy się później nie widzieliśmy, ale po latach we Wrocławiu przeczytałem nekrolog zmarłego o tym imieniu i nazwisku, chyba także z dopiskiem „ze Lwowa”. Poszedłem na cmentarz św. Wawrzyńca. Tam, wśród uczestników pogrzebu rozpoznałem znajomych, którzy potwierdzili mi, że odprowadziłem mojego Dobroczyńcę z 13 września z Kleparowa.

Wraz z Rodzicami czekała na mnie wyprawa przez Lwów na Górę Kadecką. Pomimo wszystkich dotychczasowych przeżyć, jakiś wypoczęty i w podniosłym nastroju maszerowałem przez centrum miasta. Było jeszcze jasno. Mijaaliśmy na ulicach barykady, odgłosy bitwy, a w górze srebrne samoloty. Mijani ludzie nie okazywali jakiegось przerażenia lub załamania, które widziałem w poprzednich dniach. Szliśmy zapewne Żródlaną przekraczając tory kolejowe lub wiadukt aż do Bernsteina, przecinając Kazimierza Wielkiego, wzdłuż Parku Kościuszki, Brajerowską, Marszałkowską i Słowackiego do Kopernika przed Cytadelą. Stamtąd w górę Tomickiego do Kadeckiej. Na skrzyżowaniu z Pełczyńską stało działo z obsługą skierowane w wyłot Wuleckiej. Pięliśmy się w górę dochodząc do Małachowskiego, gdzie po lewej stronie poza murem stały budynki Zakładu Wychowawczego, a po prawej znajdowały się stosunkowo nowe bloki Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, równoległe do siebie, a prostopadłe do głównej ulicy. Uliczki pomiędzy blokami miały nazwy, wg planu miasta, Warzywna, Górska i Wspólna.

Okazało się, że w jednym bloku, może w pierwszym lub drugim, w ostatniej klatce schodowej od zachodu było nasze mieszkanie, czekając na nas, bo właśnie po wakacjach mieliśmy mieszkać już we Lwowie. Pomimo wielkiego zmęczenia spojrzałem przez okna tego parterowego mieszkania w kierunku Lwowa. W zachodzącym słońcu widoczne było miasto leżące w głębokiej niecce, a po drugiej stronie od północy rozciągały się wzgórza Wysokiego Zamku i całego pasma. Oczywiście przed zaśnięciem była długa rozmowa Rodziców, w której ja chyba nie brałem już udziału.

Całe wyposażenie mieszkania stanowiły trzy prycze z materacami i pościelą pobraną z Korpusu. Nocą padały skądś pociski artyleryjskie. Odpowiadały im baterie polskie stojące w Parku Stryjskim strzelające poczwórnymi salwami. Te pojedynki trwały tak przez wszystkie noce oblężenia Lwowa. Nie pamiętam nawet co jedliśmy, nie było to widać problemem. W każdym razie nie mieliśmy jako uciekinierzy żadnych zapasów. Wodę nosiło się wiadrami z pobliskiej studni bo wodociągi tutaj nie działały. W te słoneczne dni niemieckie samoloty zniżały się nad blokami, a żołnierze polscy kryjący się za rogami bloków strzelali do nich z karabinów.

Nie mieliśmy nawet wiader. W związku z tym wraz z Ojcem poszliśmy w dół do miasta kupić je. Doszliśmy zgodnie z poradą na Krakowskie (Krakidaty). Tam, w bok od Placu Krakowskiego, znaleźliśmy na ul. Aszkenazego 13 blacharza Szłomę Fisza. Przy dłuższej pogawędce o sytuacji wojennej i prognozach na przyszłość, sceptycznie nastawiony rozmówca sprzedał nam dwa wspaniałe ocynkowane wiadra. Nastąpił powrót, ale z przerwą na obiad zjedzony przy świecach w podziemiach Hotelu George'a. Smakował oczywiście wspaniałe i było to ogromne przeżycie, które utkwiło w pamięci na długo. Potem dalszy marsz powrotny z kryciem się pod ścianami z powodu ostrzału lotniczego („pod gradem kul”). Szczęśliwy powrót ze zdobyczą.

Zdaje się, że nie było kłopotu z chlebem z piekarni przy Kadeckiej. Na skrzyżowaniu z Wulecką stało nadal działo skierowane na Skniłów. Niedługo wojsko przesiedliło nas z tego narożnego mieszkania z widokiem na panoramę Lwowa do innego pustego, w tym samym bloku ale w środku. Bloki ZUS stały się jakby częścią wewnętrznej linii obrony panując nad południowym dojściem do miasta.

Wiadomości z frontu przychodziły coraz smutniejsze. Owszem, broniła się Warszawa, trwała bitwa nad Bzurą, na froncie południowym stawiano Niemcom opór nad Wereszycą. Wiedzieliśmy, że dowódcą tego frontu był gen. Kazimierz Sosnkowski. Wiadomości o walkach w Małopolsce przedstawiały się do nas nie tylko drogą komunikatów, ale także przez napływających do Lwowa uciekinierów. Dziwne, oblężenie trwało przecież tylko kilkanaście dni, a w późniejszych wspomnieniach wydawało się to długim okresem oczekiwania i nadziei. Tematem rozmów była sytuacja na Froncie Zachodnim Europy. Wiadomości stamtąd były przesadnie optymistyczne. Także sytuacja Lwowa wydawała się zbyt dobra. Niwauliwie działał tu nimb miasta o historycznym powodzeniu w walkach obronnych. Udzielało się to chyba wszystkim, także nam uczestnikom wielkiego odwrotu. Tu osiągnęliśmy pewną stabilizację, nawet mieszkanie choć puste. Wytworzyło się uczucie jakiejś złudnej pewności o przyszłość.

Sprzyjała temu piękna pogoda, słoneczna i ciepła, słynna pogoda tamtego Września. Niestety, sprzyjała ona przede wszystkim Niemcom. Wiedzieliśmy, że na czele chyba 20-tysięcznego garnizonu lwowskiego stoi gen. Langner, z siedzibą na Cytadeli (później dowiedziałem się, że posiadał około stu dział). Powoli poznawaliśmy życzliwych mieszkańców z sąsiedztwa. Utrzymywaliśmy kontakty poprzez wizyty Ojca w Korpusie Kadetów. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy, że właściwie nacisk niemiecki był słaby. Lwów nie został przez nich w pełni okrażony. Zależało im tylko na odcięciu go od północnego zachodu, od większych sił polskich, które mogły dojść do Lwowa od środkowego Sanu i południowej Lubelszczyzny. Zależało im rzeczywicie na twardej obronie „den Bluttal von Holosko”, krwawej doliny Hołoska, którą trzymali wąskim pasem od Rzęsny Polskiej na wschód, mając trudności z zaopatrzeniem. Wydaje się, że Polacy nie wszystko zrobili żeby ten występ zlikwidować. W końcowej fazie bitwy o ten teren gen. Prugar-Ketling skarżył się i dziwił, że jego natarcie od północnego zachodu z Bruchowic nie zostało wsparte dostatecznie przez garnizon lwowski.

Dla Niemców nieatakowanie Lwowa oznaczało zapewne, że wiedzą coś, czego my jeszcze nie wiedzieliśmy: że w myśl paktu Ribentropp-Mołotow Lwów przypadnie Sowietom. My jednak na górze Kadeckiej odczuwaliśmy przecież nacisk frontu z kierunku południowego. W naszym opróżnionym mieszkaniu narażonym było stanowisko karabinu maszynowego. I tak to trwało do 17 września, kiedy rozeszła się wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej. Reakcje były różne, od skrajnych, że idzie ona na pomoc Polsce aż do realistycznych, że jest to rezultatem porozumienia Niemców i Sowietów. Trzeba przypomnieć, że uświadomienie sobie skutków porozumienia z 23 VIII 1939 r. było w naszym narodzie dość słabe, co stwarzało różne złudzenia.

W oczekiwaniu na rozwój sytuacji działania bojowe ustały, co jednak nie spotkało się z jakąś ulgą. Zapowiadało to raczej niekorzystny rozwój sytuacji. Rozeszła się wiado-

mość, że Sowietci stanęli w Winnikach, 8 km od centrum Lwowa. W blokach młodzież wybierała się aby tam bronić Lwowa. Niemcy od Lwowa chyba odstępowali. Jeszcze wcześniej wraz z Matką byliśmy na ulicy świadkami rozmowy z trzema niemieckimi jeńcami, z szarotkami strzelców górskich na czapkach. Jakiś pan proroczo im tłumaczył, a Mama wzięła udział w tej rozmowie, że „Hitler i Stalin to jak ogień i woda” i żeby nie liczyli, że porozumienie ich ma trwały charakter. Muszę dodać, że byli oni w bardzo szczupłym konwoju, dość swobodni.

Rozeszła się wiadomość, że Lwów poddał się odchodzącym Niemcom. Do przejmujących scen należała ucieczka przez teren naszych bloków licznych polskich żołnierzy, którzy w biegu przebierali się w ubrania cywilne darowane im przez mieszkańców i dążyli „na Stryj”, w ślad za odchodzącymi Niemcami. Może chcieli przedrzeć się na Węgry? Widok był przejmujący i utkwiał mi głęboko w pamięci. 22 IX gen. Władysław Langner przekazał miasto Sowietom. Oznaczało to zajęcie Korpusu i opuszczenie go przez grupę kadetów. Pobiegłem z grupą chłopców przez stoki i parowy wuleckie oglądać wejście Sowietów do koszar PAL. Słży długie kolumny pieszych i konne zaprzęgi ze sprzętem. Było późne popołudnie, pochmurno. Wraz z kapitulacją Lwowa zupełnie zmieniła się pogoda na dżdżystą. Widok był przygnębiający. Tak obcy dla Lwowa ludzki element, fatalnie ubrany w nieobrobione płaszcze i parcie pasy, z przysłowionymi karabinami na sznurkach. Przejawiali raczej nieśmiałość i niepewność. Początkowo.

Życie zmieniło się zupełnie. Z uniesienia przeszło w okupacyjną udrękę, choć słowo „okupacja” jeszcze się nie zadomowiło. Uważano to za jakiś przejściowy stan. Odczuwali to tak zwłaszcza uciekinierzy zastanawiając się nad dalszym losem. Nie mogę tu odpowiedzieć za stałych mieszkańców Lwowa i za ich nastroje, jakkolwiek przez dni walki zbliżyliśmy się do nich odbierając dowody życzliwości. Do Lwowa zaczęło napływać bardzo dużo ludzi. Byli oni kwaterowani przez nowe władze w pustych mieszkaniach lub dokwaterowywani. W tej sytuacji sąsiadujący z nami p.p. Orszulikowie z synkiem Krystianem zaproponowali nam przeniesienie się do jednego pokoju w ich mieszkaniu. Znacznie to poprawiło warunki naszego życia.

W blokach życie toczyło się dziwnie, już przecież niby pokojowo, a jednak problemem Nr 1 stało się nagle zdobycie rano chleba. Był to fenomen na pozór trudny do wytłumaczenia: w czasie dni walki i przemykania się w dół do piekarni po lewej stronie Kadeckiej, nigdy z chlebem nie było kłopotu. Teraz, z dnia na dzień, za władzy sowieckiej, rozpoczęło się stanie w długiej kolejce od wczesnego rana, po bardzo niesmaczny, źle wypieczony chleb. Owszem, mogło to być spowodowane wejściem do miasta masy wojsk oraz przybyciem ewakuowanych. Jednak zjawisko, mówiąc delikatnie „braków w zaopatrzeniu”, towarzyszyło mi już ze zmiennym natężeniem aż do 1989 r. Było cechą nie tylko okupacji ale całego systemu. Spotkałem się później z podobną refleksją czytając fragmenty wspomnień Karoliny Lancorońskiej z tego samego okresu we Lwowie.

Do bloków wracała młodzież, która uniknęła pójścia do niewoli niemieckiej. Bardzo dorodni i swobodni chłopcy bili się gdzieś ze Sosnkowskim nad Wereszycą i wspominali swoje wrażenia. W spotkaniach towarzyszyły im piękne dziewczęta z bloków. Wśród nich dwie brunetki (może siostry?) i kontrastująca z nimi blondynka. Rozpoczęły się słoty i na gołe nóżki wkładały gumowe wysokie botki. Były ty-

pem urody wielkiego miasta, wcześniej mi raczej nieznanym i stąd zrobiły na mnie, chłopcu, tyle wrażenia i dotąd je pamiętam.

Zacząłem przyjaźnić się z chłopcami z sąsiedztwa. Nade mną mieszkali dwóch braci Foltów (?), brunecików o żywym usposobieniu. Wymykaliśmy się do miasta lub na pobliskie wzgórza, tam, gdzie później odbyła się egzekucja profesorów. Trafiłem raz na Persenkówkę.

Ukazały się pierwsze rozporządzenia komendanta miasta, komandira Winogradnego. Kto czuł potrzebę zakonspirowania się, ten czynił to zaraz. Nie wszyscy znajomi oficerowie ujawnili się zgodnie z poleceniem nowych władz. Mijał mi na ulicy nieujawnionego znajomego kpt. Michalskiego z Korpusu Rawickiego. Mówiono, że w blokach naszych dokonano pierwszych aresztowań, ukraińskich inteligentów. Nowa władza, jaka przeszła przez bloki, to pan o wyglądzie adwokata, z czerwoną wstążeczką w klapie w towarzystwie dwóch milicjantów w polskich płaszczach wojskowych, z karabinami i czerwonymi opaskami. Byli to członkowie Gwardii Robotniczej. Złowrogo i milcząco przeszli między blokami. Widziałem raz nad wieczorem w centrum Lwowa eleganckiego pana prowadzonego na ulicy przez milicjantów. Szedł dość nonszalancko krawężnikiem, tak, że jeden z milicjantów szedł obok niego na jezdni. W blokach zamieszkałi przejściowo zwracając uwagę swą urodą i wojennym szykiem popularni aktorzy (np. z filmu „Młody Las”): Maria Bogda i Adam Brodzisz. Ona miała już na głowie bardzo popularną wtedy chusteczkę, a on zgrabny kaszkiet, a na sobie modną kurtkę i buty z cholewami.

Najważniejszym wydarzeniem dla mnie było pójście do 6 klasy szkoły Powszechnej im. Stefana Czarneckiego mieszczącej się w Zakładzie Wychowawczym przy ul. Małachowskiego. Była to szkoła z młodzieżą zakładową, raczej trudną, i młodzieżą zwyczajną. Poczułem się w niej dobrze, była to już pewna stabilizacja. Co przeżyłem nowego? Uczyły panie, mężczyźni poszli chyba na wojnę. Przeżyłem bicie przez panie po łapach linijką, co było dla mnie pewną nowością. Młodzież zakładowa siedząca w tylnych ławkach znęcała się nad pozostałymi niemiłosiernie strzelając po uszach z tzw. „katapultek” pociskami ze zwiniętego i dobrze ugniecionego papieru.

Tam zetknąłem się po raz pierwszy z językiem ukraińskim w szkole. Wielu moich rówieśników Polaków znało ten język już z przedwojennej szkoły. W szkołach powszechnych zachodniej Polski języka niemieckiego nie nauczano, Niemcy chodzili do własnych szkół. Na wzgórzach wuleckich milicja w płaszczach mundurowych i kaszkietach na głowach kłula długimi prętami podejrzane miejsca szukając zakopanej broni. Na wzgórzach stały na wózkach ciężkie karabiny maszynowe skierowane w niebo, o poczwórnych lufach ze spustami sprzężonymi łańcuszkami. Przyjechały też pelengatory wykreślające nad Lwowem linie lokalizujące ewentualne tajne polskie stacje nadawcze.

Musieliśmy zameldować się na posterunku Gwardii Robotniczej. Zarejestrowaliśmy się także w Komitecie dla Uchodźców. Na ul. Boularda zostałem poddany szczepieniu przeciwko tyfusowi brzuszemu. Z chłopcami wypuszczaliśmy się w południe do miasta odwiedzając kina. Tam zobaczyłem „Natałkę Połtawkę”, „Zaporożca za Dunajem” i inne filmy. Na moje imieniny wybraliśmy się z Rodzicami na Krakowskie, gdzie jako prezent dostałem zimową odzież i na osłodę chałkę. Plac Krakowski przedstawiał

niesłychanie barwny widok. Podobne wrażenie z tego okresu i miejsca opisała po latach również Karolina Lancorońska.

Nadchodziła zima. Na Wszystkich Świętych leżał już śnieg i wtedy poszliśmy na Cmentarz Łyczakowski, niezapomniane przeżycie wśród palących się świateł. Dotarliśmy do Cmentarza Obrońców Lwowa, gdzie pod pomnikiem francuskim zapamiętałem szarfę z napisem „Żołnierzu francuski, czeka na Ciebie polski Lwów”. Wszystko w ciszy i skupieniu. Zwiedzaliśmy miasto chodząc po kościołach i cerkwiach, aż do św. Jura. Spacerem trafiłem z Rodzicami pod Kopiec Unii Lubelskiej ale tuż przed wejściem w okalającą alejkę zatrzymał nas wartownik ze „szykiem” i ze słowami „nie Idź, tu punkt”. Na Kopiec wszedłem dopiero dokładnie po 57 latach, we wrześniu 1996 r., dzięki wycieczce zorganizowanej dla kolegów przez Jurka Masiora. Z pewnym wzruszeniem przekroczyłem linię, na której zatrzymałem się w 1939 r.! Dopiero teraz mogłem przy wietrznej pogodzie obejrzeć panoramę miasta z Kopca.

Ostatnim przeżyciem we Lwowie było obejrzenie wielkiej manifestacji na 22 rocznicę Rewolucji Październikowej. Ogromne tłumy na ulicach i kolumny psujących się czołgów. W tych dniach widziało się w powietrzu więcej samolotów, wśród nich ogromny ówczesny transportowiec dobrze widziany w powolnym locie nad wzgórzami. Z tym ostatnim wrażeniem dojrzała myśl o powrocie ze Lwowa na zachód. Odbyło się to niespodziewanie dla nas sprawnie dzięki energii mojej Matki, która wynajęła dla całej zaprzyjaźnionej grupy prywatny autobus. 9 XI 39 o godz. 9 rano wyjechaliśmy z miasta by o 9 wieczorem po przejeździe przez Rawę Ruską w Bełżcu przekroczyć granicę niemieckiej strefy okupacyjnej.

Przystępując do opracowania tematu zdawałem sobie sprawę, że po tak wielu latach ciągle jeszcze pozostaje pod wrażeniem tamtych zdarzeń, że przeżywam je emocjonalnie. Wyszło to zapewne z mojej relacji. Z drugiej strony jednak, przeżycia lwowskie stały się materiałem do refleksji i ukształtowania się pewnych zachowań na całe życie. Dlatego te 58 dni Lwowa uważam za tak ważne. Dla 12-letniego chłopca wszystko to było ogromnym przeżyciem. Oddzielało od siebie dwa światy – świat pokoju, dzieciństwa i wojnę bezpośrednio przeżywaną. Zawałił się świat dotychczasowych pojęć i zachowań.

Konfrontacja przedwojennej mocarstwowości z wojennym realizmem, podtrzymywanej ułudą fikcyjnych wiadomości, zmuszania się do optymizmu, na zawsze ukształtowało we mnie pewien chłód i sceptycyzm w przyjmowaniu niesprawdzonych opowieści. Scena zrzucania mundurów przez naszych żołnierzy nauczyła pokolenie, które to widziało, pewnej skromności w ocenie sytuacji. Mogłem to później, jeszcze w czasie wojny i konspiracji skonfrontować z tymi rówieśnikami, którzy we Wrześniu 1939 r. nie przeżyli goryczy ucieczki i oglądania kapitulacji tak, jak to miało miejsce we Lwowie. Może szczególnie przez pamięć przeszłości tego miasta.

Lecz rzecz dziwna: nie utożsamiałem sobie Lwowa z początkiem okupacji. Silniejszym przeżyciem była obrona miasta, osiągnięcie w nim celu ucieczki. Było to wszystko jakieś przejściowe, mało realne. Pochodziło to zapewne z braku zakotwiczenia się i inaczej tę różnicę swego życia odczuli stali mieszkańcy miasta, muszą to przyznać. Dla mnie pozostała jedynie pamięć polskiego Lwowa. □

Przed narodzinami Lwowa

W przełomowym roku 966 kiedy Mieszko I przez chrzest wprowadził swoje państwo na widownię dziejową Europy, kupiec Ibrahim Ibn Jakub odbywał podróż dyplomatyczno-handlową. Jadąc z hiszpańskiego Toledo do cesarza Ottona Wielkiego odwiedził również Czechy i opisał państwo Mieszka I. Należały wówczas do księcia ziemie Polan nad dolną Wartą, Goplan nad Gopłem, Mazowszan nad dolną Bzurą i prawym brzegu Wisły i Łędzian sandomiersko-lubelsko-przemyskich. Ibrahim napisał, że „...Słowianie oddają się ze szczególną gorliwością rolnictwu... Handel ich dociera lądem i morzem do Rusów i do Konstantynopola.”.

Z relacji Ibrahima wynika, że Kraków i Śląsk pozostawały w tym czasie poza państwem Mieszka, należąc do czeskich Przemysławów.

Mieszko pod koniec swych rządów oddał swoje państwo pod opiekę papieża na co wskazuje dokument „Dagome iudex”. Prowadził zwycięskie wojny o Pomorze Zachodnie, zwyciężył pod Cedznią i odparł wyprawę cesarza Ottona II. Nie odzyskał jednak Grodów Czerwieńskich odebranych mu w roku 981 przez księcia kijowskiego Włodzimierza Wielkiego.

W swoim programie politycznym realizował budowę terytorialną i administracyjno-prawną państwa polskiego, natomiast nie poświęcił należytej uwagi potężniejszemu od połowy X wieku ruskiemu państwu Rurykowiczów. Kiedy nowe państwa chrześcijańskie Europy Środkowo-Wschodniej rozszerzyły granice zasięgu kultury łacińskiej o Polskę Mieszka I i Węgry Stefana I, Włodzimierz Wielki przyjął chrzest w roku 988 z Bizancjum. Bizantyjskie prawosławie stało się pomostem przez który weszły na Ruś Kijowską wpływy kultury różnej od spuścizny Rzymu. Oddzieliła ona to państwo od cywilizacji łacińskiej powodując podział średniowiecznej Europy na dwa obszary kulturalno-społeczne i polityczne – wschodni bizantyjski i zachodni łaciński.

Grody Czerwieńskie były to obszar przejściowy charakteryzujący się przed połową IX wieku nieokreślonością granic. Badania archeologiczne potwierdziły na tym obszarze ciągłość osadnictwa. Z plemion które tutaj osiadły w IX wieku – Łędzianie według badaczy polskich należeli do plemion zachodniosłowiańskich, a ich rozwój postępował w kierunku organizacji plemiennej Łędzian-Lachów. Mieli oni już od X wieku swoje wspólnoty terytorialne i nie odbiegali w organizacji tych wspólnot od gnieźnińskich Polan. Powstały tam ośrodki grodowe z których najważniejszy był Czerwień. Bliskość etniczna plemion wschodniosłowiańskich powodowała, że Grody Czerwieńskie miały charakter pogranicza ale wczesnośredniowieczne znaleziska ich kultury materialnej nawiązują do Sandomierszczyzny. Skąpe źródła pisane dotyczące ich nie są, co należy podkreślić, dostatecznie podbudowane danymi z prac wykopaliskowych ponieważ takich systematycznych badań archeologicznych nie prowadzono nawet we Lwowie. W pracach przy sypaniu kopca Unii Lubelskiej w latach 70-tych XIX wieku odkryto relikty dębowych konstrukcji, które łączono z zamkiem książąt ruskich. Znaleziony materiał ceramiczny (naczynia, urny) z prac wykopaliskowych prowadzonych przez archeologów sowieckich w latach 50-tych XX wieku nie przyniósł żadnych rezultatów jakich wymagała propaganda ra-

dziecka, tj. lokalizacji Lwowa w epoce książąt ruskich. Ostatnie badania wykopaliskowe z 1992 roku prowadzone we Lwowie przez grupę archeologów z Akademii Nauk Ukrainy potwierdziły tylko ciągłość osadnictwa od wczesnego średniowiecza.

Dotychczasowy stan badań nie pozwala na wysunięcie dostatecznie udokumentowanej tezy, że początki Lwowa sięgają mogą drugiej połowy XII wieku i lokacji miasta w epoce książąt ruskich.

W świetle pierwszej zapisanej w źródłach ruskich wiadomości, a jest to sprawa ważna, że właśnie w ruskich, przynależność Grodów Czerwieńskich do państwa Mieszka I nie nasuwa żadnych wątpliwości. W powstałej w Kijowie kronice ruskiej „Powiest wremiennych liet” (Powieść lat dorocznych), której autorem był uczony mnich monasteru peczerskiego Nestor (żył w latach 1056-1114), jest zapis, że Włodzimierz Wielki w roku 981 „...poszedł ku Lachom i zajął grody ich Przemyśl, Czerwień i inne...”. Z zapisu wynika logiczny wniosek, że nie chodziło tu o odebranie z powrotem ziem zabranych Rusi lecz o wyprawę zaborczą kijowskiego księcia. Nie ma też powodu, by sądzić iż Nestor nie podał prawdy. Mnich ten należy do grona świętych w kościele prawosławnym i był niewątpliwie jednym z najbardziej wykształconych ludzi ówczesnej Rusi Kijowskiej, znawcą greki, historykiem i teologiem.

Kronika Nestora oraz latopis halicko-wołyński są ruskimi źródłami do badania dziejów Grodów Czerwieńskich na obszarze których założony został w połowie XIII wieku pierwszy mały drewniany gród nazwany Lwowem. Czy jego założycielem był książę Daniel Halicki czy jego syn Lew – opinie badaczy są podzielone.

Oryginał kroniki Nestora nie zachował się. Jej odpis znajduje się w dwu rękopisach – Ławrientiewskim, powstałym około roku 1377 i ipatiewskim pochodzącym z roku 1425. Zawierają one liczne wiadomości o Polsce począwszy od roku 981, roku zaborczej wyprawy kijowskiego księcia. W rękopisie ipatiewskim zawarty jest również latopis halicko-wołyński z XIII wieku powstały w księstwie halicko-wołyńskim.

Dlaczego Mieszko I nie starał się odzyskać Grodów Czerwieńskich? W 977 roku zmarła jego żona czeska księżniczka Dąbrówka. Dwa lata później Mieszko musiał odparć najazd cesarza Ottona II. Konflikt ten zakończył się w roku 980, krótko przed zaborem Grodów Czerwieńskich, układem pokojowym. Przypieczętowało ten układ małżeństwo polskiego księcia z margrabią niemiecką Odą. Wydaje się, że wówczas najważniejszymi celami politycznymi dla Mieszka było przyłączenie Śląska i Krakowa i te cele odsunęły problem odzyskania utraconych Grodów Czerwieńskich.

Odzyskał je na krótko bo tylko na przeciąg 12 lat w roku 1018 jego syn Bolesław Chrobry w wyniku zwycięskiej wyprawy na Kijów. Utracił Grody Czerwieńskie jego syn Mieszko II w roku 1030.

Wydarzenia te nie wpłynęły na rozluźnienie stosunków polsko-ruskich. Obie dynastie Piastów i Rurykowiczów wiązały liczne i rozgałęzione koligacje owocujące mieszanymi małżeństwami, w których następował balans religijno-kulturalny i konsekwencje w sferze działań politycznych.

Od księżniczek ruskich „roito się” na dworach piastowskich. Chrobry wydał swoją córkę za księcia kijowskiego Świętopełka. Kazimierz Odnowiciel żonaty był z Dobronegą, siostrą (a niektórzy sądzą, że córką) potężnego księcia

ruskiego Jarosława Mądrego. Warto przypomnieć, że z okazji tego małżeństwa 800 ruskich jeńców z wyprawy Chrobrego na Kijów wróciło na Ruś. Z pięciu synów Bolesława Krzywoustego trzech poślubiło ruskie księżniczki. Bolesław Kędzierzawy Wierchostawę, córkę Wsiewołoda księcia Nowogrodu (przbyła na dwór polski jako 10-latką), Mieszko II Stary Eudoksję, córkę Izjasława II księcia kijowskiego, Kazimierz Sprawiedliwy Helenę, córkę Rościława I księcia kijowskiego, córki Krzywoustego – Agnieszka była żoną Mściława II księcia włodzimierskiego, Ryksa – Włodzimierza ks. nowogrodzkiego. Pierwszą żoną Krzywoustego była zresztą też Rusinka, księżniczka kijowska, Zbysława Świętopełkówna. Wnuk Krzywoustego a syn Mieszka III Starego Odon żonaty był z Wyszesławą, córką Jarosława księcia halickiego. Syn Władysława Wygnańca Bolesław Wysoki poślubił córkę księcia kijowskiego Wsiewołoda Zwinistawę. Również troje dzieci Kazimierza Sprawiedliwego weszło w związki małżeńskie z przedstawicielami dynastii Rurykowiczów. Nieznana z imienia córka była żoną Wsiewołoda Czarnego księcia kijowskiego, Leszek Biały żonaty był z Grzymisławą, córką Ingwara księcia łuckiego, żoną Konrada Mazowieckiego była Agafia, córka Świętosława księcia włodzimierskiego. Była ona prababką Kazimierza Wielkiego.

Jerzy Masior

JEDNA TYLKO CHWILA

*Przyjdziemy
i pójdziemy gdzieś
każdy na swoje miejsce
przyjdziemy do
lub pod swoją bramę
Zakotwiczmy zdziwienie
szkaradzieństwo pleśni
wydechu naszych klatek
schodów balkonów
pomazanie patyną dziesięcioleci*

*które nie jest
malachitem
Filligran pragnień
każde pantarei
sprawdzi się ze zgrozą
z podziwem z nostalgią
Przedojrzałość czasu
ucieka w pragnienie
pragnienie
pragnienie
mój ślad
na mojej ulicy.*

3.XII.1999

Zofia Różańska

Podolski wrzesień

Piękny wrzesień 1999 r. przywiódł mi na pamięć równie piękny, ale brzemienny w skutki wrzesień 1939 r. Lato na Podolu było wtedy szczególnie gorące. Nad falującymi łanami złotej pszenicy i srebrzystego żyta drgało rozgrzane powietrze. We wrześniu, choć już po żniwach, upalna pogoda trwała nadal.

Mimo, że byłam jeszcze dzieckiem, wspomnienia tamtych dni głęboko zapadły mi w pamięć. Ojciec mój był zawiadowcą stacji w Teresinie, gdzie linia kolejowa wiodąca od strony Tarnopola rozdzielała się do dwóch nadgranicznych miejscowości: Iwania Pustego i Skały Podolskiej. Stacja oddalona była od większych osiedli, a w pobliżu znajdowało się zaledwie kilka zabudowań. W tych warunkach do szkoły chodziłam w Kopyczyńcach, natomiast lato i wolny od nauki czas spędzałam w domu rodzinnym. Ze względu na groźną sytuację polityczną i ogłoszoną pod koniec sierpnia mobilizację, mimo zbliżającego się rozpoczęcia roku szkolnego, rodzice zatrzymali mnie przy sobie.

Syn Konrada Mazowieckiego – Bolesław I skoliżony był z Rurykowiczami przez swoją drugą żonę Anastazję, córkę Aleksandra księcia bełskiego. Drugi jego syn Siemowit I Mazowiecki miał za żonę Perejasławę córkę Daniela księcia halickiego, który był założycielem lub ojcem założyciela drewnianego grodu lwowskiego w połowie XIII wieku. Wnuk Perejasławy i Siemowita I – Trojden I książę sochaczewski i czerski, ożeniony z Marią, córką Jerzego I księcia halickiego miał syna Bolesława Jerzego II księcia halicko-włodzimierskiego, otrutego przez bojarów ruskich we Lwowie w roku 1340. Jego żona Eufemia, córka Gedymina Wielkiego, księcia litewskiego, była rodzoną siostrą 1-szej żony Kazimierza Wielkiego Aldony. Miało to swoje polityczne uzasadnienie i skutki w zabiegach króla Kazimierza Wielkiego o sukcesję na tronie halickim po bezpotomnej śmierci Jerzego II Trojdenowicza.

Te tak liczne, rozgałęzione związki pokrewieństwa między Piastami a Rurykowiczami, które miały miejsce od XI do XIV wieku, poszerzone o kilka koligacji z dynastią węgierskich Arpadów znalazły swoją historyczną konsekwencję w układzie stosunków politycznych między Polską, Ruśią a Węgrami, w których stronę było również Wielkie Księstwo Litewskie.

(c.d.n.)

swoje przerażenie, gdy zobaczyłam przedzierającego się przez ogród rosyjskiego żołnierza. Jego dziwaczna czapka ze szpiczastym zakończeniem upodabiała go w mojej wyobraźni do diabła. Był to mój pierwszy i mimo upływu sześćdziesięciu lat niezapomniany do dziś kontakt z najeźdźcą.

Wczesnym rankiem, w dniu kiedy przekroczona została nasza granica wschodnia, ojciec otrzymał wiadomość od swoich władz zwierzchnich, że Rosjanie idą nam z pomocą i należy przekazać im klucze. Tego polecenia do dziś nie mogę zrozumieć. Skoro idą z pomocą, to nasze służby pozostają na miejscu, więc czemu mają przekazywać klucze? A po drugie skoro to jest pomoc, to czemu strzelają? Jak widać był ogólny chaos i całkowita dezinformacja.

Zgodnie z poleceniem ojciec jak również zawiadowca drogowy pozostali na swoich posterunkach. Tymczasem do stacji podeszli radzieccy żołnierze. Zauważyli schron przeciwlotniczy, który był zwykłym rowem, przykrytym darnią, z wejściem na obu końcach. Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia oddali serie z karabinów maszynowych. Na szczęście w schronie nie było nikogo. Następnie weszli do budynku dworca. Granatowe ze złotymi dystynkcjami mundury ojca i zawiadowcy drogowego potraktowano jako wojskowe. Jeden z żołnierzy stwierdził, że są to zapewne oficerowie francuscy i należy doprowadzić ich do komendanta. Nie napotykając na opór, wojsko posuwało się szybko, a wraz z nim komendant. Żołnierze jechali konno, natomiast ojciec z kolegą musieli iść na piechotę, a właściwie biec. Wreszcie po wielu kilometrach dotarli do komendanta. Tu wyjaśniło się, że jeńcy są kolejarzami, a nie francuskimi oficerami. Niestety ojciec miał bardzo obtarte, krwawiące stopy. Komendant być może w ludzkim odruchu skierował go do szpitala w Husiatynie. Tak się fatalnie złożyło, że kierowca był pijany i przejechał na drugą stronę Zbrucza. Szpitala nie udało się znaleźć, ale ktoś zrobił ojcu opatrunek. W sumie upłynęło kilka dni i zaczęto formować obozy jeńskie. W taki sposób wraz z oficerami ojciec dotarł do Starobielska, gdzie spędził kilka tygodni. Przypadkowo spotkał tam znajomego Ukraińca, niewątpliwie komunistę, gdyż pełnił jakąś funkcję w obozie.

Okazało się, że oprócz oficerów byli tu jeszcze żołnierze, których sukcesywnie zwalniano. Ojciec nie był ani oficerem ani żołnierzem i chyba nie wiedzieli co z nim zrobić. Ów Ukraińiec poradził mu, żeby podczas wyczytywania nazwisk zwalnianych żołnierzy, krzyknął jestem i dołączył do szeregu. Rachunek trochę się nie zgadzał, ale jakoś się udało. I w ten sposób po sześciu tygodniach, kiedy u nas spadł już pierwszy jesienny, mokry śnieg, ojciec przemarnięty, w samym tylko mundurze dotarł do domu.

A teraz kilka słów na temat co działo się w tym czasie z mamą i ze mną. Po zabranii ojca byliśmy zrozpaczone. Wszelki ślad po nim zagał. Mama pojechała do powiatu, gdzie rządy sprawował znajomy krawiec-Żyd. Wydał jej odpowiednie zaświadczenie, na podstawie którego mogła zabrać ojca z miejsca internowania. Obóz jeńców, do którego dotarła znajdował się w polskiej części Husiatyna. Pod gołym niebem, na ziemi siedzieli wygłodniały nasi żołnierze i oficerowie. Niestety ojca wśród nich nie było. Był jak już wspominałam po drugiej stronie Zbrucza, czyli za naszą granicą. Tymczasem w Teresinie stawało się coraz bardziej niebezpiecznie. Strażnicy kolejowi, którzy pilnowali pobliskiego mostu, zostali zabici, gdyż byli z bronią. Ci, którzy nie mieli wtedy służby, prawdopodobnie przeżyli. W sumie na dworcu pozostało zaledwie kilku robotników kolejowych. Nasza służąca w ostrej formie oznajmiła, że „dłużej panom służyć nie będzie” i zażądała wysokiej odprawy. Wynagrodzona – odeszła. Zaczęły dochodzić pogłoski, że chłopcy z nadgranicznych, komunizujących wsi, szykują się do napadu na mieszkańców stacji. Tymczasem zjawiał się u nas jakiś komendant wojskowy, który chciał skompletować obsadę kolejową. Skoro okazało się, że nie ma zawiadowcy, funkcję tę zaoferował mojej mamie, uważając zapewne, że żona potrafi zastąpić męża. Mama powiedziała, że się zgodzi, ale zażądała wagonu do przeprowadzki, tłumacząc tym, że dziecko musi pójść do szkoły. Był na tyle naiwny, że uwierzył iż mama po przeprowadzce wróci. Dostałyśmy wagon, do którego załadowano cały nasz dobytek i wojskowym transportem dotarliśmy do Kopyczyniec. Byliśmy już bezpieczni i oczekiwaliśmy na powrót ojca. □

Alfred Janicki

Opowiadania Mamy...

Na skraju Pantalichy, w gminie Strusów znajduje się rodzinna wieś mojej żony Marii, wieś Bernadówka. Tam też rozgrywały się wydarzenia o których w rodzinnym gronie opowiadamy tak, aby nasi wnukowie o tych wydarzeniach wiedzieli i pamiętali, gdyż związane były ściśle z historią naszego narodu.

W czasie I Wony Światowej młoda Maria Ostrowska pracuje w drukarni w Rzeszowie. W 1915 roku w jednym z rzeszowskich parków, w trakcie niedzielnego spaceru poznaje żołnierza JCM. Jest nim Józef Skulski. Po kilku spotkaniach Józef opuszcza Rzeszów. Piszą do siebie. Obiecują sobie po wojnie... wspólne życie. W 1917 roku Józef nie odpisuje na listy Marii. W czerwcu 1918 roku Maria przez okno drukarni zauważa idącego o kulach żołnierza... nie ma wątpliwości, to jej Józef. Wybiega na ulicę, zabiega drogę idącemu... zatrzymują się oboje... skrzyżowane spojrzenia... ból ściska gardło... długo nie mogą wypowiedzieć do siebie

swych imion... tylko te oczy. Przypadają do siebie. Po chwili... zostań, nie trzeba. Maria jednak nie słucha. Zmusza Józefa, aby opowiedział o dniach, miesiącach swego milczenia. W jednej z bitew rosyjski pocisk ciężko ranił Józefa w prawą nogę, nie było wyjścia – lekarze dokonali amputacji nogi do wysokości kolana. Był oczywiście załamany, nie zamierzał być ciężarem dla Marii i dlatego nie odpisywał na jej listy. Teraz Maria uważała, że powinni wypełnić swą młodzieńczą decyzję z 1915 roku... założyć rodzinę i na pewno dadzą sobie radę.

Biorą ślub. Zamieszkują u rodziców Marii w Nowym Tyczynie koło Trembowli. Na świat przychodzi tutaj córka Karolina (jest rok 1921). Józef chce iść „na swoje”. Ma dosyć wysoką rentę inwalidzką. Upatrzył sobie dom i gospodarę w niedalekiej Bernadówce. Sam Józef nie może zbyt intensywnie pracować w gospodarstwie. Szereg prac wykonuje Maria. Początkowo dorywcz, a później wynajmują na stałe dwóch parobków. Józef zakłada sklep... zaczyna się im powodzić dobrze. Przybywa im dzieci... kolejny Zbyszek, Czesiek i w 1936 Jadwiga. Rodzina Skulskich cieszy się uznaniem sąsiadów. Są pracowici. Często Józef na przed-

nówku daje sąsiadom towar „na notes”. W ich domu i sklepie rozmawia się tylko po polsku (Maria do końca swego życia nie zdołała poznać mowy sąsiadów – Rusinów). Ciekawostką jest to, że wielu sąsiadów-Rusinów starało się mówić do Skulskich po polsku (tacy otrzymywali od Józefa częściej wpis do notesu). Dzieci wychowywali w znajomości historii Polski, we wsi wręcz obnosili się swoją polskością. Czesiek w 1938 roku zaciągnął się ochotniczo do służby wojskowej w 9 Pułku Ułanów w Trembowli. Z tego syna Skulscy byli najbardziej dumni (szybko poznał umiejętność gry na kilku instrumentach muzycznych – najlepiej lubił altówkę. Miał bardzo duże zdolności do zagadnień technicznych). Karolina i Zbyszek należeli do „Strzelców”. Wszystkie święta państwowe były bardzo uroczyste w tej rodzinie obchodzone.

Od końca 1938 roku Skulskim zaczyna się powodzić gorzej. Zapisani dłużnicy w notesie Józefa powiększają swoje długie – Józef nie umie odmówić. Ogranicza handel do wyrobów tytoniowych – „trafika”.

Wrzesień 1939 roku. Do Bernadówki wkraczają Rosjanie. W gminie władzę mają Rusini (teraz nazywają się Ukraińcami). Silradą kieruje Ukraińiec Kulikowski. Skulskiemu radzi, aby przestał się tak obnosić ze swoją polskością i aby przestał pomagać się od ludzi zwrotu długów, a najlepiej będzie jak się zajmie gospodarzeniem, bo Rosjanie pytali go kto w Bernadówce jest „ważny”, bogaty, albo: „samaja, łudszaja, polskaja siemja”. Skulscy odtąd żyją w niepewności o swój los. Oddają kontyngenty Rosjanom, chociaż widzą, że bogatsi od nich Ukraińcy mają mniejsze powinności. Dzieci pracują na ziemi. Maria dorabia szyciem (tej umiejętności uczy najstarszą Karolinę). Często robią dla sąsiadów kaszę, gdyż w okolicy tylko Skulscy mieli specjalny młyn. Czesiek grywa na okolicznych weselach. Jakoś sobie radzą. Józef jakoś „zamknął się w sobie”, stał się bardzo nerwowy, wybuchowy. (To nie może tak być wiecznie, ta taka hołota nie może rządzić, też oni nie czytali ni pisali.) W domu opowiadał, że dużo młodych Ukraińców zapisuje się do wojska Bandery, że chcą oni Samostijnej Ukrainy, że „Lacham bude kinec, no teper sze Moskały ne dajut pohulaty” – to były słowa, które często Skulski słyszał we młynie od przybywających tam Ukraińców, a które wypowiadali do siebie.

Czerwiec 1941 roku. Nad Bernadówką (a była to niedziela) pojawiły się samoloty niemieckie. Nadleciały niziutko i kierowały się w stronę Darachowa, gdzie Rosjanie mieli polowe lotnisko. Rozgorzała kanonada. Wystrzały z broni p/lotniczej mieszały się z wybuchami bomb rzuconych przez pilotów niemieckich. Rosjanie stracili dużo samolotów na lotnisku, nie zdołali strącić żadnego samolotu niemieckiego. Jeden z samolotów niemieckich zapalił się od wybuchu bomby rzuconej przed momentem przez jego kolegę. Płonący samolot spadł na pola Pantalichy. W ostatniej chwili piloci (mocno poparzeni) zdołali wyskoczyć z płonących maszyn. Ukraińcy mieli swój wywiad i dali znać do przewodniczącego Silrady, która znajdowała się w domu Ukraińca – Gardeckiego. Ten zaprzął konie do drabiniastego wozu i pojechał w stronę Darachowa. Na polach Pantalichy nakosił koniczyzny, załadował ją na wóz, ukrywając jednocześnie na nim poparzonych pilotów niemieckich. Droga, którą przebył z rannymi wynosiła około 7 km. Rosjanie poszukiwali pilotów. Zobaczyli już w Bernadówce nadjeżdżającego Gardeckiego, nie zatrzymali go, wjechał na podwórze i rozładował koniczyznę. W kurniku miał uszykowaną kryjówkę, w której

umieścił niemieckich pilotów. W tym samym dniu oparzył sobie rękę (specjalnie) wrzątkiem i udał się do Strusowa, do lekarza (nazywał się Ślepy – pisałem o nim w opowiadaniu o napadzie na rodziny Polaków w Ruzdwanach). Lekarz przypisał Gardeckiemu lekarstwa przeciwooparzeniowe, które służyły w istocie leczeniu niemieckich pilotów. Po około 2 tygodniach od ataku niemieckich samolotów na rosyjskie, polowe lotnisko w Darachowie, Rosjanie ogłosili aby wszyscy mieszkańcy Pantalichy i Bernadówki posiadający swe gospodarstwa w pobliżu folwarku opuścili swe domostwa, gdyż będzie duży wybuch. Rzeczywiście był duży wybuch magazynu bomb i pocisków zgromadzonych tutaj przez Rosjan. Rosjanie wycofując się wobec zbliżających się wojsk niemieckich, wysadzili swoje magazyny w powietrze. Po wkroczeniu Niemców, dotychczas ukrywający się piloci ujawnili się. Chodzili po Bernadówce. Na domach Ukraińców wisiły sino-żółte chorągwie. Radość panowała wśród kolonistów niemieckich na Pantalichy i w Nowym Tyczynie (Kundermany, Uchmany). Gardecki chodził dumny – to do niego przyjechały niemieckie rodziny ocalonych pilotów. Otrzymał też on zwolnienie z kontyngentu, otrzymał dodatkowe kartki żywnościowe (kiedy Niemcy wycofywali się w 1944 r. to rodzina Gardeckiego wyjechała z nimi do Rzeszy).

Po owym lotniczym nalocie, na okolicznych polach pozostało dużo min przeciwpiechotnych. teraz Niemcy chcąc oczyścić przynajmniej część terenu spędzili pewną ilość Żydów i polecieli im wyszukiwać te miny (były one wielkości półlitrowego kubka). Wielu Żydów zginęło przy dotknięciu miny.

Czesiek Skulski uchodził za znawcę materiałów wybuchowych. Od kilku dni przychodził do braci Fitkowskich (Józek, Tośko i Zbyszek) i namawiał ich, aby razem pójść do wraku niemieckiego samolotu. Mama Fitkowskich jak mogła starała się nie dopuścić do tej eskapady, ale im ona więcej odradzała, tym Czesiek więcej zapewniał swych kolegów iż żadnego niebezpieczeństwa nie ma. Po trzech dniach poszli. Do wraku doszli bez przeszkód. Doszli. Tutaj Zbyszek z Tośkiem stanęli za skrzydłem samolotu, Józef stanął kilka kroków od Cześka, Czesiek przykucnął, trzymał w ręku jakiś niewielki przedmiot, podobny do gamuszka i coś przy nim manipulował. „Czesiek nie grzeb w hum, odrzuć” zawołał w pewnym momencie Józef i... błysk, huk... chwila okropnej, przerażającej ciszy. Józef krzyknął przeraźliwie, z jego ręki buchnęła krew, cały tułów spływał krwią. Dwaj bracia zza skrzydła samolotu zobaczyli rozerwanego Cześka, dopiero po dłuższej chwili Tośko zauważył, że też jest ranny. Wiadomość o tej tragedii rozeszła się błyskawicznie po całej okolicy. Na pogrzeb Cześka przybyło wiele polskiej młodzieży z całej parafii Strusów. Pożegnał Go ksiądz Wiśniewski. Długo nad mogiłą stała cała rodzina i najbliżsi sąsiedzi. Dziewczęta złożyły na mogile ogromne naręcza kwiatów. Maria patrzyła swymi błękitnymi oczyma ponad zgromadzonymi, hen w otwartą przestrzeń stepu Pantalichy. Józef nie o takim losie syna myślał. Powracali do domu, nie odczuwał swego kalectwa. Oboje trzymali za ręce najmłodszą córkę Jadwigę. Już w pobliżu swego domu usłyszeli z boku śmiech i słowa: „jakby jich sze zo wsim rozerwało, to pewno ciłyj Tarnopil by tutka bu?”. Maria nie reagowała, Józef spojrzał w stronę skąd dochodził śmiech, poznał syna największego swego dłużnika, teraz po policzkach spłynęły ogromne, ciężkie, palące łzy. □

Tadeusz Kukiz

Matka Boża Łucka znowu w katedrze Wołynia

Pod koniec czerwca br. wyruszyła autokarem z Wrocławia do Łucka grupa pielgrzymów, składająca się głównie z dawnych Wołyniaków, by przekazać do tamtejszej katedry rzymskokatolickiej nową kopię cudownego obrazu Matki Bożej Łuckiej. Trzeba przypomnieć, że cudowny wizerunek, otrzymany ok. 1598 r.



Kopia obrazu Matki Bożej Łuckiej (wyk. art.-mal. Teresa Buczyńska). Ze zbioru p. Hanny Ryszkiewicz

przez biskupa łuckiego Bernarda Maciejowskiego w darze od papieża Klemensa VIII, spłonął w 1924 r. podczas pożaru ołtarza głównego, toteż sporządzenie nowej kopii było możliwe dzięki zachowaniu starej (z 1670 r.), która po drugiej wojnie światowej trafiła do podoławskiej wsi Siedlce. Ponieważ w dotychczasowych publikacjach prasowych (z wyjątkiem tej na łamach „Wiadomości Oławskich”, z natury rzeczy o niewielkim zasięgu) ograniczono się tylko do ogólnikowych informacji na ten temat i nawet nie wymieniono

z nazwiska kilku osób, staraniem których powstała nowa kopia – wypada choćby pobieżnie przedstawić, jak to było.

A było tak: Zajmując się od lat dziejami obrazów Matki Bożej przywiezionych po drugiej wojnie światowej z Kresów południowo-wschodnich, natknąłem się na wzmiankę w „Katalogu ruchomych zabytków sztuki sakralnej w archidiecezji wrocławskiej”, że w kościółku w Siedlcach k. Oławy znajduje się obraz, określony w tym katalogu jako „Matka Boża z Łucka, przywieziony przez repatriantów”. O jego pochodzeniu nie wiedział ani proboszcz, ani pytani przeze mnie o to parafianie. Dopiero kiedy trafiłem do pani Bronisławy Guzy, dowiedziałem się, że w 1946 r. jej ojciec otrzymał ten obraz w Oławie od ks. Tadeusza Pilawskiego, który przybył tam z Witkowa Nowego k. Radziechowa w Tarnopolskim. W czasie, gdy się tym zainteresowałem, ks. Pilawski już nie żył i pytanie, skąd pochodzi obraz, pozostawało bez odpowiedzi. W częściowym rozwiązaniu tej zagadki pomogła mi książka „Gertruda z Komorowskich Szczęsno-wa Potocka” (1906 r.) popularnego niegdyś lwowskiego historyka Józefa Białyni Chołodeckiego, który podał, że w witkowskim kościele znajdowała się „kopia obrazu Matki Bożej Łuckiej z roku 1670”. Kiedy i w jaki sposób obraz ten trafił do kościoła w Witkowie, nie wiadomo. Być może okoliczność, iż Witków leży na pograniczu z Wołyniem, powodowała, że wieści o cudach doznawanych za pośrednictwem wizerunku Matki Bożej Łuckiej tam docierały i dlatego parafia postarała się o własny taki wizerunek.



Kościółek w Siedlcach k. Oławy

Fot. T. Kukiz

W roku 1994 w jednym z pism regionalnych opublikowałem o siedleckim obrazie artykuł, w którym proponowałem wykonanie na jego podstawie kopii i przekazanie jej do zwróconej niedawno wiernym łuckiej katedry (odbitkę artykułu przesłałem proboszczowi katedralnej parafii, ks. Ludwikowi Kamilewskiemu); w ub. roku tekst ten przedrukowała „Gazeta Lwowska”.

Zdarzyło się, iż przeczytała go pochodząca z Łucka pani Hanna Ryszkiewicz, mieszkająca obecnie we Wrocławiu. I ona właśnie wzięła sobie do serca sprawę wykonania kopii i ofiarowania jej wiernym w Łucku. Wymagało to, oczywiście, zebrania niemałych funduszy – nie tylko na pokrycie kosztów sporządzenia kopii, ale również na odnowienie siedleckiego obrazu, bo podczas powodzi w 1997 r., wskutek zalania kościółka, uległ częściowemu zniszczeniu.

Dawni mieszkańcy Wołynia wsparli panią Ryszkiewicz w jej staraniach o zdobycie potrzebnej kwoty (najwięcej pomogli: dr Jadwiga Teleżyńska, ks. Mirosław Drzewiecki, Eugenia Nowak, Halina Kierska i Bogdan Dąbkowski), ale to głównie dzięki prawie rok trwającym staraniom i wysiłkom pani Ryszkiewicz – także wielokrotnym, wielogodzinnym kwestom pod kościołami – udało się zrealizować oba cele: odnowić siedlecki obraz (mgr Maria Kubaczka-Regulińska) i wykonać jego kopię (art. mal. Teresa Buczyńska) oraz wyruszyć z pielgrzymką i obrazem do Łucka. Stało się to za sprawą osób znanych z imienia i nazwiska, nie bezimiennych „dawnych mieszkańców Wołynia”.



Mat. T. Teleżyńska, Łuck.

Łuck. Katedra Katedralna

Zofia Konrad-Gluzińska

*Na falach tęsknoty za Lwowem
Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie,
Z kilką przyjaciół siadłszy przy kominię,
Drzwi do Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą do szczęśliwych czasów,
I dumał, marzył o swojej krainie...*

Impresje pod tym tytułem, nawiązującym do celnie dobranych cytatów z Pana Tadeusza, spisała w osobnym zeszycie, przechowywanym obecnie wśród pamiątek rodzinnych, Zofia Konrad-Gluzińska¹⁾, lwowianka rzucona przez los wojenny do Nowego Targu. Pisała je w sierpniu 1945 r., w chwilach bolesnej świadomości, że powojenna rzeczywistość na zawsze już zamknęła drogę powrotu do ukochanego miasta. Pozostały jedynie wspomnienia, jakże jeszcze świeże, i tęsknota – jakże beznadziejna. Pod jej presją, ale i w opozycji do chwili bieżącej, Autorka przywołuje na pamięć niektóre momenty ożywczej atmosfery Lwowa, by choć nad kartą papieru oderwać się od przytłaczającej ją, szarej codzienności. Zapiski te niechże dzisiaj, po latach pięćdziesięciu z okładem, wyjdą na światło dzienne, stanowiąc skromny przyczynek do bogatego korpusu świadectw mówiących o przywiązaniu lwowian do swego nieodżałowanego Grodu²⁾.

1 VIII 1945

*Litwo, ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie:
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.*

Czyż ta inwokacja – nie byłaby aktualną i bardzo żywotną w zastosowaniu do Lwowa w obecnej chwili?

Czyż dopiero dzisiaj, gdy ten nasz Lwów jest poza naszą orbitą, poza sferą naszych możliwości skontaktowania się z nim – jest jak to „zdrowie”, które, gdy się je utraci – cennem się staje nad wyraz?

Może dopiero dzisiaj, gdy dzieli nas od Naszego Grodu granica nieprzeparta, barykada – zda się nie do przebicia – tęsknimy za nim, każdym fibrem naszego jestestwa i staje się on nam droższy ponad wszystko!

I dziś, gdy każdy z nas lwowian będąc z dala od naszego „Semper Fidelis” – Grodu umiłowanego – gdyśmy się wszyscy rozbiegli niemal po całym świecie – jako te dzieci od matki odłączone – często, och jakżeż często myślami jesteśmy tam, tam daleko, gdzie wątlą wstęgą wije się Pełtew. Wówczas różne wspomnienia, jak w kalejdoskopie, przesuwały się przed oczyma naszej duszy.

Od roku jestem poza Lwowem³⁾ – i teraz dopiero mogę powiedzieć, że wiem i rozumiem już, co to znaczy nostalgia. Dotąd słowo to było mi obce, a raczej znane tylko z brzmienia i literatury – obecnie z przeżycia. Mieszkając we Lwowie od urodzenia niemal – nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, jak niezmiernie przywiązana jestem do tego miasta, do jego tradycji, architektury i zwyczajów – do ludzi, ulic, kościołów i ogrodów – cmentarzy i pamiątek. I gdybym miała wybierać z wszystkich miast Polski, dużej i szerokiej – gdzie się osiedlić, gdzie zacząć nowe życie powojenne – gdzie rozbić namioty i zorganizować nowe bytowanie – to niestety – przyznać się muszę do tego „partykularnego patriotyzmu” – że tylko Lwów i jeszcze raz Lwów mnie pociąga. Nie nęci mnie ani dobra i intratna posada na Zachodzie, ani nadzieja otrzymania komforto-



wego i luksusowego mieszkania na Pomorzu – ani dobra aprowizacja i znaczne przydziały w poznańskim – chcę i pragnę jeno wrócić do Lwowa! Przypominają mi się słowa ze starego wiersza, bo jeszcze z 1914 i 1915 roku: „Może uda się, że powrócę zdrów i zobaczę miasto Lwów”.

Tam we Lwowie – wszystko będzie dla mnie dobre i sprzyjające; i warunki i ludzie. Klimat duchowy tego miasta odpowiada mi najlepiej i w nim tylko mogę się czuć dobrze! Nic na to nie poradzę – tam żyć i tam umrzeć pragnę!

Rozumiem teraz człowieka skazanego na banicję, wyklętego przez kościół, czy będącego na emigracji – te wszystkie uczucia są mi już znane od „a” do „z”. Jak bardzo często – gdy wszystko dookoła kładzie się na spoczynek wieczorny – cała nabrzmiała od tęsknoty, rozelkana jak dziecko wyrwywające się do matki, bezradna i smutna – snuje się w myślach po ulicach naszego starego Lwiewo Grodu. Gdyby te myśli moje miały jakiś kształt i szatę realną – to by ich było pełno w każdym zakamarku Lwowa – zalałyby ulice, kościoły, kamienice i ogrody. Boże, czemu ja nie jestem teraz tam – we Lwowie?

Wciąż sobie robię wyrzuty, że opuściłam to moje ukochane miasto, że stchórzyłam, że nie miałam odwagi stać czoła przeciwnościom. I dziś słuszna mnie spotkała kara, słusznie, że param się z tęsknotą przeokrutną, że miejsca sobie znaleźć nie mogę, że zawsze mam przed oczyma duszy ten mój najdroższy, opuszczony Lwów – miasto mego szczęśliwego dzieciństwa – miasto najcudniejszych wspomnień. Ty drogie moje miasto Orląt!

5 VIII [19]45

Dzisiaj niedziela – i znów gromada wspomnień mnie bierze w swoje posiadanie. Ile to różnych niedziel przeżyło się tam, we Lwowie! Były jasne i pogodne, pełne radości i wesela, i były szare i ponure, pełne smutku i zadumy. Ale wszystkie były nasze – te lwowskie niedziele!

...Rano, jeszcze dobrze oczu nie otworzył, a tu już budzi cię muzyka – muzyka w radiu, muzyka na ulicy. Paru grajków odświeżenie poubieranych zarabia muzyką na chleb codzienny. Robią to z wdziękiem wyszukany i niczym to ich zajęcie nie przypomina zwykłej żebraniny. A więc tanga: „Ostatnia niedziela” – to szlagier najnowszy! – Słońce wyzłaca morze zieleni lwowskiej, niebo błękitne otula pieściwie panoramę Lwowa od Wysokiego Zamku po Park Kilińskiego. Nasz Gród tonie w światłach i cieniach – całe miasto rozśpiewane i pełne muzyki. Ulicami prze-wala się niedzielna publiczność godnie święcąc dzień odpoczynku i próżniactwa. Ulica Akademicka, „korsem” zwana, zapełniona po brzegi zda się nie pomieścić wszystkich. Jedni wracają z „dziesiątówki” od Dominikanów, drudzy spieszą na sumę do Bernardynów, jeszcze inni, leniuchy i śpiochy, suną na „dwunastówkę” do Katedry. Zwolennicy nastrojów podążają na „pierwszą” do Katedry Ormiańskiej, by tam modlić się przy wtórze skrzypiec lub śpiewie sławnego tenora.

Po kościele każdy podąża w inną stronę, inaczej realizuje swoje plany niedzielne. Jedni szukają biesiad arty-

stycznych i spieszą gromadnie do muzeów i na poranki muzyczne do Towarzystwa Muzycznego⁴⁾, inni idą na ploczki i „jedną czarną” do Zalewskiego, Welza lub Georgea. Zwolennicy przyrody zapewniają parki i ogrody, a jest ich wiele we Lwowie, młodzież z pasją prowadzi ewidencję programów kinowych, by wreszcie „osiąść na mieliźnie” jednego z kin, na najbardziej szlagierowym programie.

Wszędzie, jak w ulu, pełno, gwarno, wesoło – bo lwowiacy są znani z tego, że są do „wypitki i do wybitki”. Dziarscy ludzie, bohaterscy, jak trzeba – chyba dowodów na to przypominać sobie nie musimy – ale też i sentymentalni, uczuciowi, nie pozbawieni romantyzmu – kochający wolność, ceniący radość życia i nader przywiązani do swojego miasta. Umieją się radować, cieszyć i bawić – mają szeroki gest i otwarte serca.

...I w tą niedzielę pełno ich wszędzie: na Placu „Targów Wschodnich, w Parku Kilińskiego, na Żelaznej Wodzie, na korsie i w kawiarniach, w teatrze i w kinach.

Ach, jakżeż wszędzie wesoło!

Korzystają z niedzieli i przedstawiciele nauki i sztuki, urzędnicy i kupcy, wolne zawody i Szczepki i Tońki⁵⁾. Cały Lwów świętuje, odpoczywa i raduje się życiem.

10 VIII [1]945

W braku chleba, kupiłam sobie precle. Cóż nadzwyczajnego?, a jednak i te precle przypominają mi Lwów! Przecież precle to na terenie Lwowa przedwojennego, „narodowa potrawa”, bez której nieomal nie obyła się żadna uroczystość. Od niepamiętnych lat – przypominam sobie jeszcze z lat dziecinnych owe sławne preclarki lwowskie – przyjaciółki dzieci. Zażywe, rumiane, w krochmalonych fartuszkach, niosły przed sobą duży kosz napełniony świeżymi, pachnącymi i chrupiącymi preclami. „Po pięć” lub „dwa za pięć”⁶⁾ – uprzejmie zapraszały. Preclarki owe handel swój prowadziły wszędzie, gdzie się tylko dało: w Parku Kilińskiego koło źródła, na placu „Powystawowym”⁷⁾ na skwerach, w Ogrodzie Jezuickim... Nawet nie obeszło się bez nich na Wszystkich Świętych, zalegały tłumnie wejścia na cmentarze i nadal frymaczyły kruchymi preclami. No, a już całe ich procesje „robiły służbę” podczas Targów Wschodnich oraz Wyścigów Konnych⁸⁾. Nie znają wówczas „pasku wojennego”, były sobie dobroduszne kobieciny chcące zarobić parę groszy na życie codzienne. Niemniej jednak, „niechcący nawet”, przeszły do historii Lwowa i są związane z obliczem i panoramą miasta. I za nimi nawet tęsknię – śmieszne, prawda? – jak tęsknię za przekupkami i kwaciarkami lwowskimi. Wszystkie one miały swoisty charakter i łączyło je przywiązanie do Lwowa; gwara „tajojków” i wspólna tradycja miasta odznaczonego *Virtuti Militari*⁹⁾. Ponieważ i ja wyrosłam w tej tradycji, więc tym samym i one są mi bliskie. Nieomal wrosły one w mury Lwowa. Nie wyobrażam sobie po prostu Kościoła Bernardynów bez tego szeregu kwaciarek, które niczym jaskółki przylepiły swe gniazda starganów do murów Bernardyńskich. Albo nasz przebogaty rynek lwowski – roił się codziennie od sławnych przekupek – wygadanych, pyskatek, morowych bab – ale, w gruncie rzeczy, dobrych Polek i wiernych lwowianek. Urodził je i ukołysał Lwów, kształciła ulica lwowska, patronowała tradycja lwowska, dlatego więc uważam je za „siostry lwowskie”.

...Bo tradycja łączy ludzi bardziej aniżeli (oni)¹⁰⁾ to sobie wyobrażają i mimo tego, że ją już niejednokrotnie skazano na banicję, zrobiono nad nią sąd, jak nad niepotrzebnym balastem, tradycja nie zaginie nigdy, bo jest koniecznym spoidłem pokoleń z pokoleniami. Ona je kształci, ona je wiąże i tylko ludzie o wspólnej tradycji mogą znaleźć platformę porozumienia się i przekazywać potomności dorobek mijających pokoleń. Bez tradycji nie byłoby miłości ojczyzny, czynów bohaterskich, uczuć rodzinnych. Bez tradycji nie byłoby ciągłości życia! Należy się jej więc petyzm i szacunek – czyż i historia każdego narodu nie jest oparta na tradycji? Nie wyśmiewajmy więc tradycji!

Na tym kończą się zapiski w zeszycie oznaczonym cyfrą I. Widocznie miały być dalsze, lecz chyba w codziennym trudzie i cierpieniu nie starczyło już na to sił. Ale pamięć i tęsknota przecież nie wygaśły...

Przypisy:

1) Zofia Konrad-Gluźńska, córka Franciszka i Zofii z hr. Ostroróg-Sadowskich, od 1921 zamężna z dr. Józefem Gluźńskim, zmarłym w 1934 r. poetą, tłumaczem poezji francuskiej, nauczycielem gimnazjalnym. Od 1933 r. do 22 września 1939 r. pełniła funkcję sekretarki wojewodów lwowskich, Władysława Beliny-Prażmowskiego (jego pośmiertnej pamięci poświęciła *Wspomnienie sekretarki wojewody Beliny [w:] „Wschód”, Lwów 1937, nr 101*) i jego ostatniego następcy Alfreda Biłyka. Za okupacji sowieckiej (1939-1941) pracowała jako „med.-sestra” w Klinice Internistycznej na oddziale gruźliczym, co po latach stało się przyczyną jej przedwczesnej śmierci. W czasie okupacji niemieckiej zatrudniła się jako pakowaczka w wytwórni cukierniczej Meinla, skąd przeszła na rentę chorobową. Niezależnie od tego współdziałała w konspiracyjnym wydawnictwie Wydziału Propagandy Komendy Okręgu Lwowskiego NOW, sporządzając systematycznie matryce powielaczowe konspiracyjnej gazetki „Słowo Polskie” (zob.: Jerzy Węgierski: *Lwowska konspiracja narodowa i katolicka 1939-1946*. – Kraków 1994, s. 162, 177). W maju 1944 r. przeniosła się ze względów zdrowotnych do Nowego Targu wraz z synami Wojciechem i Tomaszem (zm. 3 maja 1986 w Zakopanem jako ceniony poeta). Tam pracowała po wyzwoleniu w starostwie powiatowym, przebywając okresowo na leczeniach sanatoryjnych w Zakopanem, gdzie niespodziewanie zmarła 4 sierpnia 1950 r. Spoczywa na cmentarzu w Nowym Targu, obok swojej siostry Marii, zam. Kwolekowej (zm. 1960).

2) Tekst wspomnień podał do druku, wstępem i, przy pomocy ojca, przypisami opatrzył wnuk Krzysztof Gluźński.

3) Autorka urodziła się 14 lipca 1901 w Chreptowie, pow. Nadwórna, a dwa lata później rodzina jej osiedliła się na stałe we Lwowie. Tu w 1910 r. Franciszek Konrad otworzył pierwszą w tym mieście nowoczesną szkołę językową prowadzącą zajęcia metodą Berliza (niemiecki, angielski, francuski, włoski). Powojenna epidemia hiszpanki i tyfusu zabrała w 1920 oboje rodziców, a w 1932 r. wielki kryzys światowy spowodował ostateczny upadek szkoły.

4) Sala koncertowa Towarzystwa mieściła się przy ul. Chorażczyzny 7.

5) Szczepko i Tońko, popularne postaci słuchowisk radiowych Wesołej Lwowskiej Fali, powołane do życia tek-

stami Kazimierza Wajdy i Henryka Wogelfängera i ich głosami uosabiane; tu synonimy lwowskich batiarów.

6) Zawołanie preclarek dotyczy ceny, za czasów austriackich w halerzach, za polskich w groszach.

7) Nazwą tą określano tereny Wystawy Krajowej z 1894 r., które, zabudowane nowymi pawilonami, służyły do 1921 r. celom wystawienniczym corocznych Targów Wschodnich.

Mariusz Patelski*

„Pierwszy generał wśród przemysłowców” Z działalności gospodarczej gen. T. Rozwadowskiego

Polska literatura historyczna przełomu XIX i XX w. skupiona jest głównie na problematyce politycznej czy martyrologiczno-powstańczej, jej twórcy z rzadka zajmują się kwestiami gospodarczymi. Ma to także odzwierciedlenie w biografistyce, gdzie znacznie częściej obiektem zainteresowania są życiorysy wodzów i polityków niż pionierów polskiego kapitalizmu, których jeszcze niedawno (w czasach PRL) określano negatywnie jako prywaciarzy, aferzystów czy ge-szefciarzy.

Najnowsze badania dowodzą natomiast, że nawet postacie, których działalność kojarzona jest głównie z polityką czy działaniami zbrojnymi miały zasługi dla rozwoju polskiego przemysłu. Do takich ludzi należał, pochodzący z armii austriackiej, gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski (1866-1928) znany głównie jako obrońca Lwowa w wojnie polsko-ukraińskiej (lat 1918-1919), autor planu bitwy warszawskiej 1920 r. oraz jako dowódca wojsk rządowych w czasie zamachu majowego w 1926 r.

Przyszły szef sztabu WP przyszedł na świat w rodowej posiadłości Rozwadowskich w Babinie nad Łomnicą niedaleko Kałusza. Okolice ta obfitowała w złoża soli potasowych (tzw. kainitu i sylwinitu), które stanowiły drugie po naftie bogactwo naturalne Galicji. Nawozy potasowe produkowane na bazie tych soli, cieszyły się na przełomie XIX i XX w. rosnącym popytem w stale unowocześnianym rolnictwie małopolskim. W związku z tym, że sfer polskiego ziemiaństwa, także Rozwadowskich, raz po raz wychodziły postulaty uruchomienia wydobycia i produkcji tego ważnego dla rolnictwa produktu.

Walka z rządem wiedeńskim o otwarcie kopalni soli potasowych trwała już od początku ery autonomii. Pierwsze towarzystwa, zajmujące się od 1867 r. wydobyciem kałuskich soli, powstały dzięki energii i ofiarności hr. Alfreda Potockiego. W 1875 r. splajtowały jednak na skutek drogiego transportu kolejowego oraz stosowania cen dumpingowych przez podobne przedsiębiorstwa ze Stassfurtu w Niemczech. Sprawa zwiększenia wydobycia i produkcji soli potasowych przez rząd w Galicji była następnie przedmiotem szeregu interpelacji, które zgłaszały sfery ziemiańskie w Sejmie Krajowym oraz w parlamencie wiedeńskim. Nie odniosły one wszakże spodziewanego skutku, a produkcja tego bogactwa wynosiła, w latach 90-tych XIX w., zaledwie 60 wagonów na rok.

Rozwój tej gałęzi przemysłu był sztucznie hamowany przez władze austriackie, a także przez zakulisowe działania niemieckich monopolistów – producentów nawozów potasowych. Zakaz uprzemysłowienia Galicji, w tym wydoby-

8) Ciesząca się dużym zainteresowaniem lwowskiej publiczności impreza sportowa z totalizatorem.

9) Tym najwyższym polskim orderem wojskowym miasto Lwów zostało odznaczone w dniu 22 listopada 1920 r. za bohaterską walkę podczas wojny ukraińsko-polskiej 1918/1919 przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

10) Prawdopodobnie odniesienie do propagandy komunistycznej.

cia soli potasowych, wynikał także ze swoistej polityki obronnej Wiednia. Władze wojskowe widziały bowiem w tej dzielnicy przede wszystkim obszar przyszłych zmagani militarnych, stąd przemysł rozbudowywano głównie w głębi monarchii, zwłaszcza w uprzywilejowanych pod tym względem Czechach.

W początkach XX w. kwestią wydobycia soli potasowych zajął się dr Stanisław Miziewicz, kierownik Biura Solnego przy Wydziale Krajowym (władze wykonawcze w Galicji) oraz członek tegoż Wydziału dr Władysław Jahl. Dzięki ich staraniom Wydział Krajowy uzyskał zgodę ministra dla Galicji na prowadzenie dalszych prac górniczych w rejonie Kałusza. Równocześnie z tymi staraniami utworzono w 1910 r. prywatną Spółkę z o.o. „Kali”, której celem było prowadzenie poszukiwań i eksploatacji złóż soli potasowych. Założycielami tej spółki byli m.in.: Stanisław Majewski – inżynier górniczy saliny kałuskiej, Edward hr. Mycielski, Stanisław hr. Mycielski, Henryk Prek oraz Wincenty Rozwadowski – kuzyn ówczesnego płk. T. Rozwadowskiego i zarazem najbogatszy przedstawiciel małopolskiej gałęzi tego rodu.

Znaczącą przeszkodą na drodze rozwoju spółki stał się jednak brak koncesji na eksploatację złóż soli na wyznaczonym przez to przedsiębiorstwo obszarze. Pozwolenie takie mogło wydać jedynie austriackie ministerstwo skarbu, co jednak spotykało się z dużym oporem władz wiedeńskich. W sukurs pionierom przemysłu potasowego przyszedł wówczas płk Tadeusz Rozwadowski. Dla sprawy tej zjednał on arcyksięcia Leopolda Salwatora – generalnego inspektora artylerii. Arcyksiążę, dzięki swej pozycji na dworze wiedeńskim, dokonał rzeczy prawie niemożliwej i w roku 1911 Spółka „Kali” otrzymała od rządu wymagane koncesje. Doniosłości tej decyzji dopełniał fakt, że całe przedsięwzięcie budowy podstaw nowoczesnego przemysłu potasowego, miało być kredytowane przez Bank Przemysłowy we Lwowie, a więc z użyciem własnych, krajowych kapitałów.

T. Rozwadowski zajął się działalnością na rzecz przedsiębiorstwa potasowego, gdyż uważał to za czyn w równym stopniu patriotyczny, co działalność militarną na rzecz niepodległości Polski. Chodziło ponadto o zachęcenie miejscowego ziemiaństwa, nieufnego wobec wszelkich propozycji lokowania kapitałów poza rolnictwem, do inwestowania w nową gałąź przemysłu.

W 1913 r., po wyczerpaniu kapitałów Spółki „Kali”, doszło do utworzenia nowego – Towarzystwa Akcyjnego Eksploatacji Soli Potasowych („TESP”). Z tą nową instytu-

cją Rozwadowski był również związany, jakkolwiek szerszą działalność na tym polu podjął dopiero po I wojnie, kiedy to jako właściciel 2 tys. akcji przyjęty został w skład rady nadzorczej „TESP”.

W odrodzonej Polsce właściciele spółki borykali się początkowo z szeregiem trudności wynikających częściowo ze zniszczeń wojennych, które dotknęły kałuskie przedsiębiorstwo. Równie niebezpieczne były, wysuwane przez kręgi lewicowe, hasła nacjonalizacji dzierżawionych przez „TESP” kopalń soli. W tym celu lokalna organizacja PPS prowadziła nawet akcję wiecową na terenie kopalni. Z pomocą generała wszystkie te przeciwności udało się jednak pokonać. Sytuacja spółki poprawiła się także w wyniku wojny celnej z Niemcami (od 1925 r.), która zahamowała napływ tanich nawozów dla nowoczesnego rolnictwa Wielkopolski. O prężności małopolskiej spółki świadczyć może fakt, że z własnych funduszy zdolna była finansować budowę nowoczesnych dróg asfaltowych w Małopolsce.

Z interesem solnym związany był generał do 1926 r., kiedy to, wskutek kryzysu i chybionych inwestycji w innych przedsięwzięciach, utracił większość swego majątku.

Poza przemysłem soli potasowych gen. Rozwadowski był także protektorem rodzimego przemysłu zbrojeniowego. Generał pragnął bowiem uniezależnić Wojsko Polskie od dostaw broni z zagranicy oraz wesprzeć polską myśl techniczną. Działania jego wynikały także z chęci modernizacji polskiej armii; już w 1923 r. Rozwadowski wysuwał np.

plany tworzenia oddziałów pancernych zdolnych do samodzielnych działań bojowych. W związku z działalnością gospodarczą, ówczesny minister spraw wojskowych – gen. Władysław Sikorski miał się wyrazić nieco złośliwie o Rozwadowskim, że jest „pierwszym generałem wśród przemysłowców i pierwszym przemysłowcem wśród generałów...”. Prace generała nad modernizacją przemysłu i wojska przerwał zamach majowy 1926 r. Rozwadowski, jako legalista i zwolennik apolityczności wojska, wierny złożonej przysiędze, stanął wtedy na czele wojsk rządowych. Zapłacił wówczas najwyższą cenę, bowiem sanacyjne więzienie, do którego został wtrącony za obronę rządu i Prezydenta RP, opuścił ze zrujnowanym zdrowiem. W rok później (październik 1928 r.) generał zmarł na chorobę, której objawów lekarze nie potrafili zidentyfikować. W środowisku rodzinnym i wśród kolegów z wojska uparcie krążyła pogłoska, że generał został otruty; władze wojskowe nie zgodziły się jednak na sekcję zwłok.

Wokół postaci gen. Rozwadowskiego przez pół wieku trwała zmowa milczenia. Dopiero po roku 1989 otworzyły się możliwości, aby w pełnym zakresie przedstawić jego życie i działalność na rzecz Niepodległej. Odtajniane ciągle archiwa dają nadzieję na szybkie usunięcie kolejnej białej plamy na dziejach Polski.

* Autor pracuje nad rozprawą doktorską poświęconą gen. T. Rozwadowskiemu.

Tadeusz Błażyński (Wetherby – Anglia)

Jerzy Stoszek (Warszawa)

Sąd Okręgowy II-giej Rzeczypospolitej w Czortkowie

1. Obszar i specyfika działalności oraz uwarunkowania historyczne

Niedawna, kolejna rocznica tragicznego 17 września 1939 r. przywołuje pamięć Tych, którzy sprawowali władzę sądową na południowo-wschodnich kresach II-giej Rzeczypospolitej. Dziś żyją jeszcze nieliczni świadkowie ich ówczesnej działalności. Stwarza to być może ostatnią szansę aby szerzej, niż dotąd to uczyniono, przypomnieć o działalności Sądu Okręgowego w Czortkowie i jej istotnych aspektach historycznych.

Obszar działania sądu rozciągał się pomiędzy Dniestrem na południe a Budzanowem i Husiatynem na północy, sięgając na zachodzie po Monasterzyska a na wschodzie do granicy państwowej na Zbruczu. Położenie to determinowało specyfikę spraw sądowych, szczególnie w odniesieniu do Wydziału Karnego SO. Wiele było spraw typowych dla pogranicza, w tym szpiegowskich a także dotyczących działalności antypaństwowych organizacji komunistycznych i nacjonalistycznych, w tym OUN i UOW (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, Ukraińska Organizacja Wojskowa). Były również sprawy związane z „prywatnymi wojnami” między chłopami, czemu sprzyjała pewna ilość ukrytej broni, pozostałej po działaniach w latach 1914-1920.

Duża ilość spraw napływała także do Wydziału Cywilnego, co wynikało ze skomplikowanej, przeważnie rozdrobnionej struktury własnościowej, zróżnicowanych stosunków narodowościowych, wyznaniowych i społecznych oraz odwoławczych funkcji sądu okręgowego, w stosunku do sądów grodzkich. Dodatkowym obciążeniem dla pracy sądu były zmiany w kodeksach, wynikające z unifikacji i reform prawa pozaborowego na jednolity system, obowiązujący w RP.

Dwudziestolecie niepodległej Rzeczypospolitej było szczególnym okresem historii Polski i jej kresów wschodnich. W tym czasie ścierały się dwie idee roli Polski na wschodzie: narodowa i federacyjna. Ta druga, której zwolennikiem był Józef Piłsudski, nawiązywała do tradycji I-giej Rzeczypospolitej wielonarodowej i wielowyznaniowej, o daleko zaawansowanej koegzystencji, różniących się poszczególnych części społeczeństwa, w ramach jednego państwa.

W czasie zaborów, w drugiej połowie XIX w., w rezultacie zmian ustrojowych w państwie austriackim, w Galicji zaistniały warunki, które pozwalały, w pewnym zakresie, na próbę kontynuowania tamtych tradycji. Tak zwane Królestwo Galicji i Lodomarii uzyskało autonomię, w ramach której administracją państwową rządził namiestnik narodowości polskiej oraz działał Sejm Krajowy we Lwowie i funkcjonowało sądownictwo z sądami apelacyjnymi w Krakowie i we Lwowie. W sejmie reprezentowane były ugrupowania polityczne polskie i ukraińskie. Stosunki między nimi były zróżnicowane: od współdziałania aż po ostre spory parlamentarne i konflikty poza parlamentem. Wywoływały je na ogół skrajne, nacjonalistyczne organizacje ukraińskie, które atakowały także działaczy ukraińskich nastawionych pojednawczo do Polaków. Rosnący radykalizm tych organizacji doprowadził do silnego zaostrzenia stosunków polsko-ukraińskich w latach 1902-1908.

W 1908 r. skrajna prasa ukraińska nawoływała wręcz do aktów przemocy. Doszło do tragedii, która była szczytowym momentem tej kampanii: student ukraiński Uniwersytetu Lwowskiego Myroslaw Siczynskij zastrzelił namiestnika Galicji hr. Andrzeja Potockiego w czasie udzielanej mu audiencji osobistej



Antoni Jednak (zdjęcie z 1936 r.)



Adolf Landau (zdjęcie z 1936 r.)



Mikołaj Panek (zdjęcie z 1936 r.)



Kuerner (zdjęcie z 1936 r.)



Aleksander Kmetyk (zdjęcie z 1936 r.)



J. Sagan (zdjęcie z 1936 r.)



Podporucznik Marian Stoszek – zdjęcie podczas urlopu we Lwowie (schyłek 1920 r. po wyparci bolszewików spod Lwowa)

w dniu 12 kwietnia 1908 r. Stosunki polsko-ukraińskie w Galicji znalazły się w krytycznym punkcie. Próba nawiązania do dobrych tradycji I-giej Rzeczypospolitej nie powiodła się.

Wojna polsko-ukraińska w latach 1918/1919 o Lwów i kresy południowo-wschodnie, a następnie wspólna wyprawa polsko-ukraińska na Kijów w 1920 r. to kolejne rozdziały skomplikowanych stosunków między dwoma narodami.

Zakończenie wojny polsko-bolszewickiej i budowa własnej państwowości postawiły przed Rzeczpospolitą, wśród innych problemów, zadanie powołania własnej administracji sądowej na ziemiach dawnych zaborów. W realizacji tego zadania dawna Galicja odegrała ważną rolę ze względu na funkcjonujące, w ramach autonomii, polskie sądownictwo oraz czynne dwa uniwersytety z wydziałami prawa we Lwowie i Krakowie. W ten sposób stała się Galicja źródłem kadr dla odradzającego się sądownictwa polskiego w całym państwie.

Jest oczywiste, że w tej sytuacji sąd w Czortkowie już w początkowym okresie niepodległości mógł się sprawnie zorganizować, w oparciu o wcześniej istniejącą kadrę. Dobór składu sędziowskiego oparto na kwalifikacjach fachowych. Narodowość sędziego nie odgrywała decydującej roli, czego dowodem było, że sędziami oprócz Polaków nominowani zostali Ukraińcy (Ru-

sini) i Żydzi. O szerokim dostępie do wykonywania zawodów prawniczych, niezależnie od narodowości, świadczyć może także fakt, że na ok. 30 czortkowskich adwokatów, Polaków było 6.

Do normalnej praktyki, stosowanej przez sędziów w toku postępowania sądowego, należało posługiwanie się językiem ukraińskim przez osoby składające zeznania przed sądem, nie znające języka polskiego. Takie postępowanie nie obniżało autorytetu sądu a raczej go podnosiło w oczach społeczeństwa.

Poziom moralny i fachowy sędziów był podstawą ich wysokiej oceny w społeczeństwie. Walory te stanowiły o tym, że sąd nad Seretem był ważnym filarem państwa na jego południowo-wschodnim obszarze.

2. Organizacja i skład osobowy

W systemie sądownictwa przedwojennego sąd okręgowy w Czortkowie – jeden z 48 takich sądów w kraju – podlegał sądowi apelacyjnemu we Lwowie. Sąd w Czortkowie był zwierzchnim dla sądów w Borszczowie, Buczaczu, Czortkowie, Kopyczyńcach, Monasterzyskach, Zaleszczykach i Złotym Potoku. Ostatnie lata polskiej administracji wymiaru sprawiedliwości, na południowych terenach województwa tarnopolskiego, charakteryzowały się zmianami personalnymi, związanymi z przechodzeniem na emeryturę bądź z awansami.

Stan personalny w latach 1935-1939 przedstawiał się następująco:

Prezesi: **dr Jan Koch** – do 1935 r., później na emeryturze
Witold Błażyński – lipiec 1935 / 17 września 1939 r.

Wiceprezesi: **Stanisław Kuczkiewicz** – do 1937 / później wiceprezes Sądu Okręgowego w Radomiu

Robert Tertil – do 1937 / później na emeryturze
Jan Rudeński – 1937 / 17 września 1939 (Wydział Cywilny)

dr Zdzisław Wróbel – 1937 / 17 września 1939 (Wydział Karny)

Sędziowie Okręgowi: **Franciszek Błahuta** – 1933 / 17 września 1939 (Wydział Cywilny)

Adam Darocha – 1934 / 17 września 1939 (Sędzia Śledczy)

Antoni Jednak – do 17 września 1939

Edward Tadla – do 17 września 1939

Franciszek Schäfermaker – 1934 / 17 września 1939 (Wydział Karny)

Marian Stoszek – 1930/1937 (Wydział Karny), następnie sąd okręgowy w Częstochowie

Bronisław Wiśniewski – 1934 / 17 września 1939 (Wydział Karny)

Hubert Wiszniewski – brak danych

Sędziowie Sądu Grodzkiego: **Józef Isakiewicz** – Naczelnik sądu do 17 września 1939

Adolf Landau – b.d. / 17 września 1939

(?) **Kuerner** – b.d. / 17 września 1939

Aleksander Kmetyk – b.d. / zmarł w 1939 r.

Mikołaj Panek – b.d.

J. Sagan – b.d.

(?) **Sokołowski** – b.d. / 17 września 1939

Asesor: **Jan Malawski** – b.d. / 17 września 1939 r.

Aplikant: **Bolesław Kusiński** – b.d.

Stanisław Herman – b.d.

Sekretariat:

Prezydialny: Kierownik – **Włodzimierz Zatoński**

Woźny – **Józef Wiśniewski**

Karny: Kierownik – **J. Pajak**

Rachuba: Kierownik – **Medard Krzehlik**

Tadeusz Bukowski

Marian Totuszyński

Prokuratura:

Prokuratorzy przy Sądzie Okręgowym: **J. Nuckowski** do 1936 r. (później na emeryturze)

dr Antoni Zakrzewski – 1936/1938

(?) **Ciszkowicz** – 1939 / 17 września 1939

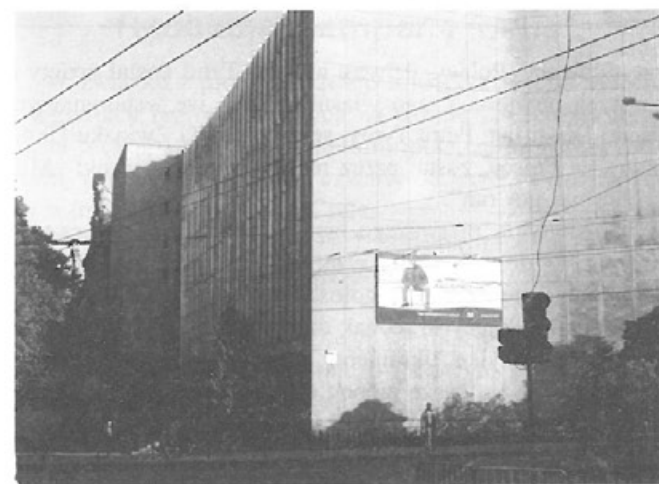
J. Wasserman – 1937 / 17 września 1939

Wiceprokurator: **E. Szober** – do 17 września 1939

Powyższa lista nie jest kompletna ze względu na trudności odtworzenia danych osobowych.

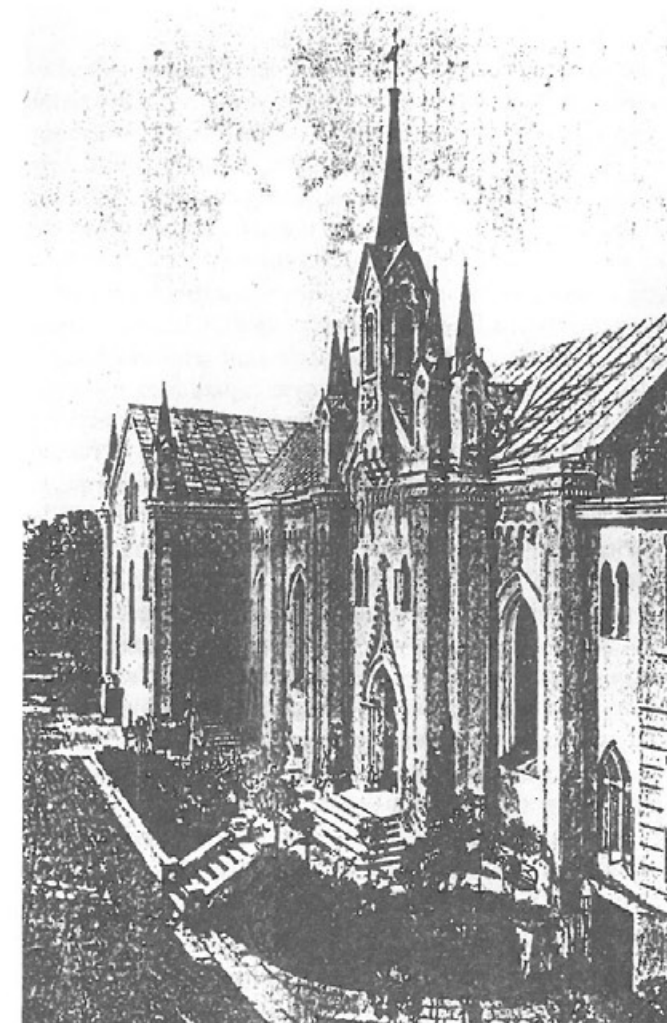
wy Kier. Oświaty i Kultury (Stefan Balicki). Delegatem Rządu miasta Lwowa był NN („Leonard”), któremu podlegały różne referaty, m. in. – ref. opieki społecznej – NN („Oswald”) itd. Na jakim szczeblu organizacyjnym podziemnego państwa polskiego? przez kogo? i kiedy (data)? powzięto decyzję o utworzeniu polskiego przedszkola we Lwowie – obecnie jest to b. trudne do ustalenia. Być może, że decyzję tę podjęto w Okręgowym Kier. Oświaty i Kultury lub Wydz. Opieki Społecznej. Faktem jest to, że w drugiej połowie roku 1943 polskie przedszkole przy klasztorze Sióstr Sacré Coeur we Lwowie już funkcjonowało. Od kiedy dokładnie rozpoczęło ono swoją działalność? Kto patronował temu przedsięwzięciu? Na jakich zasadach funkcjonowało? Z jakich funduszy utrzymywało się ono, czy tylko z dotacji, a może również i z opłat rodziców? – oto tylko niektóre pytania na które należy znaleźć odpowiedź.

... „Inicjatywa zapisania mnie i Jasia do przedszkola wyszła od jego mamy p. Stefani Skórskiej – synowej b. znanego fotografa lwowskiego (zakład przy ul. Jagiellońskiej), która mieszkała vis-a-vis klasztoru Sacré Coeur przy ul. Św. Teresy 2. Po wakacjach 1943 r. (było to w sierpniu, a może wcześniej) po raz pierwszy zaprowadzono nas do tego przedszkola i pozostawiono w gromadzie równieśników pod opieką siostry zakonnej i jej pomocnicy. Pierwszego dnia jak i w kilku następnych, bardzo przeżywałam rozstania z rodzicami, płakaliśmy z Jasiem nawet w czasie przerw. Ale szybko przyzwyczailiśmy się do nowej sytuacji i tak nam się spodobało przebywanie w przedszkolu, że po skończonych zajęciach nie bardzo chcieliśmy już wracać do naszych domów”. Zajęcia przedszkolne, zabawy, gry i posiłki miały miejsce w jednym z budynków klasztornych (patrz Foto),



na pierwszym piętrze gdzie wyznaczono na ten cel dwie sale (a może było ich więcej?). „W jednej z nich byliśmy my tzn. młodsza grupa, a w drugiej „starszaki”. Bardzo mnie kusilo aby przebywać wśród nich i bawić się tak jak oni, tzn. rysować na papierze, lepić plastelinę itd., dlatego też często przechodziłem niepostrzeżenie do drugiej sali. Jednakże Siostry zakonne b. szybko wykrywały tę ucieczkę i musiałem wracać do swojej grupy”.

Oto kilka scen z tego przedszkola, fragmentów ulotnych obrazów, które utrwaliły się w mojej pamięci. „Wewnątrz kompleksu zabudowań klasztornych znajdował się duży dziedziniec, a obok niego ogród i park, w którym bawiliśmy się w czasie ciepłych słonecznych dni jesiennych roku 1943. Niestety, dziedziniec ten był niedostępny dla nas w całości. Tylko jedna jego część była przeznaczona dla nas. Parkan skutecznie zabezpieczał od „wycieczek” na drugą stronę.



W czasie zabaw widzieliśmy często jak w drugiej części dziedzińca na noszach, lawkach, taboretach siedzieli lub leżeli żołnierze niemieccy. Mieli obandażowane głowy, ręce lub tułowia. Inni zaś poruszali się o kulach lub byli wożeni w wózkach przez sanitariuszy. Byli to chorzy, ranni lub rekonwalescenci z zabudowań klasztornych, które zamienione zostały na szpital wojskowy. Poza przeżyciami z nalotów i bombardowań Lwowa, również w czasie zajęć w przedszkolu (co za paradoks!) widziałem obrazy ofiar wojny”. Inna scena.

„Pewnego dnia zobaczyłem jak niektórzy „starszacy” (i nie tylko oni), w czasie przerw paznokciami zdrapywali z pobielonych ścian korytarzy klasztoru warstewki wapna i je zjadali. Zjawisko to było bardzo powszechne. Ponieważ byłem wychowany w myśl zasady, że nie wolno cokolwiek brać do buzi, dlatego też o tym szokującym dla mnie spostrzeżeniu opowiedziałem mamie”. W taki sposób również przejawiał się permanentny brak wapnia i innych mikroelementów w pożywieniu dzieci lwowskich w okresie okupacji.

„W dniu 6 grudnia 1943 r. w dzień Św. Mikołaja, została zorganizowana dla nas specjalna uroczystość. Zebraliśmy się wszyscy wraz z rodzicami w przedszkolu w dużej Sali Naukowej klasztoru i z przejęciem oczekiwaliśmy na przyjście Św. Mikołaja. Po wywołaniu mego nazwiska, wstąpiłem się jednak wyjść na środek sali i podejść do Św. Mikołaja po swój prezent. Ale się przemogłem. Metalowy pajac (wykonany przez mego Tatę w warsztatach kolejowych – o czym wtedy nie wiedziałem) otrzymany od Św. Mikołaja, później zawieruszył się gdzieś, na wysiedleńczym szlaku ze Lwowa na Ziemię Zachodnią”.

Ciekawi mnie jaki los spotkał mych towarzyszy z przedszkola we Lwowie. 10 maja 1944 moja rodzina i ja wywie-

Roman Dąbek

Polskie przedszkole przy Klasztorze Sióstr Sacré Coeur we Lwowie w latach okupacji hitlerowskiej (1943-1944)

Klasztor Sióstr Sacré Coeur przed II wojną światową znajdował się w śródmieściu Lwowa i zajmował teren wyznaczony przez: Plac Św. Jura i ulice Karpińskiego, Leona Sapiehy i Św. Teresy. Główny budynek klasztoru usytuowany był przy Placu Św. Jura i sąsiadował z gmachami Politechniki Lwowskiej. Ponadto przy klasztorze znajdował się duży ogród i park (z bardzo ładną „Aleją pod Matką Boską”). W czasie okupacji hitlerowskiej w klasztorze tym odbywały się tajne komplety żeńskie i jeden męski, w których zdobywano maturę. Również, o czym powszechnie nie jest wiadome, wtedy przy klasztorze działało też polskie przedszkole.

Opublikowano już wiele prac ukazujących pewne wycinki działalności Delegatury Rządu RP na kraj (np. najpełniej opisano funkcjonowanie Departamentu Oświaty i Kultury). Są to publikacje b. cenne, lecz i one nie dają całościowego obrazu prac tego departamentu. Np. sprawa organizacji, funkcjonowania polskich przedszkoli w czasie okupacji jest zupełnie pomijana w dotychczasowej literaturze przedmiotu. Tylko sporadycznie, pojedyncze zdania można znaleźć

na ten temat. W Dziale Kształcenia i Wychowania (kierownik Władysław Radwan „Raszka”) Departamentu Oświaty i Kultury był też Wydział Przedszkoli, którym kierowała Maria Dzierzbicka. W 1941 r. została powołana Główna Komisja Planowania, której zadaniem było opracowanie aktów prawnych na okres powojenny. Przygotowała ona b. wiele projektów i opracowań m. in. i projekt dekretu o zakładaniu i utrzymywaniu przedszkoli. Tak było w Warszawie.

Również we Lwowie zaczęła się budowa instytucji podziemnego państwa polskiego według tego samego schematu jaki rozwinęto w stolicy i innych miastach Generalnej Gubernii. Okręgowa Delegatura Rządu we Lwowie, która obejmowała część woj. Lwowskiego oraz woj. Stanisławowskie i Tarnopolskie powstała do wiosny 1942 r. (pierwszy delegat Władysław Zych „Falko”, „Szary” został mianowany 17.XI.1941 r.). Odpowiednio do struktury Delegatury na Kraj, powstały także we Lwowie analogiczne komórki podejmujące podobne zadania m. in.: Wydz. Opieki Społecznej (kierownik Kazimierz Żurawski „Kurowski”), Okręgo-

zieni zostaliśmy ze Lwowa do Bochni i mój kontakt z przedszkolem urwał się. Czy przedszkole to nadal działało aż do czasu przyścia „drugich Sowietów”? Kiedy definitywnie zakończyło ono swoją działalność? – oto niektóre z pytań na które staram się znaleźć odpowiedzi.

Na pewno przedstawione powyżej fakty dają tylko bardzo wycinkowy (z konieczności) obraz związany z jedną z form polskiego tajnego nauczania we Lwowie jak i również są one b. małym fragmentem szerszej działalności Okręgowej Delegatury Rządu RP w latach okupacji hitlerowskiej. Temat tytułowy jest również jednym z rozdziałów nienapisanej jeszcze monografii o systemie edukacji polskiej w okresie okupacji hitlerowskiej. Właśnie z takich okrucich historii tworzy się większe syntezę. Sprawa polskich przedszkoli w czasie okupacji niemieckiej nie była drugorzędna (powiedzielibyśmy banalna), nawet w oczach okupanta niemieckiego, o czym niech świadczy następujący fakt. Komendant Policji Bezpieczeństwa i Policji Specjalnej (Sonderdienst) GG w Krakowie sporządził 25 sierpnia 1943 r. specjalny memoriał skierowany do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa (Reichssicherheitshauptamt) H. Himlera w Berlinie, w którym wyróżnia i omawia dokładnie 5 różnych typów, czyli różnych form i poziomów tajnego nauczania w GG; a mianowicie: nauczanie domowe, nauczanie w ochronkach i przedszkolach, nauczanie powszechne, średnie i wyższe. A oto co napisano w tym memoriale odnośnie przedszkoli: „W ochronkach i przedszkolach odbywa się mniej więcej to samo, co w nauczaniu domowym, ale na

szerszą skalę. Przy podstępnej wizytacji tych zakładów na terenie Częstochowy zdobyto moc namacalnych dowodów ich antyniemieckiej działalności. Oprócz ochronek i przedszkoli oficjalnie zatwierdzonych i subwencjonowanych przez RGO, istnieją tajne i niezalegalizowane. Przedszkola trzymają się przedwojennych polskich programów, a nawet uwzględniają plany nauczania dla 1-ej, 2-ej klasy szkoły powszechnej” (w: Aleksander Birkenmajer „Co władze okupacyjne wiedziały o Polskim tajnym nauczaniu w tzw. GG?”, Przegląd Historyczno-Oświatowy, 1947, Nr 2, s. 146). Do tej opinii dodałbym może jeszcze jedną, własną, na temat celowości powołania tego przedszkola. Pozostawione same bez opieki, na podwórkach i ulicach miasta polskie dzieci wychowywały się różnie, przeważnie niewłaściwie i często były nawet demoralizowane. Tragiczne w skutkach zabawy dzieci (np. bawienie się w „palenie Żydów”) były szeroko komentowane przez mieszkańców Lwowa przy końcu okupacji hitlerowskiej. Dlatego też z uznaniem należy ocenić decyzję o powołaniu polskiego przedszkola we Lwowie w czasie okupacji hitlerowskiej. Był to dalekowzroczny akt i bardzo wartościowy społecznie. Bo wiem oprócz oczywistej roli edukacyjnej i wychowawczej w duchu patriotycznym, przedszkole to również przygotowywało pokolenie polskich dzieci do nadchodzących czasów powojennych.

Roman Dąbek – b. wychowanek przedszkola
Sacré Coeur we Lwowie

LISTY DO REDAKCJI

Sosnowiec, dnia 19.12.1999 r.

Do Redakcji „Semper Fidelis” we Wrocławiu

Od dłuższego już czasu gazeta „Rzeczpospolita” zamieszcza różnego rodzaju publikacje o prześladowaniach i dyskryminacji Ukraińców w Polsce. Swego czasu opublikowano szereg półprawd o akcji „Wisła”, którą przedstawia się w oderwaniu od jej uwarunkowań; od konieczności pozabawienia band UPA w Bieszczadach bazy kadrowej, wywiadowczej, żywnościowej, składów amunicji, melin itp. Rok temu niejaki Krawiec (chyba Kraweć) z Elbląga nazwał przesiedlenie części ludności ukraińskiej na Ziemię Zachodnią „ludobójstwem”. Nasuwa się pytanie: jeżeli przesiedlenie tej ludności podyktowane niezbędnością wojskową z prymitywnych, drewnianych, często jeszcze „kurnych” chat do gospodarstw na Zachodzie zaopatrzonych w niezbędne urządzenia cywilizacyjne, w prąd, wodę z wodociągów, połączonych z miastami dobrymi drogami nazywa się ludobójstwem, to jak nazwać wymordowanie kilkuset tysięcy, bezbronnej ludności polskiej na Kresach Wschodnich przez „Bulbowców”, UPA, ukraińską policję okupacyjną, SS-Galizen czy inne ukraińskie oddziały zbrojne? Na to pytanie autor listu nie odpowiedział; eksterminację ludności polskiej na Kresach pomija „skromnym” milczeniem.

Niedawno znowu w Nrze 277 „Rzeczpospolitej” z dnia 27-28.11.1999 r., w dodatku „Plus-Minus” opublikowane zostały, obok siebie, dwa listy do redakcji tej gazety. Jeden od niejakiego Ołeha Puszkara z Warszawy, który redakcja

zatyłowała „Polacy, dziwny naród”. Tytuł został wzięty z częstych powtórzeń tego właśnie zdania we wspomnianym liście. Drugi list, Petra Tymy, sekretarza ZG Związku Ukraińców w Polsce, został przez redakcję zatyłowany: „Milczenie nie goi ran”.

Co się tyczy pierwszego listu, to jego treść i ton są tego rodzaju, że do polemiki z nim zniżyć się nie można. Żeby nie narazić się na zarzut gołosłowności, przytoczę z niego kilka zdań: „Polacy to jednak dziwny naród. Bezcennie nas obrażają. Nie tylko Ukraińców, ale też Litwinów i Białorusinów. Nazywają nasze niepodległe ojczyzny swoimi kresami. Tworzą towarzystwa np. Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. A dlaczego nie Lwowa i Ukrainy Zachodniej? Nie. Polacy muszą podkreślać swoje imperialne ambicje. Już taki mają charakter i chyba nie należy się tym denerwować, a raczej z tego śmiać. Już przed wojną zakładali Ligę Morską i Kolonialną nie mając kolonii, tylko apetyt na Madagaskar. Przy pierwszej okazji pomagali Niemcom rozbierać Czechosłowację, a zaraz po zajęciu Zaolzia, tłumy w pochodach na ulicach Warszawy krzyczały: „Wodzu, prowadź na Kłajpedę!”.

Tak, na Kłajpedę! W tym miejscu autor obnażył w sposób szczególnie wyraźny swoją wiedzę historyczną, jej niewątpliwą głębię. Uważa on zapewne, że wiedza ta daje mu prawo do pouczenia „dziwnego narodu polskiego”. Pozostawmy go w tym przekonaniu.

Z kolei Petro Tyma ma pretensję, że polska prasa „eksponuje negatywny obraz Ukraińca”. Pisze on m. in.: „... należy zwrócić uwagę na to, jaki wpływ na odbiór ma np. informacja, że podejrzany o zabójstwo „Nikosia” i gen.

Marka Papały zawodowy zabójca Siergiej S. to Ukrainiec oraz tytuły prasowe w stylu: „Ukraińiec zabił”, „Ukraińiec napadł”, „Otworzył tapczan i zastrzelił Ukraińca”.

Cóż, autor listu zapewne wierzy w coś w rodzaju powszechnego polskiego spisku przeciwko biednym Ukraińcom, którzy dopuścili się wspomnianych czynów. Autor nie twierdzi, że tych czynów Ukraińcy nie popełnili, przyznaje więc, że odnośne notatki prasowe podają prawdę. To tylko polski spisek prowadzi do eksponowania tych wyczynów ukraińskich. Gdyby nie to, wszystko byłoby w porządku. Tylko ten brak nieszczęsny cenzury, która – jak kiedyś – za „dawnych, dobrych czasów” nie przepuszczała takich informacji do prasy. Kłopot w tym, że cenzury w Polsce nie ma, a prasa jest wolna. Prasa jest wolna, tyle tylko, że nie zawsze ma odpowiedzialnych redaktorów, jeżeli decydują się i nie wstydzą się publikować tego rodzaju „listów do redakcji”.

Ołeh Puszkara, od którego wypowiedzi jakoś nie mogę się oderwać, poucza nas jeszcze, że „Ukraińcy brali udział w walce pod Monte Cassino, a 160 tysięcy Ukraińców leży w polskiej ziemi – tych, co „oswobodzili Polskę od faszystów”. To prawda – tyle, że nie pełna. Ukraińcy pod Monte Cassino byli dlatego, że podali się za Polaków, żeby uciec z Sowietów z armią gen. Andersa. Co się zaś tyczy 160 tysięcy Ukraińców, którzy „oswobodzili Polskę od faszystów” to dla pełnej prawdy warto wspomnieć również o dywizji SS-Galizen, która usiłowała walczyć z Armią Czerwoną pod Brodami, została jednak rozbita do szcztetu, a rozbitki zasilili UPA. Czyli: jedni Ukraińcy usiłowali oswobodzić Polskę od

faszystów, inni Ukraińcy wprost przeciwnie. Nie wspomnę już o tym, że nazwanie „oswobodzeniem” wkroczenia Armii Czerwonej jest niejaką przesadą, z czym pewnie zgodzi się nawet Ołeh Puszkara.

Nie jest jednak, jak wspominałem na wstępie, moim celem polemika z listami Ołeha Puszkara i Petra Tymy. Idzie mi o coś innego, co niżej wyłuszczę.

O niczym, a już w szczególności o historii nie można pisać wybiórczo – jedne zjawiska przedstawiać czy nawet wyolbrzymiać, o innych nawet się nie zająć. Pisze się bowiem wtedy półprawdy, a półprawdy to cała nieprawda. Nie wymagam od autorów omawianych listów, aby o tym wiedzieli. Dziwi mnie natomiast, że nie wiedzą o tym odpowiedzialni za treści publikowane redaktorzy „Rzeczpospolitej”.

Dziwi, ale nie bardzo, od kiedy przeczytałem książkę prof. Janusza Tazbira pt. „Pożegnanie z XX wiekiem”. Na str. 44-45 tej książki autor podaje: „W jednej z prac pisemnych powstałej w trakcie egzaminów wstępnych na Uniwersytet Warszawski (1995) czytamy, „iż powstanie sierpniowe 1944 roku było zrywem całego narodu, ponieważ obok mieszczan wzięła w nim masowo udział również i ... warszawska szlachta”. Taki mamy, niestety, poziom wiedzy obecnie, po 50 latach rządów komunistycznych. Dlatego nęka mnie pytanie: Czy autor tej pracy egzaminacyjnej zdał w końcu, może ewent. „za drugim podejściem”, egzamin na studia, czy je ukończył? Sądząc po publikacjach w „Rzeczpospolitej”, zapewne tak. Nie tylko on jeden.

Jerzy Fic

Gdańsk, dnia 20 grudnia 1999 r.

Redakcja Semper Fidelis

W związku z prośbą Redakcji o rozpoznawanie osób na fotografiach reprodukowanych na stronie 25 Semper Fidelis, nr 5 (52), 1999, uprzejmie informuję, że na górnej fotografii, w pierwszym rzędzie czwarty od lewej, wyróżniający się wzrostem, to dr Paweł Csala.

Dr Paweł Csala (1885-1971), prawnik, miał także ukończoną Akademię Rolniczą w Dublanach, w związku z czym od 1938 r. współpracował z Katedrą Użytkowania Lasu i Mechanicznej Technologii Drewna Politechniki Lwowskiej, prowadząc na Wydziale Rolniczo-Lasowym PL wykłady z handlu drzewem i technologii drewna. Był dyrektorem Spółki Akcyjnej „Oikos” posiadającej fabryki drewnianej sklejk w Rześnie Polskiej pod Lwowem i w Piotrkowie Trybunalskim oraz fabrykę mebli na Zamarstynowie. Był też szambelanem papieskim, honorowym konsulem Finlan-

dii i naczelnikiem gminy Brzuchowice, gdzie miał luksusową rezydencję, w której mieszkał z całą rodziną. Dzięki niemu nastąpił znaczny rozkwit Brzuchowic, toteż w sali posiedzeń gminy zawieszono jego portret, a jedną aleję nazwano jego imieniem. Funkcji społecznych miał kilkanaście (m.in. członek Rady Gospodarki Drzewnej, wiceprezes Izby Przemysłowo-Handlowej we Lwowie, prezes Giełdy Zbożowo-Towarowej, przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Oszczędnościowej). Po 1945 r. przebywał w Jeleniej Górze, Warszawie i Opolu.

Jego starszy brat, dr Ferdynand Csala został zamordowany przez NKWD w więzieniu „Brygidki”, a młodszy brat, dr Ludwik Csala był pierwszym lekarzem, który dokonał oględzin zwłok 17-letniej Elżbiety Zaremby, zamordowanej w Brzuchowicach 30-31 XII 1931 r., o co oskarżona została Rita (= Emilia Margerita) Gorgonowa.

Z poważaniem
Tadeusz Riedl

Warszawa, dnia 6 grudnia 1999 r.

Dyrektor Generalny
Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Michał Radlicki
DP-370-2-97

Pan Andrzej Kaminski
Prezes Zarządu Głównego
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
Wrocław

Szanowny Panie Prezesie,
W nawiązaniu do listu otwartego Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-

Wschodnich z dnia 17.09. br., przekazanego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych 29.11 br., w sprawie blokowania przez władze Lwowa odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa, uprzejmie informuję, że kwestia odbudowy Cmentarza „Orląt” we Lwowie jest przedmiotem stałej troski resortu spraw zagranicznych i podległych mu placówek. Ministerstwo Spraw Zagranicznych pozostaje w stałym, operatywnym kontakcie z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (ROPWiM).

Dwukrotnie wydawane w roku bieżącym nakazy dykcji Cmentarza Łyczakowskiego, by ekipa polska opuściła teren Cmentarza „Orląt”, spotkały się z interwencjami Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Rady Ochrony Pamięci

Walk i Męczeństwa. W ich efekcie doszło do spotkania Sekretarza Generalnego ROPWiM pana A. Przewoźnika i Przewodniczącego Państwowej Międzyresortowej Komisji ds. Upamiętnienia Ofiar Wojennych i Represji Politycznych min. W. Husakowa, w trakcie którego wyjaśniono incydent. Ekipa „Energopolu” pracowała na Cmentarzu dopóki pozwalały warunki atmosferyczne i nie spadł śnieg.

Kierownictwo resortu spraw zagranicznych wielokrotnie podkreślało, że incydenty na szczęblu lokalnym, takie jak utrudnienia w odbudowie cmentarza „Orląt” źle służą ocenie w opinii publicznej stosunków polsko-ukraińskich.

Nowy Sącz 12.I.2000

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Zbigniew Kratochwil pisząc o „Zapomnianej Lwowskiej piosence” („SF” nr 6 (53) 1999 na str. 44) apeluje aby „piosenka została wprowadzona do repertuaru różnych zespołów odtwarzających lwowskie pieśni...”. Spieszę powiadomić autora notatki w „SF”, że tak się już od kilku lat dzieje: otóż Zespół Wokalny „MY-16” ze szkoły im. Orłąt Lwowskich w Nowym Sączu miał w programie ten utwór muzyczny R. Sieczyńskiego i H. Zbierzchowskiego od 1994 r. Wykonywała go Anna Nowak, uczennica I LO w Krynicy i szkoły muzycznej w Nowym Sączu na Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Lesznie w 1998 r. W tym roku we wrześniu piosenka była śpiewana w Krynicy na Festiwalu Kiepurowskim przez 2 tenorów z Bytomskiego Teatru Muzycznego, co zostało zarejestrowane przez katowicką TV i wmontowane do biograficznego filmu o Henryku Zbierzchowskim. Na planie tego filmu miałem przyjemność wystąpić w luźnej gawędzie o Poeście, jako, że był on moim sąsiadem we Lwowie.

A teraz kilka słów o „historii naturalnej” piosenki. Początkowo nosiła tytuł „Wien, du Stadt meiner Träume – Wienerlied”, kompozytorem był dr Rudolf Sieczyński, a aranżował do wydrukowania nut Martin Uhl. Nie ma żadnej pewności, że Sieczyński był Polakiem, choć nosił polskie nazwisko, lecz niemieckie imię. Piosenka niewątpliwie została skomponowana w Wiedniu (J. Waldorff „Sekrety Polihymnii”, W-wa 1956, str. 167). W nutowym wydaniu ukazała się przed I wojną św. w wydawnictwie Adolfa Robitschka (Wiedeń-Lipsk). Nuty te są w moim posiadaniu. Napisane na fortepian i głos: tenor lub sopran, przeto utwór jest trudny do wykonania przez młodych śpiewaków. Na Festiwalu w Lesznie nie został doceniony, gdzie był wykonywany jako „Piosenka o Lwowie”. Taki tytuł nadał jej H. Zbierzchowski, a słyszał ją często w wersji niemieckiej w teatryku „Ul” we Lwowie przy ul. Ossolińskich, gdzie śpiewał przy własnym akompaniamencie. Po napisaniu polskich słów podarował utwór swemu miastu tuż przed pierwszą wojną światową (1914). W „Lwowskich piosenkach” wydanych w 1977 r. w sześciu zeszytach w Londynie przez Koło Lwowskie jest podana treść tylko jednej zwrotki. Druga zaginęła (Zeszyt VI, str. 107-109). W tymże zeszycie wydrukowana jest transpozycja piosenki do niższej tonacji, dokonana prawdopodobnie przez samego H. Zbierzchowskiego. Transpozycję tę wraz z zachowanymi słowami załączam z prośbą o zamieszczenie

Raz jeszcze pragnę zapewnić Pana Prezesa, że woła Ministerstwa Spraw Zagranicznych jest doprowadzenie do zakończenia prac restauracyjnych na Cmentarzu i godne uczczenie spoczywających tam żołnierzy.

Pozostaję z szacunkiem
M. Radlicki

Do wiadomości:

– Pan Krzysztof Gołaszewski – Wicedyrektor Sekretariatu Prezesa Rady Ministrów (dot. SJB-446-95(1)/99),
– Pan Andrzej Przewoźnik – Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

w „SF”, by zgodnie z intencją p. Kratochwila powróciła szerzej do naszych śpiewaków zwłaszcza lwowskiego repertuaru. Piosenka jest tak piękna, że można ją z powodzeniem wykonywać przy każdej okazji, choć nie może tego robić każdy wokalista: musi naprawdę umieć śpiewać. Zapewniam p. Redaktora i Autora notatki o piosence, że w N. Sączu ona zaistniała.

Jerzy Masior

Walc wiedeński Piosenka o Lwowie. Słowa: Henryk Zbierzchowski

Gdy wiosny jest czas, wśród parków swych kras, w girlandach czeremchy i bzów, wśród dolin i wzgórz, spowity w mgieł róż, jak widać, wylania się Lwów... Gdzie

poznał go raz, w blasku wiosny kras, ten przynosi to miasto nad Rzym – więc niech biegnie w dal piosenka –

tu, co wie jak krew, co skrzy i drga... Lwów, Lwów, jak cudnie Lwów, Lwów, jak cudnie

brzmiał i jak nam tętniło słowo w krwi! Ten tylko poznał wartość twą, kto cię obdarzył waruszenia twa. O, drogie ty, słodkie, miasto me! Tu żyć i umrzeć chcę.

Piosenka o Lwowie

Gdy wiosny jest czas, wśród parków swych kras, w girlandach czeremchy i bzów, wśród dolin i wzgórz, spowity w mgieł róż, jak widać, wylania się Lwów...

Gdzie zwrócisz się w krag, granaty lśnią łak i modry rozwiewa się dym. Kto poznał go raz, w blasku wiosny kras, ten przynosi to miasto nad Rzym!

Więc niech biegnie w dal piosenka ta, co wie, jak krew, co skrzy i drga... Lwów, Lwów, jak cudnie brzmiał i jak nam tętniło słowo w krwi! Ten tylko poznał wartość twą, kto cię obdarzył waruszenia twa. Lwów, Lwów, jak słodko brzmiał i jak nam tętniło słowo w krwi! O, drogie ty, słodkie, miasto me! Tu żyć i umrzeć chcę.

Jasło 20.X.1999

Towarzystwo Miłośników Lwowa Zarząd Główny

Zwracam się do Zarządów naszych kresowych organizacji oraz środków masowego przekazu z informacją jaką wysłałem do pani Marszałek Senatu A. Grześkowiak, dotyczącą tegorocznej „Lemkowskiej Watry” w Zduni.

Posyłam te informacje tak późno z powodu mej choroby i pobytu w szpitalu.

„Lemkowskie Watry” w Zduni, dla dodania rangi są od wielu lat zaszczytane przez prominentne osoby reprezentujące Rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Brali w niej udział pp. J. Kuroń, Z. Kuratowska, Marszałek Sejmu M. Płażyński i wielu innych. W bieżącym roku w obecności pana Pawłyczki Ambasadora Ukrainy w Polsce reprezentowała władze Rzeczypospolitej pani Marszałek Senatu A. Grześkowiak.

Od paru lat biorę udział w „Watrach” i wielokrotnie stwierdziłem kłamliwe i ubliżające społeczeństwu i narodowi polskiemu wypowiedzi, które są nawet podawane w środkach masowego przekazu.

Takim ubliżającym nam faktem na tegorocznej „Watrze” była sprzedaż przywiezionych z „Zachodniej Ukrainy” portretów Stefana Bandery. Uważam, że ten fakt prowokacyjny i ubliżający obecnym na „Watrze” przedstawicielom władz Rzeczypospolitej i społeczeństwu polskiemu winien być po-

ważnie potraktowany. Powinien być wyjaśniony przez organizatorów imprezy i w odpowiedniej nocy skierowany przez nasze władze do Ambasady Ukrainy w Polsce.

Uważam, że o zaistniałym fakcie należy poinformować Naszych członków, a także po ewentualnym przereklamowaniu tekstu opublikować go w naszej periodycznej prasie.

Albin Pietrus

Warszawa, dnia 27 października 1999 r.

GABINET MARSZAŁKA SENATU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

GMS/5901/1421/99/IP

Szanowny Panie!

W odpowiedzi na Pana list skierowany do Marszałka Senatu prof. dr hab. Alicji Grześkowiak z września br. informuję, że Pani Marszałek wzięła udział w „Lemkowskiej Watrze” za zaproszeniem ambasadora Ukrainy. O kolportażu portretu Stefana Bandery nie wiedziała. Sprawa jest o tyle trudna, że Stefan Bandera uważany jest przez Ukraińców – jak zapewne Panu wiadomo – za wybitnego działacza niepodległościowego.

Z poważaniem
DYREKTOR GABINETU
prof. dr hab. Jerzy Pietrzak

Stan Scheller

Przedślowie

Z dużymi zahamowaniami wewnętrznymi i obawą przesyłam do Redakcji ten teks. Wynika to z kilku powodów:

– nie komponuje się on zupełnie z tym, co napisałem dotąd, jak również z zaplanowanym, dalszym ciągiem moich wspomnień i rozważań o „niszy etnicznej”, czy może raczej eugenicznej jaką stanowił nasz Lwów.

– opis humorystycznych zdarzeń jest niekompletny, gdyż porcja wulgaryzmów przerosła tolerancję Redakcji, a także chyba wytrzymałość Czytelników. Z dużą obawą umieściłem wyselekcjonowaną część z nich, jako dokument tamtych czasów. Jeśli przekroczył czykolwiek próg wytrzymałości niech mi to będzie darowane, bo to jest jednak jakaś część historii naszej i naszego Miasta.

– wreszcie trzecia przyczyna, pobudzająca do bardzo niewesołych refleksji. Obserwując wówczas tamtą „miazgę ludzką” nikt nie dopuszczał do siebie myśli, że nas może spotkać to samo, że i z nas mogą ugnieść kiedyś podobnego homunkulusa, taksonomicznie zakwalifikowanego jak Homo sovieticus. Jakże bliscy byliśmy tej niedopuszczalnej w myśli granicy! I czy rzeczywiście tak wielu z nas jej nie przekroczyło?

Ograniczmy może trochę śmiech i kpinę z nich do półgębka, bo obserwowana transformacja ludzi w bezmyślne automaty, to chyba (głównie!) wypadkowa siły i czasu działania użytych przez ich ustrój bodźców.

Lwowski śmiech czasów Apokalipsy

1. Okupacja sowiecka

Wejście Sowietów do Lwowa w 1939 roku spowodowało koszmarny szok i odrętwienie polskich mieszkańców Miasta. Nowe, wstrętne „porządki”, prymitywna, nachalna, wszędzie wciskająca się propaganda okupanta, a także zachowanie się niektórych mniejszości narodowych, beczelne i prowokujące, stale powtarzane wyzwiska na temat „zasranej pańskiej Polski”, której „ciasy już się skończyły” doprowadziły do upadku ducha i psychicznej zapaści mieszkańców. Niesłychanie ciężka zima 1939/1940 roku z mrozami przekraczającymi -40°C, brak opału, totalna klęska zaopatrzenia w podstawowe artykuły żywnościowe i niekończące się kolejki dokonały reszty: ludzie nie potrafili pozbierać się po tych zupełnie nieoczekiwanych ciosach losu, nie potrafili przyjąć do świadomości końca naszego świata, który przeminął z wiatrem. Nie nauczyli się jeszcze „myśleć dialektycznie”. A wkrótce miała nadejść najgorsza klęska: wywózki na Sybir...

Upadek ducha zaznaczył się zupełnym zanikiem lwowskich żartów i przysówek, a to, co się wówczas pojawiało, było nie wartą wspomnień marnizną. Ot, dla przykładu:

Szczepcio z Tońkiem znaleźli się nagle we Lwowie – Szczepciu, powiada Tońku, – szpanuj tu (popatrz), my si nagli znaleźli ni wy Lwowie, inu w Bytlejem: gwiazda nam świeci, a du obkoła łoża same pastuchy!

I drugi dowcip, jeszcze słabszy:

– Tońku, za czym ty stoisz w tyj kulejcy?
– Ta nie wim, ali inni stoju, to i ja tyż.
– Nu, a na co ty trzymasz tyn nocnik pud pachu?
– Ta bu i tak g... dostanym!

Na pierwsze, wojenne święta Bożego Narodzenia pojawiła się również kolęda: zupełnie nie dowcipna, ale jednak stanowiąca jakby zapowiedź budzącego się z odrętwienia ducha:

Przybieżeli do Betlejem paskarze,
jeden smytra¹⁾ drugi stoi na straże,²⁾
chwała na wysokości, dziesięć rubli kilo kości
a gdzie, gdzie?
We Lwowie!

Pierwszą, wyśmienitą próbę humoru ostrego jak brzytwa była oryginalna, sowiecka piosenka (a właściwie tylko jedna zwrotka) marynarzy bolszewickiej floty czarnomorskiej – „Piesnia czarnomorskoho flota”, którą Lwów usłyszał gdzieś w czasie pierwszej zimy lub na wiosnę 1940 roku.

A oto ona:

S lewja młot a s prawa sierp
ciurara – ciurara,
Eto jest sowieckij herb,
ciurara – kuku!
Chociesz rznić, a chcesz kuj,
ciurara – ciurara,
Wsio takie połuczysz...
ciurara – kuku!

To było naprawdę znakomite i jak korespondowało z nastrojami Lwowa!

Ci dzielni³⁾, młodzi marynarze zapewne ani przez chwilę nie mogli się spodziewać, że spowodują uzdrawiający wstrząs w skapcianiętym narodzie (a przynajmniej w sporej jego części, bo bliżej nieokreślony odłam mieszkańców Lwowa bał się wszechobecnego szpicli i nie powtarzał takich „niebłagonadiożnych” utworów: za to był nieodwołalny Sybir!!), który zbiorowo ryknął śmiechem! A także, że „Pieśń czarnomorskoho flota” stanie się omalże zastępczym hymnem wielu Polaków w ciągu długich lat PRL-u, a niektórym wręcz pomoże przetrwać okres komunistycznej zimy w naszym własnym wydaniu, przez sprowadzenie tej „nowej rzeczywistości” do właściwego wymiaru. Ale – to miało nastąpić dopiero później, znacznie później. Na razie wybuchła wojna fińsko-bolszewicka, w której – przez długi czas – „nieperiemożnaja Krasna Armia” zbierała niesłychane baty! I wówczas usłyszałem ją, pierwszą polską „czastuszkę”⁴⁾, którą w szkole Sienkiewicza ryknął na całe gardło kolega z klasy (a w ogóle, to niezły batiar z Rogatki Gródeckiej), Wachowski:

Finlandczyki szac chłopaki,
bo Moskale biją w sraki!

No i tak się zaczęło! Kpina, szyderstwo i śmiech, które pozwalały otrząsnąć się z przygnębienia, budząc nadzieję na koniec tego koszmaru, który jeszcze nie tak dawno wydawał się zapowiedzią końca świata. Teraz, ten uzdrawiający śmiech pozwolił trochę rozprostować kręgosłup i znowu nieco unieść głowę mimo, że końca świata nikt nie odwołał. Teraz już pojawiły się dalsze, komiczno-szydercze dowcipy.

A oto następna taka polska „czastuszka”:

Mucha kraulem pływa w zupie,
my Stalina mamy w d...!

I kolejna piosenka, śpiewana na melodię naszego hymnu narodowego:

Jeszcze Polska nie zginęła,
póki Bóg nad nami,
jeszcze Stalin będzie wisiał,
do góry jajami!

.....
Wielokropka użyłem w miejsce słów, których absolutnie przytoczyć nie mogę: ładunek wyzwick i obsceniczných określić naprawdę hamuje mi pióro!

Szereg wydarzeń, w których głównymi aktorami byli najeźdźcy dostarczało niekończących się tematów do żartów i szyderstw. Nasi nieproszeni „goście” demonstrując niesłychany prymitywizm i zapóźnienie cywilizacyjno-kulturowe, a równocześnie deklamując skrajnie głupie i ośmieszające ich hasła propagandowe kompromitowali się do cna. Kilka przykładów takich na pamięć wyuczonych odzywek za chwilę, a tymczasem przykład ich komicznej wpadki, jaka im się przydarzyła zaraz po zajęciu Lwowa.

Na Rogatce Gródeckiej było typowe dla przedmieścia kino „Słońce”. Kiszkowata, dość obskurna sala, taka w sam raz dla tamtejszej batiarni, do której był również dostosowany repertuar wyświetlanych filmów: przeważnie westerny. Ten repertuar „szedł” również w najwcześniejszym okresie okupacji sowieckiej, stanowiąc dla czubaryków nigdy nie widziany, niesłychanie atrakcyjny program. Przychodzili tam więc oficerowie, bo tylko wojskowi (no i oczywiście NKWD) byli wówczas we Lwowie; ich rodziny dojeżdżały nieco później. Zdarzyło się, że pewnego dnia zajęli cały rząd krzeseł i delektując się przygodami Toma Mixa (ówczesnego bohatera Dzikiego Zachodu) zapomnieli o bożym świecie. Tymczasem sala kinowa opustoszała: na jakiś konspiracyjny, niedostrzegalny dla nich sygnał cała publiczność zgrabnie i po cichu ulotniła się.

Wściekła awantura wybuchła dopiero po zakończeniu filmu, gdy okazało się, że ukradziono im przypięte na paskach mapniki wypchane banknotami rublowymi, a ponadto „wyzwolono” ich (straszenie lubili to słowo!) z tkwiących w kaburach naganów (typ rewolweru), odcinając jedne i drugie! Dla wyjaśnienia: nagany mieli dodatkowo zabezpieczone: do kolby była przypięta skórzana linka, której drugi koniec był okręcony wokół naramiennika. Lwów miał przez jakiś czas wyśmienitą zabawę! To zdarzenie stało się ponadto czymś w rodzaju dumy ze sprawności polskich kieszonkowców: – teraz będą wiedzieli, że „szkoła” lwowskich delinquantów to naprawdę europejski uniwersytet!

A oto inna humoreska z życia wzięta:

To wydarzyło się bodajże na ulicy Leona Sapiechy. Jezdźnią maszerował duży oddział krasnoarmiejców, a przed nimi na przedzie szedł oczywiście „zapiewajło”. Śpiewali bardzo lubianą przez nich piosenkę, której refren brzmiał:

Strana moja, radna moja,
Nicziem nie pobiedimaja...

Na chodniku, pod latarnią czy też słupem tramwajowym stał kompletnie zalany, ledwie trzymający się na nogach batiaryna, który potężnie ryknął im w odpowiedzi: – twoja, k... mać, twoja, nikt ci jej nie odbiera, tylko sp... z nią razem i to szybko, pókim dobry! No i znowu cały Lwów miał niezłą zabawę przez dłuższy czas.

Pewnego dnia zdarzył się inny, tym razem tragiczny wypadek. Pilot kręcący nad miastem(!!!) akrobację na sowieckim myśliwcu typu I-16 „Rata” miał nienotowany chyba w historii lotnictwa wypadek: siła odśrodkowa wykonywanej figury (to był zapewne looping odwrócony) zerwała pasy mocujące pilota, który jak kamień z katapuli⁵⁾ został wyrzucony z kabiny (ten typ samolotu miał nieosłoniętą od góry kabinę pilota). No i polecieł sobie oddzielnie: samolot w jedną stronę, a pilot w drugą. W takim przypadku pilot ratuje się otwarciem spadochronu, ale ten jednak miał rzeczywiście cholernego pecha: „paraszut” (spadochron) też był produkcji sowieckiej – i nie otworzył się!!

Pokazano mi miejsce, w którym spadł: był to ścięty narożnik kamienicy z usytuowanym w tym miejscu wejściem

do apteki. Z pilota-bodołachy została na chodniku tylko olbrzymia, krwawa plama, zupełnie jak w tym znacznie późniejszym dowcipie o Wańce, skaczącym z wysokiego budynku, celem zareklamowania sowieckich kaloszy: „is wańki ni ..., tolko kaloszy ostali”.

I na zakończenie trzy autentyczne wydarzenia – w dwóch z nich uczestniczyła moja matka.

Pierwsze:

Miejsce – Plac Krakowski. Czas – sowiecki koszmar. Stoimy we dwójkę z kolejną porcją garderoby, której jeszcze nie zdołaliśmy się wyzbyc. Była tam również bardzo ładna i prawie nowa męska piżama z surowego jedwabiu. Niewiele kupujących, oczywiście Moskali, bo tylko oni mieli wówczas pieniądze, a przede wszystkim to tylko oni potrzebowali wszystkiego, przybywszy do „pańskiej Polski” z gołymi d... Mimo tego kupujących było niewiele, bo już się napchali „burżujskiego” dobra, a teraz łazili przyglądając się wygłodzonym „polskim panom”, jak za parę nędznych rubli wyzbywają się przedziwnych nieraz przedmiotów, o których istnieniu i przeznaczeniu nie mieli zielonego pojęcia. W pewnym momencie przed Matką stanęło dwóch około 30-letnich mężczyzn o dość inteligentnym wyglądzie. – A wot eto szto takoję? – spytał jeden z nich. – Piżama, odpowiedziała Matka, – kup sobie. – A na sztoż mnie etaja piżama? – Jak to na co, zdziwiła się Matka, – będziesz w tym spał. Doprawdy, bardzo rzadko można usłyszeć taki ryk śmiechu! Obaj dusząc się i zataczając przez dłuższą chwilę nie mogli wypowiedzieć ani słowa. – Ty w tom pidżamie spat budiesz! – wydusił w końcu z siebie drugi z czubaryków, który dotąd tylko przysłuchiwał się rozmowie. – A w czym wy śpicie – spytała zaskoczona Matka. – Nu, prosto: w majkie i gimnastycznych szortach – odpowiedzieli zgodnie. No właśnie – jak ludzie, a nie jak w kinie!

O drugim, bardzo podobnym wydarzeniu słyszeliśmy relacje z ust świadków.

Dwie Rosjanki podeszły do pani sprzedającej m. in. bardzo piękne biustonosze (nieco później miałem się przekonać, że Polki rzeczywiście bardzo dbały o opakowania tych rozkosznych części swej anatomii). – Krasiwie, stwierdziła młodsza z nich. – Kupcie sobie, tanio sprzedam, podchwyciła sprzedająca. – A na sztoż nam eto, nam nie nużno. – Jak to – nie potrzeba: to w co wy pakujecie biusty? (tu ruch ręką wskazujący na omawiany region). Pełne zdumienie Sowietek: – jak to w co? włączyła się do rozmowy starsza – jej nie trzeba (wskazując na zwycięsko sterczący spod bluzki biust młodszej), a ja mam na to ręcznik!

I wreszcie trzecie, warte uwiecznienia wydarzenie.

Wieczory zimy 1940 lub 1941. Po domach naszej dzielnicy łązi facecik ubrany w coś w rodzaju munduru i naganiania ludzi do szkoły Sienkiewicza na „mitingi”. Jest inteligentny z wyglądu i dość sympatyczny w sposobie bycia, co zresztą nikogo nie skłania do zlekceważenia „zaproszenia”. Za taki nietakt towarzyski można było wylądować na Sybirze, co zresztą spotykało ludzi za znacznie mniejsze „przestępstwa” wobec władzy sowieckiej, ot choćby lepsze ubranie na grzbiecie, czy kapelusz na głowie, te całkowicie jednoznaczne oznaki burżuizmy! Matka kipiała hamowaną irytacją zwłaszcza, że te zaproszenia stawały się coraz częstsze, a mitingi coraz dłuższe, trwające do późnych godzin wieczornych. Sam agitator bredził jak przysłowiowy Piekarski na mękach, prezentując typowy dla Sowietów absolutny brak wiedzy o świecie, połączony z kompletną bezmyślnością i głupotą. W miarę upływu czasu nawiązał się jednak między

nim a słuchaczami (przeważnie panie w różnym wieku) stosunek pewnego luzu i jakby towarzyskiej swobody. Zebrani uznali za najbardziej celowe zastosowanie tu starej, mądrej recepty na pluskwy: przyzwyczaić się i pokochać, agitator zaś brał śmiech i narastającą wesołość słuchaczy za uznanie dla wygłaszanych „mądrości” i przypowieści, w których – jak Czarny Piotruś – dominował „polskiej szlachty”. Ten był winien wszystkiemu, chciałoby się powiedzieć „ze Związkiem Radzieckim na czele”. A więc bieda, czy też skrajna nędza „pańskiej Polski”, bezrobocie, głód, choroby zakaźne, awantury małżeńskie, niechciane ciążę, jesienne słoty, zbyt zimne lub zbyt gorące lata – itp., itd. – wszystkiemu był winien „polskiej szlachty”. Sala zachęcająco kwitowała to śmiechem. Gwóźdź programu, pointę, facet zachował jednak na koniec „wykładów”: – skażicie pożałujsta, czto w samom diele oboznaczajet „szlachty”, „polskiej szlachty”? Czto eto takoję? Ludzi zamurowało: któż mógł się spodziewać, że po wielotygodniowym gędzeniu na temat „polskiego szlachty” facet nawet nie domyślał się, o czym cały czas bredził?! Gdy głucha cisza przeciągała się już zbyt długo, sytuację „uratowała” moja Matka, która mu grzecznie wytłumaczyła ten niesłychanie trudny problem – to taka choroba serca. Jak komuś nawali to mówi się, że go „polskiej szlachty” trafił.

Czy wiesz, czy dasz wiarę Szanowny i Drogi Czytelniku, że ten bałwan w to uwierzył?! Zapewniam, że to „najprawdziwsza prawda”, że nie ma w tym ani krzty konfabulacji, zmyślenia, na co mam zresztą krótki ale niezły dowód logiczny: czy coś podobnego mógłby ktoś wymyślić? A może zresztą żyje jeszcze ktoś z ówczesnych uczestników tych „kursów”?

Tematy do kpin i szyderstw dostarczali – jak już wspomniałem – sami najeźdźcy, przy czym zdarzenia wynikające z ich bijącej w oczy biedy i „stłamszenia” przez piekielny ustrój sowiecki nie tylko im na ogół „odpuszczano”, ale nawet żałowano ich jako ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że można inaczej żyć, że istnieje świat, w którym wszystko wygląda zupełnie różnie od tego, co widzieli u siebie i do czego przywykli. Absolutnie nie darowano im jednak tej zatwardziałej głupoty, jaką demonstrowali na każdym kroku, usiłując przekonać nas o wyższości tegoż ustroju. Każy człowiek sowiecki uparcie powtarzał, że w „Sowieckom Sojusie wsio jest”, a ich kraj kwitnie. Lwowiacy śmiali im się w nos, bo całe ich zachowanie i wygląd mówiły co innego. Prosta sprawa: ich żony naprawdę chodziły do teatru i opery w nocnych koszulach kupionych na „Krakidałach” od naszych głodujących pań. Te nieszczęsne nocne (a i dzienne też) koszule przeszły do legendy, a oni uparcie powtarzali: – u nas wsio jest!

Przy tym te ich tandetne, jakże żałosne produkty żywnościowe czy przemysłowe, które w końcu pojawiły się w sklepach, w ich opinii były najlepsze ze wszystkich na świecie: „nasze łutsze”, to stałe powtarzane hasło jakże skutecznie stymulowało pogardę do nich samych w ogóle, a ich nieuleczalnej głupoty w szczególności. Najbardziej wykpiwała ich batiarnia:

– E, towarisz, jest u was w Sowieckom Sojusie dzuma?
– Koniecznie jest. U nas wsio jest!

– A tyfus?

– Toż jest.

– A pomarańcze?

– Wot! U nas pomarańczy zawody diełajut!

Ten ostatni przykład traci mi złośliwym zmyśleniem, ale psychologicznie bardzo prawdopodobnym! I tak dalej, i tak

dalej! Stąd także dowcipy: słuszaj towarzysz, jest u was w Sowietach Sojuzie bładzi? – Niet, u nas bładziej niet, u nas wsie jebutsa! No i zagadki: Co to takiego: czerwone, do d..., zaczyna się na „ch” i kończy się na „uj”. Nie wiesz Szanowny Czytelniku mimo tak długiego treningu? Odpowiedź brzmi: cholerny, komunistyczny ustrój!

Kolejne dowcipy z serii o naszych „wyzwolicielach”:

Dwie młode dziewczynki wchodzi do prywatnego sklepu z kosmetykami (zaraz na początku ich okupacji jeszcze takie były, potem je „upaństwowiono”). Jedna z nich chce kupić puder. Sprzedawca doradza: – ten puder jest za jasny, bo pani jest taka bledziutka. Doradzę ciemniejszy. Po wyjściu ze sklepu dziewczęta dzielą się uwagami: – Smotri, Natasa, kakaja w etoj Polshi kultura; u nas by tiebie prosto bładz skazał, a zdiesz tak kulturno każe: „bledziutka”! Oficer Krasnoj Armii spędza noc u prostytutki. Nad ranem wstaje, ubiera się i salutując żegna: – Bolsze wam spasibo dziewczynko, do swidania! Towarzysz, a diengi? – pyta prostytutka. – Sowieckij oficer za eto dienieg nie bierot! – pada odpowiedź.

Rozmowa dwóch czubaryków: – Smatri Sieriożka, w etoj panskij Polshi suszczestwujot tolko pany! Darze takoj obyknowiennyj tufel nazywajetsa toż: „pan -tufel”!

I wreszcie dowcip z życia sowieckiej uczelni. Nie pamiętam kiedy powstał, ale chyba pod koniec tzw. „pierwszych Sowietów”: Na Wydziale Chemii, Katedrze Tworzyw Sztucznych, profesor na egzaminie podaje studentce kawałek celofanu pytając: – Skazitie pożałujsta, czto eto takoj? – Studentka milczy. Egzaminator usiłuje jej pomóc na drodze skojarzeń: – Nu, etoj nazwanije oczeń pachorze k tomu że, szto wy diełajetie wiesnoj s waszym żenichom w lesu ili w parkie – (celowat’ – celiofan, to rzeczywiście podobne słowa!). Na to uradowana studentka: – da! uże pry-pomniła! Eto nazywajetsa jebonit!

Niektóre późniejsze kawały w powojennej Polsce były niczym innym, jak powielonymi dowcipami z okresu okupacji Lwowa. Ot, choćby kawał o sińcu na czole żony sowieckiego prominenta, która myjąc twarz w „wodzie toaletowej” była stale uderzana w to samo miejsce na czole opadającą deską (toaletową). To dostosowano do żon „naszych” prominentów.

Janusz Ragankiewicz Moje przemyślenia

Tempus fugit – jak mawiali starożytni Rzymianie – *jak ten czas leci* – powiadają Polacy.

To już za trzy miesiące kolejny festiwal? I to już ósmy! A przecież nie tak dawno, bo w kwietniu ubiegłego roku z desek sceny leszczyńskiego MOK-u leciały słowa i nutki lwowskich piosenek.

Piosenek starych, przypominających dawny Lwów i przywołujących znane lwowskie postacie: Bombacha, Kizyka, ślepego Mińci i panny Franciszki, ale też i nowych, pełnych nostalgii, tęsknoty i miłości do tego Miasta nad Pełnią.

I znowu Leszno, przez dwa dni będzie (jak to ładnie napisano w jednej z lokalnych gazet): stolicą lwowskiej piosenki!

Przyjedzie dzieciarnia z prawie połowy Polski, radosna, roześmiana, dla nich śpiewanie jest zabawą, przyjazd do Leszna to przygoda, ale jednocześnie wychowujemy sobie

Lwowiacy zabawiali się także „deszyfracją” niektórych skrótów, tak ulubionych przez ludzi sowieckich. Co to za skrót: CCCP? – odpowiedź: cep cepa cepem pogania. Oraz druga wersja, gdy odczytano właściwie ten skrót, jako SSSR: sami sobie sr... rąbie.

A: NKWD? – nie wiesz kiedy wrócisz do domu! A także tworzyli własne, na wzór sowiecki. Czy pamiętasz, Drogi Czytelniku jaki był „skrót” nazwy szaletu miejskiego? – Ukr-Kak-Sral-Kom-Pis-Mis-Kombinat! Było tego znacznie więcej, ale już nie pamiętam.

Po wyparciu Niemców ze Lwowa, czyli za tzw. „drugich sowietów”, na ulicach Miasta pojawiło się wiele ciężarówek z białą, pięcioramienną gwiazdą i również białym napisem: USA. Była to amerykańska pomoc, w ramach której tychże właśnie ciężarówek (m.in.) otrzymali równe 100 tysięcy. Lwówianin pyta czubaryka z głupia frant, co znaczy skrót USA. To proste, odpowiada czubaryk: – ubijom sukinsyna Adolfa!

Tak mijały długie miesiące tego koszmaru, ciężkiego i dławiącego jak zły sen, z którego w żaden sposób nie można się obudzić.

Lwówianie poznali „ich” na wylot, odkrywając oczywiście ich słabe strony, wśród których było hasło doprowadzające Sowietów do furii. Chyba tylko dlatego, że znali głęboką wiarę tak okrutnie umęczonych mieszkańców Miasta w tymczasowość sytuacji, w nieustanny i niedaleki koniec ich panowania. Tym hasłem był okrzyk: „dawaj nazad”! Za to można było zdrowo oberwać, kuli nie wyłączając. To hasło wykrzykiwane zza „winkla”, słyszeli na co dzień, a zwielokrotnione w chwili najazdu Niemców, usłyszeli – na bezpowrotne jak się wydawało pożegnanie, to przynoszące Lwowiakom ulgę: dawaj nazad!

Przypisy:

- 1) smytrać = kraść, ukraść
- 2) pisownia oryginalna
- 3) Trzeba było być naprawdę bardzo odważnym, aby w czasach szalejącej Czeki naszego (niestety!) rodaka krwawego Feliksa (Dzierżyńskiego) coś takiego śpiewać!
- 4) Jak nazwać tę formę, będącą śpiewanym epigramem, tak często spotykaną we Lwowie?
- 5) w gwarze lwowskiej – proca

tych, co po nas będą pamiętali o tym jedynym na świecie Mieście.

I tu rodzi się zaraz pytanie: kto w tym roku przyjedzie? Bo to, że będą dzieciaki z Nowego Sącza, Maciejowej, Nawojowej i Krynicy, pod „batutą” Jurka Masióra, to wiem na „sicher”!

Że przyjedzie silna grupa solistek z Góry z instruktorem Jankiem Kubiakiem (po raz ósmy!), to pewne jak dwa razy dwa.

Przyjedzie na pewno dzieciarnia z Legnicy, Ozimka i Wrocławia, nie zabraknie zapewne przeuroczej „preclarki” i zespołu wokalo-tanecznej z Brzegu.

Być może, że przyjadą reprezentanci Koszalina i ponownie zaśpiewają tak, jak w ubiegłym roku, że sala zamarła w ciszy.

Już zapowiedział udział dwóch zespołów z Węglinca Alfred Janicki – twórca festiwalu „Wielkie Bałakanie”.

Zapewne nie zabraknie solistów i zespołów rodem z Wielkopolski, bo z Wolsztyna, Rawicza, Skoraszewic, Osiecznej, no i Leszna!

Może Gorzów dochował się młodszych wykonawców i zaprezentuje swój prawie że profesjonalny poziom.

Ale zaraz rodzi się pytanie, a gdzie podziewa się reszta? Gdzie reprezentanci największych skupisk Lwówian jakimi są (a może były?) takie miasta jak Bytom, Gliwice, Katowice, Jelenia Góra i inne?

Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział w Lesznie
64-100 Leszno, ul. Sikorskiego 26
Tel. (0-65) 520-28-16
Konto bankowe: PKO BP Oddział Leszno
10203088-19031-270-1

Do Prezesów Oddziałów i Klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Uprzejmie informujemy, że 29 kwietnia 2000 r. (sobota) odbędą się w Lesznie, w auli Szkoły Podstawowej nr 1 im. Marii Konopnickiej przy ul. Zygmunta Krasińskiego nr 2 eliminacje

VIII OGÓLNOPOLSKIEGO DZIECIĘCEGO
FESTIWALU PIOSENKI LWOWSKIEJ
„TA JOJ” – LESZNO 2000

Patronat nad imprezą objął Wojewoda Wielkopolski p. M. Musiał.

Koncert laureatów odbędzie się w niedzielę, 30 kwietnia 2000 r. o godz. 15.30 w sali Miejskiego Ośrodka Kultury w Lesznie, ul. Bolesława Chrobrego nr 3.

Organizatorami Festiwalu są:

- Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW w Lesznie,
- Urząd Miejski w Lesznie,
- Starostwo Powiatowe w Lesznie,
- P.P.F. „AKWAWIT” w Lesznie,
- Redakcja Tygodnika „PANORAMA LESZCZYŃSKA”.

Zgłoszenia uczestnictwa przyjmowane będą do 20 kwietnia 2000 r. przez Biuro Organizacyjne Festiwalu (BOF), gdzie również można uzyskać bliższych informacji dotyczących imprezy (noclegi, wyżywienie, dojazd itp.).

Adres BOF: Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW Oddział w Lesznie

64-100 LESZNO, ul. Sikorskiego 26/9, tel. (0-65) 520-28-16

Z wyrazami należytego szacunku i poważania oraz naszym lwowskim „ta daj Boży zdrowi”

pozostaje
Janusz Ragankiewicz – prezes

REGULAMIN VIII Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki Lwowskiej „TA JOJ! – Leszno 2000”

1. Organizatorzy:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW w Lesznie
Urząd Miejski w Lesznie
Starostwo Powiatowe w Lesznie

A gdzie reprezentanci szkół, które za patronów obrały sobie „Orleńskie Lwowskie”, bądź „Obronców Lwowa”?

Czy już straciły na aktualności słowa Marii Konopnickiej: *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy...*?

P.P.F. „AKWAWIT” w Lesznie
Redakcja Tygodnika „Panorama Leszczyńska”.

2. Cel imprezy: – popularyzacja piosenek lwowskich wśród dzieci i młodzieży.

3. Uczestnicy: – soliści i zespoły wokalne (do 10 osób) w trzech grupach wiekowych:

„A” – uczniowie w wieku do lat 12-tu

„B” – uczniowie w wieku od 13-tu do 16-tu lat

„C” – uczniowie w wieku powyżej 16-tu lat

Uwaga: ukończenie 19 lat lub szkoły eliminuje z udziału.

4. Termin i miejsce imprezy:

29 kwietnia 2000 r. (sobota) przesłuchania konkursowe od godz. 10.00 do 19.30 – w auli Szkoły Podstawowej nr 1 im. M. Konopnickiej w Lesznie Al. Z. Krasińskiego nr 2

30 kwietnia 2000 r. (niedziela) godz. 15.30 – rozdanie nagród i dyplomów oraz koncert laureatów w sali Miejskiego Ośrodka Kultury w Lesznie ul. B. Chrobrego 3.

5. Zasady regulaminowe:

a) Wykonawca(y) przedstawia(ją) dwie piosenki o tematyce lwowskiej o łącznym czasie trwania do 8 minut.

b) Pisemne zgłoszenia uczestnictwa (wg załączonego wzoru) należy przysłać na adres B.O.F. (Biuro Organizacyjne Festiwalu) w terminie do dnia 20 kwietnia 2000.

Organizatorzy zapewniają aparaturę nagłaśniającą, magnetofon kasetowy oraz fortepian.

6. Ocena i nagrody:

6-cio osobowe jury oceniać będzie:

a) wykonanie piosenek (umiejętności wokalne)

b) dobór repertuaru (walory muzyczne i stopień trudności)

c) ogólny wyraz artystyczny.

Organizatorzy przewidują liczne nagrody oraz wyróżnienia.

Adres Biura Organizacyjnego Festiwalu:

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
64-100 LESZNO ul. Sikorskiego 26 tel. (0-65) 520-28-16

PROGRAM VIII-go OGÓLNOPOLSKIEGO DZIECIĘCEGO FESTIWALU PIOSENKI LWOWSKIEJ „TA JOJ! – Leszno 2000”

29 kwietnia 2000 r. (sobota)

– 10.00-14.00 – zgłoszenia przybycia w Punkcie Informacyjnym na I piętrze Szkoły Podstawowej nr 1 im. Marii Konopnickiej w Lesznie Al. Z. Krasińskiego nr 2 i odbiór dyplomów uczestnictwa w imprezie,

– 10.00-19.30 – przesłuchania konkursowe (eliminacje),

– 20.00 – ogłoszenie oficjalnych wyników jury.

Uwaga:
– podczas trwania eliminacji będzie czynny sklepik uczniowski z ciastkami i napojami.

30 kwietnia 2000 r. (niedziela)

- 11.30 – uroczysta Msza Św. w kościele pw. Św. Mikołaja (fara) dla uczestników festiwalu,
- 12.30-12.45 – wydawanie bonów obiadowych (sekretariat Szkoły Podstawowej nr 1),
- 12.45-15.00 – obiad (na koszt organizatorów) w stołówce Szkoły Podstawowej nr 1 dla uczestników, instruktorów, kierowców i zaproszonych gości,
- 15.30-18.00 – sala koncertowa Miejskiego Ośrodka Kultury w Lesznie ul. Bolesława Chrobrego nr 3 –
– Koncert Laureatów –

Podczas koncertu laureatom oraz wytypowanym przez jury instruktorom wręczane będą dyplomy, nagrody oraz pamiątkowe złote, srebrne i brązowe herby Lwowa.

Noclegi i wyżywienie (na koszt uczestników) należy zarezerwować telefonicznie i potwierdzić pismem w dyrekcji Ośrodka Szkolno-Wychowawczego **64-130 RYDZYNA PL. Zamkowy 2 (9 km od Leszna w kierunku Wrocławia) tel. (0-65) 538-85-92 (8-15).**

Orientacyjne ceny dla 1 uczestnika:

- nocleg + wyżywienie (śniadanie, obiad i kolacja) za 1 dobę wynosi ca. 33 zł.

Odjazdy festiwalowego autobusu MPK:

- w dniu **29 kwietnia (sobota)** z Rydzyny do Leszna o godz. 13.00 i 14.00 – powrót z Leszna do Rydzyny, po ogłoszeniu oficjalnych wyników – około 20.15

- w dniu **30 kwietnia (niedziela)** z Rydzyny do Leszna o 11.00 – powrót z Leszna do Rydzyny, po koncercie galowym – około 18.00.

TELEFON KONTAKTOWY z B.O.F. – (0-65) 520-28-16 (codziennie)

- w czasie trwania eliminacji – **529-91-28 (SP nr 1)**

Pływania „AKWAWIT”: czynna codziennie do godz. 21.00 – orientacyjna cena biletu za 1 godzinę korzystania wynosi: w niedziele – 6.50 zł, w pozostałe dni tygodnia – 5.50 zł.

VIII Ogólnopolski Dziecięcy Festiwal Piosenki Lwowskiej
„TA JOJ! – Leszno 2000”

**KARTA ZGŁOSZENIA UCZESTNICTWA
(wzór)**

Wykonawca(y):

(Imię i nazwisko lub nazwa zespołu)

Grupa wiekowa: „A” „B” „C” (proszę podkreślić)

Nazwa placówki:

Ilość osób:

Tytuły piosenek:

1

(nazwisko autora słów i kompozytora)

2

(nazwisko autora słów i kompozytora)

Imię i nazwisko instruktora:

Potrzeby techniczne (uwagi):

Podpis Dyrektora (Instruktora)

....., dnia r.

Węgliniec 3 stycznia 2000

**ZARZĄDY ODDZIAŁÓW I KLUBÓW TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA
I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
w całym kraju**

Zarząd TMLiKPW – Oddział Miłośników Ziemi Tarnopolskiej i Stanisławowskiej w Węglińcu zaprasza do czynnego udziału w organizowanym przez nas:

**II OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU
POLSZCZYZNY LWOWA
I KRESÓW POŁUDNIOWO-
WSCHODNICH pn.
„WIELKIE BAŁAKANIE
– WĘGLINIEC 2000”.**

Zgłoszenia uczestnictwa przyjmowane będą w terminie do 15 kwietnia 2000 r.

TERMIN FESTIWALU: 24-25 czerwca 2000.

MIEJSCE: Szkoła Podstawowa w Węglińcu przy ul. Kościuszki 5.

Pismenne zgłoszenia uczestnictwa oraz zamówienia na noclegi i wyżywienie kierować na adres: Prezes Odd. Miłośników Ziemi Tarnopolskiej i Stanisławowskiej, ul. Wojska Polskiego 13/1, 59-940 Węgliniec.

Szczegółowy program zainteresowani otrzymają w terminie do 15 maja 2000 r.

Telefoniczne informacje pod tel.: (075) 12 130 lub 12 510.

**REGULAMIN II OGÓLNOPOLSKIEGO
FESTIWALU POLSZCZYZNY LWOWA
I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
„WIELKIE BAŁAKANIE – WĘGLINIEC 2000”:**

1. Cel imprezy: popularyzacja dialektu lwowsko-podolskiego jako składnika kultury dużej części społeczeństwa Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza.

2. Uczestnicy: soliści i zespoły (bez ograniczeń wiekowych)

3. Repertuar: poezja, proza, pieśń – wykonywane w „bałaku”.

4. Czas występu: w części konkursowej 5-8 minut, w koncercie laureatów, w zależności od życzenia widowni.

5. Przesłuchania przed publicznością w dniu 24 czerwca od godz. 14 do godz. 20.

6. Ogłoszenie wyników konkursu i Koncert Laureatów w dniu 25 czerwca 2000 od godz. 17.

7. Festiwal odbędzie się na terenie Szkoły Podstawowej w Węglińcu.

8. Zasady regulaminowe: wykonawcy przedstawiają tekst w jednej z form:

- poezja
- proza
- śpiew

9. Ocena i nagrody: 5-cio osobowe jury oceniać będzie:

- dobór repertuaru – stopień trudności tekstu
- stopień trudności melodii i umiejętności wokalne
- ogólny wyraz artystyczny
- umiejętność nawiązania kontaktu z widownią.

UWAGA! Uczestnicy poprzedniego Festiwalu nie mogą wykonywać tych samych utworów.

Organizatorzy przewidują (jak na poprzednim Festiwalu) liczne nagrody i wyróżnienia we wszystkich kategoriach oraz nagrody specjalne dla autorów nowych tekstów w „bałaku”, oraz dla kompozytorów nowych piosenek związanych z Festiwalem lub Węglińcem.

**UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH
I KLUBACH TMLiKPW**

Zbigniew Grata

Dziesiąte recytacje kresowe w Brzegu

W dniu 13.12.1999 r. w Klubie Garnizonowym w Brzegu już po raz dziesiąty odbył się Konkurs Recytatorski „Poezja Lwowska i Kresowa” zorganizowany przez Oddział Brzeski TMLiKPW, Klub Garnizonowy w Brzegu oraz Brzeskie Centrum Kultury.

W tym roku konkurs zorganizowany został w ramach obchodów dziesięciolecia istnienia Towarzystwa w Brzegu i zasięgiem objął wszystkie szkoły podstawowe i średnie, jak również gimnazja na terenie powiatu brzeskiego.

W szranki stanęła młodzież z pięciu szkół średnich Brzegu, Grodkowa i Namysłowa, jak również dzieci z dziewięciu szkół podstawowych.

Recytacje oceniało jury w składzie: Zbigniew Grata, Dorota Wierzbicka i Jadwiga Brodowska, które oceniając wysiłki dzieci i młodzieży miała „ciężki orzech do zgryzienia” gdyż musiało

**Karta zgłoszenia
II OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POLSZCZYZNY
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
pn. „WIELKIE BAŁAKANIE – WĘGLINIEC 2000”**

Wykonawca

Adres do korespondencji

Ilość osób (w przypadku zespołów)

Czas prezentacji

Tytuły utworów

Autor, kompozytor

Opiekun, instruktor

Potrzeby techniczne

miejsowość

data

podpis zgłaszającego

podpis prezesa



wyłonić laureatów, oceniając uczestników w trzech grupach wiekowych:

W grupie szkół średnich I-sze miejsce zajęła Kalina Koronkiewicz, z Klubu Garn., II-gie miejsce przypadło Katarzynie Dynowskiej z L.O. w Namysłowie, III-cie miejsce uzyskał Rafał Jaskulski z Z.S.S. Nr 1 w Brzegu. Wyróżnienie otrzymała Katarzyna Dudek z L.O. Nr 1 w Brzegu.

W młodszej grupie szkół podstawowych (1-4 kl.) I-sze miejsce uzyskała Kaja Koronkiewicz z Klubu Garn., II-gie miejsce uzyskała Agata Rudnicka z P.S.P. Nr 5 w Namysłowie, III-cie miejsce uzyskała Joanna Porada z P.S.P. w Jankowicach Wlk. Wyróżniona została Katarzyna Gajda z P.S.P. Nr 4 w Namysłowie.

W starszej grupie szkół podstawowych I-sze miejsce uzyskała Żaneta Kozoś z Klubu Garn., II-gie miejsce zdobyła Emilia Komarnicka z P.S.P. Nr 3 w Brzegu, III-cie miejsce uzyskała Katarzyna Czernek z P.S.P. Łukowice Brzeg. Wyróżnieni zostali: Jarosław Kotomski z P.S.P. Nr 4 w Namysłowie, Katarzyna Słu-

załec z P.S.P. Nr 3 w Brzegu oraz Małgorzata Zaremba z P.S.P. Nr 6 w Brzegu.

Wszyscy uczestnicy otrzymali dyplomy za uczestnictwo, a laureaci i wyróżnieni otrzymali nagrody książkowe, a jako że konkurs odbywał się w ramach obchodów dziesięciolecia Oddziału, opiekunowie uczestników otrzymali medale pamiątkowe wybite na tę okoliczność. Również była nagroda specjalna ufundowana przez Prezesa Oddziału za wytrwałość i osiągnięcia, która przypadła Kalinie Koronkiewicz, która wzięła udział w Konkursie po raz ósmy.

Pozostaje jeszcze złożyć serdeczne podziękowania Kierownictwu Klubu Garnizonowego, Pani Dorocie Herman z BCK w Brzegu oraz wszystkim, którzy pomagali w organizacji Konkursu.

Chciałbym wszystkim podziękować naszym Kresowym pozdrowieniem:

„Ta daj Boży zdrowi”. □

Otwarcie wystawy w Katowicach

We wspaniałych pomieszczeniach nowego gmachu Biblioteki Śląskiej w Katowicach w dniu 22.XI.1999 odbyło się otwarcie wystawy książek lwowskich ze zbiorów Grażyny i Bogdana Kaspro- wiczów z Bytomia. Tytuł wystawy „Habent Fata Sua Libelli”.

Zbiory zostały wystawione w 20 dużych regałach, oprócz książek leopoldianów wystawiono gazety i czasopisma przedwojenne (i te sprzed I wojny światowej) jak i obecnie ukazujące się, afisze teatralne, albumy. Mówi dyrektor Biblioteki Dr Jan Malicki. Zbieramy od nowa. Aby nie przerwać biegu spraw zaczętych

przez naszych przodków na wschodzie należy zapewnić ciągłość obecności Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w polskiej kulturze narodowej. Po otwarciu wystawy odbył się występ teatryku „Bez Granic”, w którym udział wzięli: Wanda Ferdynus Migdałek, Genowefa Ślęzak, Agata Niejodek-Kiwacka, Piotr Mika i Bogdan Kaspro- wicz. Gościnnie wystąpili Maria Kaspro- wicz i Ryszard Mosingiewicz wykonawca wspaniałego wiersza „Trzy ziemie”.

opracował Andrzej Michniewski

Orlątom Lwowskim

11 listopada u stóp lubańskiego Ratusza miały miejsce uroczystości związane z odsłonięciem pomnika poświęconego Orlątom Lwowskim.

Uczestniczyli w nich przedstawiciele władz powiatowych i miejskich, delegacje organizacji kombatanckich z pocztami sztandarowymi, młodzież szkolna oraz mieszkańcy miasta. Koncepcja ufundowania pomnika zrodziła się kilka miesięcy temu. Pomysłodawcą i animatorem tego przedsięwzięcia był mieszkaniec Lubania p. Bolesław Rowiński. Praktyczną stroną realizacji projektu zajął się Komitet Organizacyjny, do akcji włączyła się cała społeczność Lubania wykupując wyemitowane na ten cel cegiełki.

– Idea tego pomnika nie jest skierowana przeciwko żadnemu narodowi, – powiedział podczas uroczystości Bolesław Rowiński – a jest on jedynie skromną formą upamiętnienia bohaterstwa Orląt.



Pomnik stanął u stóp miejskiego Ratusza, na jednym z tutejszych skwerów. Jego twórcy wierzą, że młodzież będzie u jego stóp składała wiązanki kwiatów przy różnych uroczystościach.

W trakcie odsłonięcia odbył się apel poległych, a na zakończenie kompania funkcjonariuszy Łużyckiego Oddziału Straży Granicznej oddała salwę honorową. (KK)



Jan Rawski

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Tarnobrzegu

Towarzystwo Miłośników Lwowa (TML) zarejestrowane zostało w Tarnobrzegu we wrześniu 1989 roku, w burzliwym okresie powstawania „Solidarności”. Był to czas kiedy wyraźnie i śmiało mówiło się już o zagarniętych przez ZSRR naszych ziemiach wschodnich i o przesiedleniach z nich setek tysięcy Polaków na Syberię, do Kazachstanu i wielu odległych miejsc w głębi Rosji. Mówiło się głośno o tym, co przez wiele dziesiątków lat było objęte głęboką tajemnicą i cenzurą, a nawet groziło represjami i więzieniem.

Po zarejestrowaniu Towarzystwa i rozpropagowaniu w prasie lokalnej informacji o jego utworzeniu i działaniu, bardzo szybko zaczęli się zgłaszać chętni, tak że wkrótce ilość członków przekroczyła 80 osób, z terenu Tarnobrzega, Nowej Dęby, Baranowa Sandomierskiego i Sandomierza. Nie zdawaliśmy sobie sprawy ilu lwowiaków i kresowiaków przebywało w naszym województwie. Przecież Tarnobrzeg w drugiej Rzeczypospolitej należał do województwa lwowskiego i miał ze Lwowem dużo powiązań tak administracyjnych jak i gospodarczo-kulturalnych.

Pierwsze zebranie zwołał i prowadził p. Zdzisław Południak, w sali Klubu Inteligencji Katolickiej przy klasztorze OO. Dominikanów.

Jako Towarzystwo od samego początku nie mieliśmy własnego miejsca spotkań. Udzielali nam lokalu na zebrania i spotkania: Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Tarnobrzegu, Wojewódzki Dom Kultury, a ostatnio spotkania nasze odbywały się w drugi czwartek miesiąca w Klubie „Promyk” Spółdzielni Mieszkaniowej „Siarkowiec” na osiedlu Przywiśle w Tarnobrzegu. Po pierwszych spotkaniach, na których rozgorzały dysputy o przeżyciach i drogach z terenów ZSRR do Polski, powstała myśl zbierania i gromadzenia pamiątek z tych ziem, zaproponowana przez Zarząd Główny we Wrocławiu. W Tarnobrzegu utworzony został Zarząd Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa, a po paru latach przekształconej na Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich (TMLiKPW). Jednym z pierwszych eksponatów był, przekazany przez panią Olę Maławska z Baranowa Sandomierskiego, sztandar Sodalicii Mariańskiej Pań Nauczycielek ze Lwowa z roku 1897, przywieziony ze Lwowa w 1946 roku. W kwietniu 1989 roku sztandar przekazany został do kościoła OO. Dominikanów w Tarnobrzegu, a w 1990 roku brał udział w procesji Bożego Ciała, niesiony przez naszego członka śp. Stanisława Hrycyniaka.

W listopadzie 1989 roku przyjechał na nasze zaproszenie Jerzy Michotek i w Klubie MPiK dał koncert, śpiewając przy akompaniamencie gitary swoje ulubione piosenki o Lwowie i kresach. Drugi taki koncert z jego udziałem mieliśmy w kościele na Serbinowie w 1996 roku. Na nasze comiesięczne spotkania zapraszaliśmy interesujące osoby, które przekazywały swoje wspomnienia, np. pan Leśmianowicz w grudniu 1989 roku miał prelekcję o wojnie w 1918 roku z bolszewikami i obronie Lwowa. Pani prof. Irena Wnękowa opowiadała o okresie studiów na Uniwersytecie Lwowskim, a śp. Edward Mikusiński o sporcie lwowskim i jego losie. Pod wrażeniem tych wspomnień odżyła myśl zorganizowania wycieczki do Lwowa. Ostatecznie doszła ona do skutku w czerwcu 1990 roku. Uczestniczyły w niej 34 osoby. Niektórzy po raz pierwszy, prawie po 50 latach od jego opuszczenia, zobaczyli obecny Lwów. Jakże inny od tego jaki znali i pozostawili! Gdzie ci ludzie jakich znali? Gdzie się podział ten lwowski bałak? Pozostały jedynie ulice i zabytki, ale jakież one szare, obdarte z tynków i zaniedbane.

Po zwiedzeniu Lwowa pragnęliśmy zobaczyć, słynną z Targów wschodnich we Lwowie, „Panoramę Raclawicką”, którą po wielu przejściach, udostępniono we Wrocławiu. W dniach 21-22 czerwca 1991 roku zorganizowaliśmy wycieczkę. Podobnych imprez turystyczno-poznawczych było więcej dzięki wysiłkowi organizacyjnemu naszego członka p. Czesława Poźniaka, np. do Kazimierza n/Wisłą, Kałkowa czy Przemyśla. Tylko w jednym roku zorganizował on 9 wycieczek do 21 miejscowości, w których uczestniczyło 362 osoby.

Na nasze zaproszenie przyjechał w 1991 roku z Rzeszowa Teatr im. W. Siemaszkowej, który w sali WDK w Tarnobrzegu dał spektakl pt. „Lwowskie Piosenki”, a w 1996 roku gościliśmy na naszym terenie polski zespół ze Lwowa „Wesoły Lwów”, który w dniach od 7 do 11 czerwca dał koncerty w Tarnobrzegu, Nowej Dębie, Sandomierzu i Stalowej Woli. W grudniu 1991 roku odbył się w Klubie MPiK w Tarnobrzegu wieczór przy świecach poświęcony poezji Mariana Hemara.

Nie zapominajmy o naszej przeszłości i prenumerujemy takie czasopisma jak „Semper Fidelis”, „Na Rubieży” oraz „Gazetę Lwowską”. Wszystkie pojawiające się nowe opracowania o Lwowie i Kresach jak np. Witolda Szoligini „Tamten Lwów”, „Na wesołej Lwowskiej Fali” czy L. Dzięgiela „Lwów nie każdemu zdrow” oraz wiele innych pozycji ma swoich stałych nabywców. Wszyscy łakną tych informacji jak nie dla siebie, to dla dzieci a nawet wnucząt. Pani Kryśka Tyniec pamięta aby corocznie w listopadzie odprowadzała w kościele OO. Dominikanów w Tarnobrzegu msza św. za obrońców Lwowa w 1918 roku oraz naszych zmarłych członków, których już 24 odeszło z naszego grona. Pamięta też aby w dzień Wszystkich Świętych na ich grobach w Tarnobrzegu zapalić znicze. Co roku jest nas mniej, dlatego na koniec 1998 roku Towarzystwo tworzyło już tylko 28 osób. Na spotkaniach miesięcznych jest nas zaledwie kilkanaście osób. Młodzieży brak i boimy się, że nie zrealizujemy naszych zamierzeń, chcielibyśmy między innymi, by jednej z ulic Tarnobrzega nadano nazwę Obrońców Lwowa lub podobną, upamiętniającą nasz Lwów. Z tej okazji chcielibyśmy w jednym z tarnobrzeskich kościołów zawiesić tablicę i umieścić urnę z prochami z cmentarza Orląt Lwowskich na Łyczakowie.

Mając w pamięci dawny Lwów, na przełomie czerwca i lipca 1991 roku urządziliśmy z naszych własnych pamiątek wystawę „Lwów – Lwowiaci – Ziemia Lwowska – Kresy Wschodnie”. Cieszyła się dużym zainteresowaniem nie tylko starszych ale i młodzieży.

Niezapomniane też były spotkania przy ognisku nad Wisłą, czy na działce śp. p. Edwarda Mikusińskiego, a ostatnio w ogrodzie p. Danuty Terleckiej.

Działalność swą kierujemy również ku tym, którzy zostali we Lwowie. Od 1992 roku zbieramy pieniądze na zakup żywności i środków czystości, które łącznie z darami od takich tarnobrzeskich firm jak „Agtar”, „Bazar”, „Kasia” przekazujemy do Klubów Myśli Katolickiej we Lwowie. Dary nasze przekazywane są Polakom najbardziej potrzebującym, ludziom starym, chorym, emerytom lub rodzinom wielodzietnym. Trafiają też do polskich dzieci w żłobkach i szkole polskiej Nr 10 we Lwowie. W przesyłaniu tych darów bardzo zaangażowana jest p. Anna Rawska, która nieraz czynnie uczestniczyła przy ich rozdawaniu we Lwowie, tak żywności jak też odzieży i obuwiu dla najbardziej potrzebujących. Szkoda tylko, że nowe przepisy celne na Ukrainie znacznie ograniczają tę formę pomocy.

Jest nas coraz mniej, a ci co zostali z uwagi na wiek i schorzenia coraz mniej udzielają się. Ostatnio nasze spotkania mają charakter towarzyski. W roku bieżącym na zaproszenie Urzędu Miasta i Klubu Inteligencji Katolickiej (KIK), w Tarnobrzegu przebywały w dniach od 28 maja do 20 czerwca dzieci z Czernihowa na Ukrainie pochodzące z rodzin polskich. Przyjechało ich trzydziścioro w wieku 10-15 lat pod opieką 6 opiekunów. Z okazji Dnia Dziecka mieliśmy z nimi spotkanie, na którym ofiarowaliśmy słodycze i kieszonkowe. Dzieci przebywały w ośrodku wypoczynkowym w Bojanowie. Pieniądze w części pokryła Wspólnota Polska w Warszawie. Prezes KIK Kazimierz Wiszniewski zorganizował dzieciom wycieczkę do Krakowa, Wielicz-

ki i Częstochowy, a ksiądz prałat Michał Józefczyk codzienną mszę świętą w Bojanowie i wstęp na spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II w Sandomierzu 12 czerwca 1999 r. Wcześniej, bo w roku 1996 opiekowaliśmy się przez tydzień grupą 16 dzieci i 2 opiekunek ze szkoły polskiej Nr 10 we Lwowie, które wracając z Parafady Sportowej w Warszawie w drodze powrotnej zatrzymały się również w Bojanowie.

Być może to, co robimy wyda się komuś mało interesujące, bo opierające się na sentymentach. Pamiętam jednak, że Lwów, zwłaszcza w XIX wieku i do roku 1939, był jednym z fenomenów kultury polskiej i europejskiej. Bez pamięci i historii nie można budować przyszłości. □

Mieczysław Kostur

Świdwiński V Wieczór Poezji i Piosenki Lwowskiej

To impreza po raz piątą organizowana przez Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich i Świdwiński Ośrodek Kultury w Sali Widowiskowej Zamku 16.11.1999 r. Warto było przyjść, zobaczyć i posłuchać „bałakania” lwowskiego w wykonaniu młodzieży świdwińskich szkół. Z zespołu Szkół wystąpiły: Agata Bratuń, Natalia Niezgoda, Katarzyna Szymczak, Kamila Duda, Marta Matysiak pod kierunkiem mgr Małgorzaty Pluty i mgr Krystyny Czyżyk. Z zespołu Szkół Rolniczych: Agnieszka Całka, Agnieszka Maksiak pod kierunkiem mgr Jadwigi Zbieg. Z Miejskiego Zespołu Szkół: Patrycja Andrzejewska, Joanna Jakubik, Alicja Śniegulska, Izabela Szewczyk, Sandra Romanowska, Joasia Jędrzejczak, Beata Brudzińska, Ewa Proskura pod kierunkiem mgr Grażyny Wolińskiej i mgr. Artura Domaradzkiego. Ze Szkoły Podstawowej nr 1: Anna Łuczak i Monika Kujan pod kierunkiem mgr Moniki Szewczyk, a Edyta Morawska i Kamila Gerlak pod kierunkiem Marka Świderskiego. Ze Szkoły Podstawowej nr 2: Milena Majka, Monika Kotrys, Stanisława Kwiatkowska i Ewelina Żurawicz pod kierunkiem mgr Anny Strońskiej. Ze Szkoły Podstawowej nr 3: Justyna Jasińska i Anna Walkowiak pod kierunkiem mgr Joanny Berdel oraz Karolina Drewiankowska, Katarzyna Lemańczyk, Katarzyna Gruszczyńska, Sylwia Mokrzycka, Natalia Drewiankowska, Wojciech Szyszka, Dawid Peśla i Patryk Potocki pod kierunkiem mgr Małgorzaty Drelak. Pierwszy raz w tej imprezie wystąpił zespół „MOPSIKI” z MOPS w składzie: Małgorzata Chojńska, Roman Cudek, Marian Jagodziński i Rafał Nizioł. Opiekę nad zespołem sprawuje p. Barbara Nawrocka kierowniczka Środowiskowego Domu Samopomocy. W komisji artystycznej zasiadali: Krzysztof Rotnicki, Irena Zachariasiewicz, Monika Jasiuchna i Andrzej Raufajsz!

Spotkanie rozpoczął Marian Wiszniewski, powitał publiczność i władze miasta – burmistrza Józefa Pietraszka i jego zastępcę Andrzeja Raufajsz. Prezes Klubu TMLiKPW Mieczysław Kostur serdecznie powitał nauczycieli i młodych wykonawców, bez których zaangażowania nie byłoby dzisiejszej imprezy i za to serdecznie podziękował, powitał kresowiaków.

Gniezno dnia 18.01.2000 r.

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch.
Oddział Gniezno, ul. Biskupińska 26a, tel. 4266022

**Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników
Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Wrocław**

Pragniemy poinformować, że Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich



Występuje młodzież z Miejskiego Zespołu Szkół w Świdwinie pod kier. Artura Domaradzkiego.

Recytatorów i wokalistów nagradzano gromkimi oklaskami. Wręczono wykonawcom oraz szkołom specjalne dyplomy za udział w imprezie z wyrazami wdzięczności za propagowanie folkloru lwowskiego na Ziemi Świdwińskiej.

Spoglądając na widowie, na naszych lwowiaków-kresowiaków widać było okazywaną radość, że pragną tego, pragną promocji swojego dzieciństwa w postaci słów piosenki czy melodii. Człowiek może żyć wszędzie, ale serce zostało tam, gdzie się urodził i wychował. Stąd właśnie Zarząd Klubu TMLiKPW inicjuje i propaguje organizowanie „Wieczoru poezji i piosenki lwowskiej” oraz „Dzień Kultury Kresowej” by ocalić ją od zapomnienia.

Organizatorzy serdecznie dziękują dyrektorom szkół, nauczycielom, kierownictwu MOPS i ŚDS za przygotowanie młodzieży do tego występu oraz do Koszalińskiego Konkursu. Dziękujemy młodym wykonawcom i życzymy sukcesów w Koszalinie.

Organizatorzy serdecznie dziękują pani Hannie Rosa za udostępnienie swoich obrazów prezentujących pejzaż kresowy do wzbogacenia oprawy plastycznej lwowskiego wieczoru. □

w Gnieźnie dnia 17.12.1999 roku obchodził potrójną uroczystość.

Pierwsza część uroczystości to patriotyczna manifestacja członków Towarzystwa, harcerzy Hufca Gnieźnieńskiego, młodzieży szkolnej, przedstawicieli władz administracyjnych i mieszkańców Gniezna z okazji nadania jednemu z gnieźnieńskich placów nazwy „Skwer Orląt Lwowskich”.

Uroczystość rozpoczęło wystąpienie Prezesa Oddziału mgr. Janusza Sekulskiego, który przedstawił rys historyczny bohaterskiej obrony Lwowa oraz uczestnictwa w odsieczach

druhów gnieźnieńskiego hufca ZHP, po czym nastąpiło poświęcenie skweru. Poświęcenia nowonazwanego placu dokonał ks. kan. Jan Kubicki w towarzystwie kapelana Oddziału TML ks. kan. Ryszarda Balika. Po manifestacji wszyscy uczestnicy udali się do kościoła pw. św. Jana, gdzie odprawiona została w intencji Lwowskich Orląt msza święta koncelebrowana przez księdza biskupa Stanisława Gądeczkiego.

Następnym punktem uroczystości było ogólne zebranie członków Oddziału i zaproszonych gości, na którym Prezes Oddziału mgr Janusz Sekulski dokonał 5-letniego podsumowania naszej działalności, a następnie wyróżniającym się członkom wręczono Medale X-lecia TML, a Prezesowi Se-

kulskiemu Złotą Odznakę TML przyznaną mu przez Zarząd Główny. Ta część uroczystości zakończona została wystąpieniem ks. kan. Andrzeja Ramsa ze Strzelczysk, który dziękował za pomoc jaką Oddział nasz udziela jego parafii.

Po oficjalnych uroczystościach nastąpiło spotkanie opłatkowe rozpoczęte odczytaniem ewangelii przez kapelana Oddziału księdza kanonika Ryszarda Balika. Następnie złożono sobie wzajemne życzenia pomyślności oraz dalszej aktywnej pracy w dziele niesienia pomocy rodakom na Kresach. Spotkanie zakończono odśpiewaniem znanych polskich koled

Prezes Oddziału
mgr Janusz Sekulski

WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Kresowe opłatki

Tradycyjnie, na przełomie starego i nowego roku w oddziałach, klubach TMLiKPW oraz innych stowarzyszeniach kresowych odbyły się Spotkania Opłatkowe Kresowiaków. Przy symbolicznych choinkach, z udziałem kapelanów lwowiacy, wilnianie, podolanie, wołynianie łąjąc się opłatkami życzyli sobie wzajemnie przede wszystkim zdrowia i spotkania się w tym gronie za rok. Bo coraz mniej nas... Potem śpiewano koledy, kresowe piosenki, częstowano się domowym ciastem, winem, a niekiedy kutią; wspomniano lata, które uciekły hen w dal i przyjaćci już nieobecnych... Te Opłatki mają swoisty urok i atmosferę, które przyciągają na nie kresowiaków z odległych miast, a nawet z zagranicy. Z przyjemnością w nich uczestniczę.

W samym tylko Wrocławiu odbyło się w tym okresie kilkanaście środowiskowych i wspólnych Spotkań Opłatkowych kresowian. „Opłatek” urządziły Kluby „Stanisławów”, „Tłumacz”, „Stryj”, oczywiście Sybiracy i Wilnianie. Członkowie Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW spotkali się tradycyjnie w Klubie Muzyki i Literatury – chór „Dumka” śpiewał koledy i piosenki kresowe, recytowano wiersze Janusza Ragankiewicza. Na „Opłatkach” w największym klubie wrocławskim „Leopolis” byli prezesi klubów nauczycieli lwowiaków, wilnian, klubów TMLiKPW z Oleśnicy i Wałbrzyska oraz sympatycy. Popularny we Wrocławiu zespół „Ferajna” Zosi Puchałowej grał i śpiewał „kawalki” lwowskiej ulicy, a wraz z nimi cała sala. Gościem Opłatkowego Spotkania kołomyjan był wrocławski poeta, autor wielu książek o tematyce kresowej, Stanisław Srokowski. Podzielił się swoimi wrażeniami i refleksjami z niedawnej wyprawy charytatywnej, wraz z ekipą TV Wrocław, do Stanisławowa, Kołomyi i swoich stron rodzinnych, które zilustrował zbranym filmem telewizyjnym.

Niezwykle ciekawe było Spotkanie Opłatkowe w klubie „Orląt Lwowskich”. Uczestniczyli w nim przedstawiciele Zarządu Głównego TMLiKPW, Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”, zarządu Oddziału Wrocławskiego Towarzystwa oraz klubów. Prof. Antoni Siewiński opowiedział niezwykle barwnie o staropolskiej gościnności, biesiadowaniu – od czasów Piastów do nam współczesnych – obrazując je cyta-

tami z prac kronikarzy Galla Anonima, Kadłubka, historyków i znanych pisarzy polskich. A prof. Wojciech Fuliński przypomniał sylwetki wybitnych profesorów lwowskich uczelni oraz anegdoty i dowcipy o nich. Bawiliśmy się świetnie... Na zakończenie spotkania prezes klubu „Orląt Lwowskich”, Marek Rogalski, odśpiewał I część (w zamierzeniu ma być kilka) wystawy kilkudziesięciu kolorowych zdjęć miast, pomników i zabytków kultury polskiej na Kresach – jego głównie autorstwa, plon wielu wypraw na Wschód.

Kombatanci różnych formacji i organizacji, zaproszeni kresowiaci i kapłani spotkali się na Opłatkach w Stowarzyszeniu Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Prezes Szczepan Siekierka przypomniał, że to dzięki kresowiakom – świadkom morderstw UPA na wschodnich terenach II RP i ich uporowi w 1999 r., tu nad Odrą, stanął pomnik upamiętniający męczeńską śmierć tysięcy Polaków na Kresach. Myśleliśmy o nich łąjąc się w skupieniu opłatkami. Chwilą ciszy uczciliśmy pamięć kombatantów, którzy odeszli na wieczną wartę. Ks. kan. Stanisław Draguła zapoznał uczestników spotkania z programem obchodów upamiętnienia 60. rocznicy rozstrzelania – na rozkaz Stalina – polskich oficerów, policjantów i wyższych urzędników państwowych w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Do tych miejsc martyrologii narodu polskiego ks. Draguła zorganizuje latem wycieczki-pielgrzymki. Kombatanci wspominali dni krwi i chwały, tragiczne wspomnienia, śpiewano pieśni patriotyczne i koledy.

W „Dworze Polskim” rzecznik Chrześcijańskiej Demokracji III Rzeczypospolitej Polskiej, p. Tadeusz Szczerbak, zorganizował spotkanie wigilijno-opłatkowe z przedstawicielami wrocławskich stowarzyszeń kresowych. Uczestniczyli w nim prezesi: Zarządu Głównego i Oddz. Wrocławskiego TMLiKPW, Towarzystwa Przyjaciół Wołynia i Polesia, Oddz. Wrocławskiego Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna, Towarzystwa „Klub pod Baobabem” oraz dyrektor Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”. Składano sobie wzajemnie życzenia pomyślności i sukcesów, rozmawiano o formach współpracy itp. Spotkanie upłynęło w miłej i serdecznej atmosferze.

W święto Trzech Króli byliśmy gośćmi JE Kardynała Henryka Gulbinowicza, Metropolity Wrocławskiego. W tym dniu tradycyjnie spotkał się On na uroczystym Opłatkach z przedstawicielami wrocławskich mediów. Po Mszy św. w kaplicy Wyższego Seminarium Duchownego Jego Eminencja zaprosił przybyłych ponad 100 dziennikarzy na poczę-



Fot. Magda Kołodzińska

**Spotkanie opłatkowe u JE Kard.
Henryka Gulbinowicza Metropolity Wrocławskiego.
Życzenia od dziennikarzy „Gazety Wrocławskiej”
składa prezes Jacek Czynyajtis**

stunek (pyszne smakołyki i wyborne wino!) i na rozmowy. Nie szczędził dziennikarzom prasy, radia i telewizji ciepłych słów i serdecznych życzeń. W imieniu kolegium redakcyjnego naszego „Semper Fidelis” oraz lwowiaków i kresowiaków TMLiKPW prezes A. Kaminski złożył Metropolice Wrocławskiej życzenia zdrowia i pomyślności oraz wręczył „Kalendarz lwowski 2000” i najnowszy numer „SF”.

Spotkanie noworoczne Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” (które się odbyło w restauracji „Podkowa” na zaproszenie jej właściciela) miało charakter bardzo roboczy. Dyskutowano o planach działania i zamierzeniach Fundacji w br. – przedstawionych przez dyrektora D. Tabińską-Juhasz – w kontekście obchodów jubileuszu 1000-lecia Wrocławia. Pozytywnie oceniono akcję pomocy charytatywnej rodakom na Kresach, zorganizowaną przez Fundację pod hasłem „Na gwiazdkę” i udział w niej D. Nespiak oraz T. Tandeckiego (o ich wyprawie do Lwowa i Stanisławowa piszemy na stronie 5). Postanowiono ją kontynuować pod nazwą „Na Wielkanoc” i przed świętami znowu wspomóc finansowo Polaków, starych i schorowanych, we Lwowie i gdzie indziej. Czy to się powiedzie – w dużej mierze zależy od hojności sponsorów i ofiarności rodaków tu w kraju.

Tyle z Wrocławia. Jak było w innych oddziałach TMLiKPW? – Nie wiemy, bo grypa uniemożliwiła nam udział w Spotkaniach Opłatkowych poza Wrocławiem (dziękujemy za zaproszenia). Jedynie prezes A. Kaminski – gdy jeszcze był zdrow – dał się namówić Alfredowi Janickiemu



Węgliniec 16.01.2000 r. Spotkanie Rodzin Kresowych



Węgliniec 16.01.2000 r.

i pojechał na Opłatek kresowiaków do Węglińca, leżącego hen na krańcu Kresów Zachodnich RP. Nie żałuje. Był podejmowany ze staropolską gościnnością i miał wrażenie, że znalazł się na przedwojennych Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej! Niewiele rzeczy mogli zabrać ze sobą repatrianci wyjeżdżając z Buga, ale przywieźli tu najcenniejsze – kresowy patriotyzm i gościnność. Pielęgnują te wartości, przekazując młodym. By się o tym przekonać, warto wybrać się do Węglińca na II Festiwal „Lwowskie Bałakanie”, który się narodził z potrzeby zachowania i utrwalenia tożsamości kresowej osiadłych tu po wojnie kresowian. Zapraszają serdecznie.

Dzwony martyrologii

W czerwcu br. powinny zakończyć się prace na cmentarzach żołnierzy polskich w Katyniu, Charkowie i Miednoje – poinformował Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Andrzej Przewoźnik, na inauguracyjnym posiedzeniu Komitetu Honorowego Obchodów 60. Rocznicy Zbrodni Katyńskiej, które odbyło się z udziałem premiera Jerzego Buzka oraz marszałków Sejmu i Senatu: Macieja Płażyńskiego i Alicji Grześkowiak. Razem z oddaniem cmentarzy planowane są główne uroczystości obchodów rocznicy zbrodni NKWD.

W ludwisarni Janusza i Walerii Felczyńskich w Ostrowie koło Przemyśla trwają prace nad trzema dzwonami, które trafią na cmentarze w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Każdy z nich waży 700 kg. Jedyną ich ozdobą będzie tekst „Bogurodzicy”. Dwa pierwsze dzwony odlane w styczniu zostaną wkrótce zawiezione do Katynia i Charkowa, trzeci odlany – trafi do Miednoje.

„Polacy ze Wschodu o sobie”

Pod powyższym tytułem Dolnośląski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” we Wrocławiu zorganizował seminarium poświęcone problemom Polaków na Wschodzie i problemom polskiego odrodzenia narodowego w państwach byłego ZSRR. W seminarium uczestniczyli działacze polskich organizacji z Białorusi – inż. Tadeusz Malewicz, Litwy – poseł do parlamentu litewskiego dr Jan Sienkiewicz i Ukrainy – doc. dr Henryk Stroński oraz polscy historycy, którzy w kraju zajmują się tematyką kresową – doc. dr Paweł Zworski, dr Antoni Kuczyński, dr Grzegorz Hryciuk, działacze „Wspólnoty Polskiej”, ks. kan. Stanisław Draguła oraz członkowie wrocławskich stowarzyszeń kresowych.

Dwa referaty wygłoszone na seminarium odnosiły się do sytuacji na Ukrainie: doc. dr H. Strońskiego – „Polskie od-

rodzenie narodowe na Ukrainie, specyfika terytorialna, Polacy w życiu publicznym Ukrainy, stosunek władz i społeczeństwa ukraińskiego” i dr. G. Hryciuka – „Polacy na Ukrainie, specyfika środowiska: b. Galicja Wschodnia i Wołyń, a Żytomierszczyzna i Kijowszczyzna”. Te referaty oraz o sytuacji publiczno-społecznej Polaków na Litwie, stosunku władz i społeczeństwa litewskiego do naszych rodaków w związku ze zdarzeniami wokół odbudowy Cmentarza Orląt i przejawami dyskryminacji polskiej mniejszości narodowej w Republice Litewskiej wywołały największe zainteresowanie i dyskusję.

Materiały pokonferencyjne wraz z wnioskami zostały przekazane Zarządowi Krajowemu „Wspólnoty Polskiej”, władzom i zainteresowanym.

Dla Polaków na Wschodzie

Ponad 62 tys. egzemplarzy gazety „Rzeczpospolita” i 200 odbiorników radiowych trafi w tym roku do ośrodków Polonii w Europie Wschodniej i Azji. Porozumienie w tej sprawie podpisały Ministerstwo Spraw Zagranicznych, spółka „Presspublika”, Polskie Radio i Poczta Polska. „Prenumerata 2000” to hasło akcji, dzięki której ośrodki polskie na Ukrainie, Białorusi, Litwie, w Kazachstanie, Gruzji i Rosji (w planie także na Łotwie, w Rumunii i Bułgarii) będą otrzymywać przez cały rok prenumeratę „Rzeczpospolitej”.

Akcję zainicjował resort Spraw Zagranicznych, pośredniczyć ma Poczta Polska. Nareszcie poważna gazeta polska będzie docierała do skupisk Polaków na Wschodzie, czego od dawna się dopraszali. Będą wdzięczni. Kto pójdzie w ślady „Rzeczpospolitej”?

Doktorat h. c. i Nagroda Śląska

Wyróżnienia międzynarodowe spotkały ostatnio dwoje wrocławian. Profesor Andrzej Wiszniewski, były rektor Politechniki Wrocławskiej, a obecnie przewodniczący Komite-



Fot. M. Grotowski

Prof. Andrzej Wiszniewski

tu Badań Naukowych otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Lwowskiej. Uroczystość wręczenia odbyła się we Lwowie. Politechnika Wrocławska – którą po wojnie uruchamiali naukowcy dawnej, przedwojennej Politechniki Lwowskiej – współpracuje od lat z ukraińską Politechniką Lwowską.

Wrocławska malarka Krzesława Maliszewska, rodowita lwowianka została laureatką Specjalnej Śląskiej Nagrody Kulturalnej, ufundowanej przez rząd Dolnej Saksonii. Przyznaje ją polsko-niemieckie jury nagradzając twórców, muzealników-naukowców z Niemiec i Polski, którzy wnieśli trwały wkład do kultury Śląska. Nagrodę główną przyznano

dyrygentowi i kompozytorowi niemieckiemu, urodzonemu we Wrocławiu, Christophowi Aschenbachowi. Nagrodą Specjalną uhonorowano także polskiego reżysera Jana Jakuba Kolskiego.

Krzesława Maliszewska (ur. w 1927 r. we Lwowie) ukończyła studia malarskie we wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (obecnie ASP). Pierwszą nagrodę otrzymała w 1955 r. na Wystawie Młodych w warszawskim Arsenale. Związana była z „Grupą X” (1956-65) i „Szkołą Wrocławską” (1960-78). Ma na koncie wystawy indywidualne i zbiorowe w kraju i za granicą. Jej prace znajdują się w zbiorach kilkunastu muzeów w Polsce oraz w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, Düsseldorfie i in. Maluje głównie kobiety, rozkwitające dopiero dziewczęta. K. Maliszewska ofiarowała ostatnio jeden ze swoich obrazów-portretów na aukcję na rzecz budowy Pomnika Ofiar Katynia we Wrocławiu – sprzedano go za najwyższą wycenioną cenę (1400 zł) spośród wszystkich, ponad stu, wystawionych prac.

Serdecznie gratulujemy prof. Wiszniewskiemu i pani Krzesławie!

Czy powrócą lwy...

... na Cmentarz Orląt we Lwowie? – zapytała A. Przewoźnika, Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dziennikarka Radia Lwów, Irena Masalska, podczas rozmowy na antenie. A. Przewoźnik odpowiedział: – Cmentarze są miejscem szczególnym, miejscem refleksji... Trzeba się zadumać nad przeszłością... Polacy i Ukraińcy mogli kiedyś wspólnie mieszkać, współpracować, przyjaźnić się. Sądzę, że to dzisiaj też jest możliwe. Działania, które podejmujemy w ostatnim czasie są próbą usunięcia stereotypów powstałych między Polakami i Ukraińcami w okresie powojennym. Jeżeli to nam się uda, to myślę, że nie będzie takich dylematów, czy lwy wrócą, czy nie, czy można będzie odbudować cmentarz, czy nie będzie można. Sądzę, że wszyscy powinniśmy zmierzać w kierunku obojętności w cywilizowanym świecie reguł postępowania. Czy ta mądra wypowiedź przekona zacietrzewionych przeciwników odbudowy Cmentarza Orląt we Lwowie?

Bohaterem tysiąclecia?

Czytelnicy ukraińskiej gazety „Ukraina Mołoda” za najwybitniejszego Ukraińca minionego tysiąclecia uznali Bohdana Chmielnickiego, drugi był poeta Taras Szewczenko, a trzeci kardiolog Mykoła Amosow. W kategorii „działacz państwowy” także wygrał Chmielnicki, drugi był Michał Hruszewski – prezydent Ukraińskiej Republiki Ludowej (1918-1920), a na wysokim siódmym miejscu – twórca i przywódca OUN Stefan Bandera.

– Kult Bandery, który w normalnym kraju byłby nie do pomyślenia, na Ukrainie przybiera formy oficjalne, chociażby w nazewnictwie ulic i placów. (...) W jednej z kawiarni we Lwowie wiszą, na urągawisko, wielkie portrety przywódców OUN-UPA – informuje dwutygodnik „Myśl Polska”. – Można zgodzić się z tym, że historia Ukrainy jest uboga i szukający tożsamości Ukraińcy potrzebują historycznych postaci, potrzebnych jako żywe przykłady patriotyzmu. Nie można jednak godzić się z tym, by do panteonu tych bohaterów zaliczać ewidentnych zbrodniarzy i teoretyków obłądnych ideologii. (...) To grzech zaniechania. Bandera, tak jak w przeszłości, stoi na przeszkodzie pełnego unormowania polsko-ukraińskich stosunków. – skomentowała w komentarzu pt. „Prosto z mostu” „Myśl Polska”.

Nic dodać, nic ująć...

Wizy jak najpóźniej

Mamy dobrą wiadomość dla rodaków na Wschodzie, odwiedzających od czasu do czasu ojczyznę, a zwłaszcza dla obywateli Ukrainy, którzy częściej jeżdżą do naszego kraju – w celach handlowych, w ramach wymiany kulturalnej, naukowej, czy po prostu jako turyści. – Polska zamierza jak najpóźniej wprowadzić dla obywateli Ukrainy wizy, których wymaga Unia Europejska – poinformował Wiceminister Spraw Wewnętrznych i Administracji Piotr Stańczyk. Jego zdaniem Polska wprowadzi obowiązek wizowy w życie dopiero w momencie przyjęcia naszego kraju do UE. Zgodnie z unijnym Traktatem z Schengen będziemy musieli to uczynić w stosunku do krajów nie będących członkami Unii Europejskiej.

Kompania Fredrowska

Dziwięciu wrocławskich zawodowych aktorów zawiązało trupę aktorską, którą nazwali Kompania Fredrowska. Chcą przygotowywać spektakle bez administracyjnych czap. Na początek wybrali „Zemstę”, a za swojego scenicznego dobrego ducha – hrabiego Aleksandra Fredrę. Na kompanijną „Zemstę” graną we wrocławskim Klubie „Firlej” (bez naruszania tekstu) zaprosili krewnego swojego patrona, a zarazem wnikliwego recenzenta, zwłaszcza sztuk fredrowskich, Wojciecha hrabiego Dzieduszyckiego. Ponoć Tunio zachwycił się spektaklem i zgodził się zostać honorowym członkiem Kompanii Fredrowskiej. Świadkiem uhonorowania Go tym tytułem był sam hrabia Fredro.

Ostatnio Wojciech hrabia Dzieduszycki jest nieuchwytny we Wrocławiu. Jak dowiedzieliśmy się, przebywa w Warszawie, gdzie... gra rolę dziadka Ordynata Michorowskiego w najnowszej ekranizacji „Trędowatej”. Rola w sam raz dla Tunia...

Najstarszy kresowiak?

Lucjan Kotwicki z Księgienic Wielkich koło Łagiewnik w woj. dolnośląskim skończył 103 lata. Jest może najstarszym Kresowiakiem na Dolnym Śląsku, a może i w Polsce. Urodził się w 1896 roku w Rudni Bobrowskiej na Wołyniu. Tam skończył szkołę powszechną i zaczął pracować w gospodarstwie i w lesie jako drwal. Podczas kampanii wrześniowej był kierowcą w II Dywizjonie Samochodowym w Lublinie. – Kiedy przejeżdżaliśmy przez Lwów, widziałem tę prawdziwą Panoramę Raclawicką. – wspomina pan Lucjan.

Udało mu się powrócić cało do Rudni, ale jako uczestnik-żołnierz kampanii wrześniowej, Polak, żył w ciągłym strachu – przed wywózką na Sybir, banderowcami. Udawał nawet jakiś czas Ukraińca. Aż wreszcie trafił do obozu Polaków, których wysiedlono do ojczyzny, na ziemie zachodnie. Trafił do Sokolnik pod Kątami Wrocławskimi, potem do Księgienic, gdzie wcześniej jego szwagier otrzymał ziemię. Oddał mu pół swojej. L. Kotwicki znowu był rolnikiem, ale przez 12 lat także sołtysem Księgienic, przez 6 radnym gminy. Za wzorowe pełnienie obowiązków sołtysa nawet został odznaczony.

Kresowianin Lucjan Kotwicki ma czworo dzieci, sześciu wnuków i pięciu prawnuków. Cieszy się wciąż niezłym zdrowiem. – Bo nie pił, nie palił. To tajemnica mojej długowieczności – twierdzi pan Lucjan.

A może dlatego, że jest kresowiakiem?

Pierwsze obłuczyny

W Bazylice Katedralnej, w dniu uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, Arcybiskup Ma-

rian Jaworski poświęcił strój duchowny – sutanny dla dziecięciu alumnów trzeciego kursu, którzy studiują w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym we Lwowie-Brzuchowicach. Są to pierwsze obłuczyny w Seminarium, które rozpoczęło oficjalną działalność 12 grudnia 1996 r.

Hej, hej, sokoły...

... czyli Biesiada Kultury Kresowej z udziałem laureatów festiwali kresowych w Mrągowie odbyła się 13 lutego w Opolu. Patronat nad tą imprezą objął marszałek województwa opolskiego. Kapela „Wesoły Lwów”, która obchodzi X-lecie działalności (składamy gratulacje i serdeczne życzenia dalszych sukcesów artystycznych na ręce Zbyszka Jarmiłki), Zespół Pieśni i Tańca „Lwowiacy”, świetny zespół folklorystyczny „Żarna” z Sambora, zespół „Przylesiani” oraz popularna Kapela „Baniaki”. Biesiadę prowadził z humorem i dowcipnie popularny wrocławski satyryk, estradowiec itp. Tadeusz Drozda w towarzystwie „Kargula” i „Pawlaka”, znanych nam z filmu S. Chęcińskiego „Sami Swoi”.

Szkoda, że państwo tego nie widzieliście i nie słyszeliście! Gratulacje dla wykonawców i podziękowanie dla sponsorów tej imprezy.

Lwowska promocja

Polska szkoła nr 10 we Lwowie gościła grupę warszawiaków – z dyr. Muzeum Niepodległości dr. Andrzejem Stawarzem – zakochanych w mieście „Semper Fidelis”. Tu odbyła się promocja XIV tomu wydawnictwa „Niepodległość i Pamięć”, który poświęcony jest Kresom Południowo-Wschodnim oraz kolekcji LEOPOLIS znajdującej się w zbiorach warszawskiego Muzeum Niepodległości. Niezwykle ciekawa pozycja i każdy lwowianin i kresowianin chciałby mieć ją u siebie w domu. Organizatorami spotkania promocji byli: Muzeum Niepodległości, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Włoskiej oraz dziennikarz Tadeusz Samborski.

Podczas promocji solistka Teatru Wielkiego, Jadwiga Skoczylas, wykonała pieśni kompozytorów polskich, a aktorka Danuta Nagórska recytowała polską poezję.

Słowacki stanie w stolicy

Przed wojną miał stanąć we Lwowie pomnik drugiego polskiego wieszczki narodowego – Juliusza Słowackiego z Krzemieńca. Projekt przygotował w 1937 r. warszawski rzeźbiarz Edward Wittig, autor m. in. pomnika Lotnika w stolicy. Niestety wybuch II wojny światowej uniemożliwił budowę pomnika we Lwowie. Gipsowy model przeleżał się przez lata w warszawskich Łazienkach – w Pomarańczarni. Przypomniano sobie o nim i warszawskie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami zdecydowało o odlaniu pomnika według projektu Wittiga. Powstaje już w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych, które wyspecjalizowało się w odlaniu monumentów.

Prawdopodobnie pomnik odlany z brązu we wrześniu stanie na placu Bankowym, w miejscu gdzie stał cementowy Feliks Dzierżyński, zburzony po upadku PRL. Warszawa dotąd nie miała pomnika wieszczki z Kresów Południowo-Wschodnich. Wieszcz Adam będzie miał konkurenta...

Wędrujące wystawy

Dwie nasze wystawy: „Cmentarz Orłat: Budowa – Dewastacja – Odbudowa” wraz z jego dokładną makietą autor-

stwa inż. Puchalskiego oraz „Szlakami bohaterów Trylogii Henryka Sienkiewicza” cieszą się niesłabnącym powodzeniem w środowiskach kresowych w całej Polsce. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”, która zawiąduje wystawami, nie jest w stanie spełnić od razu wszystkich próśb o jej wypożyczenie i uformowała się już kolejka oddziałów i klubów TMLiKPW czekających na nie.

Pierwsza – po inauguracji we Wrocławiu na obchodach 80-lecia Obrony Lwowa – wraz z makietą pojechała do skupisk kresowian na zachodniej rubieżu Polski – do Zgorzelca, Żar, Gorzowa Wlk. Obejrzało ją tysiące osób, nie tylko b. mieszkańców Kresów licznie tu osiadłych po wojnie, ale też młodzież szkolna przyjeżdżała nawet z sąsiednich miejscowości. Stamtąd trafiła na Śląsk Opolski – do Brzegu i Koźla, gdzie wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród młodzieży, co nas szczególnie ucieszyło. Obecnie „Cmentarz Orłat” i towarzysząca mu makietą znajdują się w Krakowie, o co szczególnie zabiegał prezes Oddz. Krakowskiego TMLiKPW Andrzej Chlipalski. Jej ekspozycja jest lwowskim akcentem w królewskim grodzie, który w 2000 roku stał się Kulturalną Stolicą Europy. Podzielamy jego dumę z tego powodu. Spod Wawelu wystawa pojedzie do Rzeszowa, który od dawna o nią zabiega i oczekuje.

Druga ekspozycja, na którą składają się dziesiątki zdjęć Jana Boczeki, ukazujące kulisy filmowania poszczególnych części trylogii oraz piękne fotogramy historycznych obiektów i miejsc na b. Kresach I Rzeczypospolitej, gdzie pisarz umieścił bohaterów swoich powieści – była prezentowana na „Zamku” w Poznaniu, w muzeum we Wrocławiu oraz Oleśnicy. Jej otwarciu w tym starym piastowskim mieście towarzyszyło spotkanie z prof. Tadeuszem Żabskim, auto-

rem książki pt. „Sienkiewicz” z serii „A to Polska właśnie” oraz prof. dr. hab. Władysławem Dynakiem z Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy oglądającym tę wystawę poszerzyli wiedzę o Trylogii, jej autorze, historycznych wydarzeniach tego burzliwego okresu dziejów szlacheckiej RP. Słowa uznania dla prezesa oleśnickiego klubu TMLiKPW – zresztą zawsze aktywnego – Leszka Mulki, za pozyskanie tak znakomitych prelegentów, co uświetniło inaugurację wystawy i zwiększyło zainteresowanie nią.

60 lat temu w lutym...

... na Kresach była ostra zima. Nad ranem do wielu polskich domów – wojskowych, policjantów, urzędników, działaczy we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu i wielu innych miastach kresowych weszło NKWD i bojcy. Zabierali całe rodziny, z małymi dziećmi i starcami, ładowali na ciężarówki lub podwozy i wieźli na dworzec. Tu upychano ich do czekających już wagonów towarowych, bydłowych i plombowanych drzwi od zewnątrz. W kilkunastostopniowym mrozie, w ciemnościach nocy ruszyły pierwsze pociągi z Polakami na Sybir. Rozpoczęła się, zaplanowana wcześniej przez sowieckiego okupanta na wielką skalę, eksterminacja naszego narodu. Trwała, z przerwą podczas okupacji hitlerowskiej, do lat pięćdziesiątych. Za to, że w 1920 roku Polacy wywalczyli sobie wolność i niepodległość.

W 60. rocznicę pierwszych wywozek na Sybir, Ci którzy przeżyli gehennę na nieludzkiej ziemi i, różnymi drogami, wrócili do ojczyzny, spotkali się. Uczcili pamięć tysięcy bliskich i dalszych, którzy zostali tam już na zawsze. Nie zapomnimy ich.

Cześć ich pamięci. □

Józef Dobrowolski

„Z Trembowelskiego Raptularza – 1997” II cz.

Na ulicach szaro i smutno, brak reklam, kolorowych witryn sklepowych, małej gastronomii, a nawet zwykłej kwiaciarni, bo kwiaty nie są artykułem pierwszej potrzeby. Po dziurawej nawierzchni od czasu do czasu przetacza się zdezelowana ciężarówka, jeszcze rzadziej samochód osobowy i to z reguły sowieckiej marki. Wieczorami na dłuższy czas wyłączana jest energia elektryczna, a nawet kiedy ją włączą, egipskie ciemności tej kresowej stolicy II Rzeczypospolitej rozprasza tylko co czwarta latarnia. Ludzie ubrani bardziej niż skromnie, cisi i przygnębieni. Uśmiechu jak na lekarstwo... Bieda jaką można dostrzec na każdym niemal kroku, utwierdza w przekonaniu o trafności i znaczeniu podjętego przez pilski Caritas dzieła pomocy.

BOSO ALE W OSTROGACH

Po rozładowaniu darów i rozlokowaniu się na plebanii parafialnego kościoła pw. św. św. Piotra i Pawła w Trembowli, jej gospodarz 30-letni ksiądz proboszcz Michał Murygin, już na wstępie zapowiedział. – Ten kto przyjechał do Trembowli z ładunkiem darów, nie może jej opuścić bez odpowiedniego bagażu wrażeń, doświadczeń i wiedzy. I rzeczywiście, jako zawołany cicerone, z obietnicą wywiązał się wzorowo. Nastąpiły dni intensywnego zapoznawania się z okolicą, zwiedzania, odwiedzin u miejscowych rodzin i długie, długie Polaków rozmowy...

– Za dostarczoną nam pomoc wszystkim organizatorom i darczyńcom ogromnie, ogromnie jesteśmy wdzięczni i z całego ser-

ca dziękujemy! Nasi ludzie są ambitni i honorowi, kryją się ze swą biedą. Sami nigdy by o pomoc nie prosili. To takie polskie – boso ale w ostrogach! – śmieje się Maria Gruszczyńska, gospodyni na plebani i piękna polszczyzna, bo z lekkim podolskim zaśpiewem dodaje. – Ale to prawda, że Polak kojarzy się Ukraincom niekiedy z wyniosłością i szlachecką pańskością, ale zawsze z wysoką kulturą, zachodnią cywilizacją i rzymsko-katolickim kościołem. A więc wasze wsparcie ma dla naszych ludzi, także i wielkie znaczenie moralne, bo niezwykle ich nobilituje w oczach ukraińskiej większości.

– Za stara jestem ażeby kłamać – mówi 80-letnia Janina Tracz. – Tutaj ludziom żyje się bardzo biednie. Nietrudno zauważyć, że podstawę wyżywienia stanowi kopiasty talerz tasowanych ziemniaków z cebulką i ogórkiem. U córki w Tarnopolu, w 8-osobowej rodzinie, troje pracuje ale miesiącami nie otrzymują zapłaty. To jest nagminne. Bywa, że i po dwa dni nie mają co jeść... W pobliskiej Krowince, ośmiu dzieci znajomej wdowy, nawet późną jesienią chodzi do szkoły w sandałkach lub tenisówkach, dopóty dopóki nie ściśnie mróz... I chociaż są bardzo zdolne (jedna z dziewcząt gra na organach w łoszniowskim kościele, a w przyszłym roku dzięki księdzu Michałowi i organomistrzowi z katedry lwowskiej ma wyjechać do szkoły organistowskiej w Przemyślu), zima to dla większości z nich przymusowe wakacje. Nie mogę im pomóc, bo i z moją rentą (36 chrywni – 20 dolarów) zalegają już trzeci miesiąc i sama nie mam nawet na znaczek do Polski.

Nie lepiej żyje się także i księdzu Michałowi. W swym nieustannym zabieganiu i zaafierowaniu jada nieregularnie i skromnie. Plebania to istne prowizorium. Wymaga dokończenia remontu i doposażenia w niezbędny do życia podstawowy sprzęt, a pieniędzy brakuje nawet na węgiel. Rzadkie chwile poświęcone oglądaniu telewizji spędza w fotelu, ubrany w kozuch! Śmieje się: – Ja już do tego kozucha przyzwyczałem się, bo na poprzedniej parafii mieszkalem na strychu i w tym kozuchu musiałem nawet spać. Myślę, że kiedy nadejdą silniejsze mrozy, przysparze mi trochę zrodzin.

ŚLADAMI HISTORII

Zarówno ksiądz Michał jak i Maria Szwaluk-Borna, młoda trembowelska lekarka czy Jan Majski, koszykarskiego wzrostu dyrektor największego w mieście Zakładu Ozdób Choinkowych, to ludzie jakich tu wielu – sympatyczni, serdeczni i przychylający gościom „nieba”, a krocząc tropami historii miasta i okolicy, opowiadają ze znanostwem i swadą.

– Największym i najwyższej rangi, także i dosłownie, bo usytuowanym na górze, zwanej Zamkową (w istocie będącej cyplem wydłużonego wzgórza, które z trzech stron urywa się stromą ścianą, z czwartej zaś północnej, przytyka do wąskiej płaszczyny), zabytkiem Trembowli są ruiny zamku. Zamku wybudowanego w 1631 r. na kamiennych fundamentach pamiętających czasy Kazimierza Wielkiego, staraniem zapobiegliwego starosty trembowelskiego Aleksandra Bałabana. Po dzień dzisiejszy zewnętrzne mury wraz z basztami zbudowane z łamanego kamienia, w większej części zachowały się. Rozmiar zamku jest niewielki, największa długość 107 m, największa szerokość 38. Grubość murów obwodowych baszt dochodzi do 4 m. W roku 1675 trembowelski zamek poddany został generalnej próbie. Obsadzony chorągwią dragońską pułkownika Jana Samuela Chrzanowskiego, obległy potężne wojska turecko-tatarskie pod wodzą wezyra Ibrahimna Szyszmana. Gdy nie udało się najeźdźcy zdobyć twierdzy „z marszu”, rozpoczęło się regularne oblężenie, które po dwóch tygodniach heroicznych zmaganiach zakończyło się wiekopomnym zwycięstwem 200-osobowej garstki obrońców. W tej bohaterskiej obronie, która przeszła do historii, znaczącą rolę odegrała także żona komendanta Anna Dorota (wg. miejscowej tradycji – Zofia) Chrzanowska z domu de Frezen. Białogłowa ta w porę ostrzegła męża przed spiskowcami pragnącymi poddać twierdzę, a dzięki swoim płomiennym mowom, nie tylko podtrzymywała upadającą na duchu załogę, lecz prowadziła „wycieczki” do obozu wroga nocną porą, siejąc wśród Turków przestraszy i spustoszenie.

Za obronę Trembowli, w roku 1676 Jan Samuel otrzymał nobilitację, a Zofia... ostała się sława! Obok murów zachował się



Ruiny zamku Zofii Chrzanowskiej.
W bramie panorama Trembowli

cokol jej pomnika z wyrytą na tablicy inskrypcją „1675 – Zofii Chrzanowskiej, bohaterce, obywatelce miasta i powiatu – 1900”.

Wspaniałą wizytówką tego prastarego grodu na rzece Gniezną jest piękny renesansowy kościół OO. Karmelitów wraz z klasztorem i ogrodem. Zbudowany przez zakon w 1637 r. i otoczony murem obronnym. – Trzeba dodać, wyjaśnia ksiądz Michał, – że mury tej świątyni i klasztoru stanowiły bastion obronny trembowelskiego zamku, który tak dzielnie wytrzymał oblężenie z 1675 r. W latach trzydziestych przebywał tu często dowódca miejscowego 9 Pułku Ułanów płk Tadeusz Komorowski-Bór. Od paru lat świątynia użytkowana jest jako cerkiew i wbrew protestom „ozdobiona” została prawosławnymi baniami, co nie tylko sprzecznym jest z wszelkimi kanonami stylowo-architektonicznymi, ale i zwykłym poczuciem estetyki...

Na koniec nie sposób pominąć trembowelskiej nekropolii. Szczególnie okazale prezentuje się jej prawa, polska część. Jed-



Fragment nekropolii trembelowskiej

nak już po paru minutach, nietrudno zorientować się w daleko posuniętym stopniu zniszczenia i dewastacji tego zakątka przeszłości. Rozgarniając bluszcze i opadłe liście natrafiać jednak można w dalszym ciągu na liczne secesyjne nagrobki z kunsztownymi reliefami i epitafiami sięgającymi połowy ubiegłego wieku. Polskie ślady na tej ziemi spotkać można niemal na każdym kroku, chociaż czas dużo wymazał i wiele pozmienił...

PACIORKI ROZERWANEGO RÓŻAŃCA

Kontynuując tę spóźnioną (przecież nie z winy zainteresowanych) lekcję historii, niestrudzony ksiądz Michał, w trakcie prezentacji podległych mu kościołów filialnych, z wyraźnym smutkiem mówi. – Z przedwojennego dekanatu trembowelskiego, niczym z gwałtownie rozerwanego różańca, ostały się tylko trzy paciorki... parafie w Trembowli, Budzanowie i Łoszniowie.

Budzanów (przed wojną należący do dekanatu Czortków), to miejscowość niezwykle urody, w zakolu Seretu, malowniczo rozlokowana wśród wyniosłych wzgórz. Na najwyższym, w pierwszych dziesiątkach XVIII w. wybudowano potężny zamek. Jedną część budowli, w 1765 roku przerobiono na kościół. Obecnie stan dewastacji świątyni jest katastrofalny, a na domiar złego zimą zawałił się nad nią dach. Zwieźliśmy już jednak najbardziej niezbędne materiały budowlane i z nastaniem wiosny, w miarę naszych skromnych sił i jeszcze mniejszych środków, niezwłocznie przystąpimy do remontu. Niedzielne msze święte odprawiamy w kruchcie i uczestniczy w nich od kilkunastu do kilkadziesiąt osób.

Łosniów, na północ od Trembowli, miejscowość również prześlicznie położona u stóp stromego wzgórza na szczycie którego, kosztem mieszkańców, w roku 1873 wybudowano neogotycką świątynię. Dużą pomoc w budowie kościoła okazał hr.

Wiktor Baworowski. Do niedawna jeszcze w tej pięknej budowli sakralnej mieściły się magazyny chemikaliów i po dzień dzisiejszy szczypie tu w oczy. Rozpoczęliśmy zbijanie przeżartych truciną tynków. To właśnie w tym kościele ubiegłej zimy, w czasie nabożeństw wino mszalne zamarzło w kielichu... Obok kościoła zachowały się jeszcze resztki zdewastowanej dzwonnicy i organistówki. Nie ma już jednak śladu po wzniesionych tu krzyżach na pamiątkę Konstytucji 3 Maja i zwycięstwa Kościuszki. Ofiarność i determinacja tutejszych parafian nadal są ogromne, własnymi rękami doprowadzają tę zrujnowaną świątynię do stanu używalności. Cóż, kiedy jest ich tak mało...

Na zakończenie ten wspaniały kapłan-misjonarz, nieco już zmęczony, cicho wzdycha. – Parafia nasza to teren rozległy na około 35 kilometrów, niemała to więc „owczarnia”. A ja jestem tylko sam...

– Stopień zorganizowania się tutejszych Polaków jest jeszcze bardzo nieznaczny. Nie jednocy ich żadne stowarzyszenie. Skupia jedynie i integruje polski kościół i roli tej trudno nie doceniać – wtrąca obecny przy rozmowie adwokat z Trembowli Walery Strojwas. – W Polsce wszyscy interesują się Lwowem, znacznie mniej Tarnopolem, a do Trembowli jeszcze żaden z warszawskich „poloniologów” nie dotarł. Ludzie są nieśmiały i zastraszeni. Wiem, że w pobliskiej wsi Iwanówka istnieje potrzeba przejęcia byłego polskiego kościółka pw. św. Stanisława, biskupa i męczennika. Użytkowany jako sala gimnastyczna i magazyn od kilku lat stoi pusty i niszczeje. To dobrze, że zbiera się tam już grupa inicjatywna. Wystarczy 10-15 podpisów, a podejmę procedurę prawną dla jego odzyskania. W ten sposób odzyskalibyśmy czwarty różańcowy paciorek trembowelskiego dekanatu.

Przy pożegnaniu ksiądz Michał prosi o przekazanie jego podziękowań. – Wasz dobroczynny gest wzbudził wśród nas ogromne uznanie i szacunek, bo uczy, że bezinteresowne czynienie dobra jest najwłaściwszą drogą ku prawdziwej wolności. Ze



Fronton zdewastowanego kościółka św. Stanisława w Iwanówce k/Trembowli

staropolską i podolską gościnnością, drzwi do naszych trembowelskich domów stoją przed Państwem otwarte... jak przed prawdziwymi przyjaciółmi. Zapraszamy! □

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Stanisław Adamski (1916-1999)

Kiedy dotarła do nas wiadomość, że we Lwowie zmarł Stanisław Adamski, zamieściliśmy z żoną we wrocławskim „Słowie Polskim” nekrolog:

„Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 9 listopada 1999 r. zmarł we Lwowie w wieku 83 lat
STANISŁAW ADAMSKI
urodzony we Włodzimierzu Wołyńskim
ppor. 40 pp „Dzieci Lwowskich”, obrońca Warszawy w 1939 r.
odznaczony Krzyżem Walecznych, oficer AK, uczestnik Akcji „Burza”,
więziony w latach 1945-1952 w Riazaniu,
udekorowany we Lwowie przez prezydenta RP Lecha Wałęsę
Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
żarliwy patriota i człowiek wielkiej dobroci”

(Nekrolog ten, pisany w okolicznościach braku dokładnych informacji wymaga uzupełnień i poprawek; Stanisław Adamski urodził się 15 grudnia 1916 r. z ojca Henryka i matki Anny z Błońskich; więziony był w latach 1945-1949, a udeko-



rowany został porzez prezydenta Lecha Wałęsę Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.).

Jakiś czas przed zgonem, przymuszony przez bliskich, Stanisław Adamski opisał koleje swego trudnego życia. Uznałem i uzyskałem na to zgodę rodziny Zmarłego, że trzeba je przedstawić w podanym przez Niego kształcie, opisane bowiem zostało przez człowieka niezwykle

zwykłej prawości i jeśli w tym curriculum vitae są jakieś niedopowiedzenia, to dotyczą one dokonań Stanisława Adamskiego.

„Pochodzę – pisał – z rodziny pokoleniami tradycyjnie związanej z ruchami niepodległościowymi, stąd ulegając oddziaływaniu atmosfery domu, szkoły, gimnazjum, do którego uczęszczałem we Lwowie, ukształtowałem swoje zainteresowania tak, że zaraz po maturze jako ochotnik odbywałem służbę wojskową w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy Piechoty we Lwowie uzyskując stopień kaprala-podchorążego. Miałem zamiar kontynuować naukę w SPP na oficera zawodowego, czemu jednak przeszkodził wybuch wojny w 1939 r.

Kampanię 1939 r. odbyłem w obronie Woli i Ochoty – dzielnic Warszawy, pełniąc funkcję dowódcy drużyny w 4 kompanii 40 pp im. „Dzieci Lwowskich”. Jako dowódca czaty podoficerskiej „Zajeżdźnia”, za wypadek uwięziony zdobywcami jeńców (bez strat własnych) zostałem awansowany „na polu walki” do stopnia plutonowego-podchorążego i przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Walecznych (p. J. Grzybowski „40 pp im. „Dzieci Lwowskich” w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r.”). Po kapitulacji trafiłem do niewoli, z której przy pierwszej okazji uciekłem (z przejściowego obozu jeńców pod Górą Kalwarią). Pod koniec 1939 r. szczęśliwie udało mi się, po przekroczeniu granicy, dotrzeć do Lwowa.

Niemal natychmiast po powrocie do Lwowa w listopadzie 1939 r. zostałem wciągnięty do pracy konspiracyjnej w Związku Walki Zbrojnej (zaprzysiężony przez por. Adama Ralskiego, dowódcę 8 komp. ckm 40 pp, uczestnika walk w obronie Warszawy w 1939 r.). Pełniłem funkcję szefa komórki wywiadu wojskowego, operującej w Dzielnicy Lwów-Północ. Celem uniknięcia aresztowania zacząłem się ukrywać używając nazwisk: Kruczkowski, Jaworski i pseudonimów: „Karol”, „Korwin”, których używałem do czerwca 1941 r., tj. prawie cały rok.

Podczas okupacji niemieckiej nadal pracowałem w ZWZ (później AK), po rozmaitych reorganizacjach – jako szef Wydziału V-go łączności konspiracyjnej, potem II-go, organizacyjnego, Inspektoratu Lwów-Północ (w połowie 1943 r. z m.p. [miejsce postoju] w Kamionce Strumiłowej), dowódcą którego był inspektor-por. 19 pp Artur Feja; używałem wówczas nazwisk: Kruczkowski, Kruk Jan i ps. „Korwin”, „Siewarz”, „Radogosta”.

W styczniu-lutym 1944 r. – „Burza”. Przeniesiony [zostałem] do 14 p. Ułanów Jazłowieckich celem zapoznania się z oddziałami przewidzianymi do obsadzenia w Akcji „Burza” odcinka Lwów-Lyczaków Dolny – Dzielnicy Lwów Wschód, którymi dowodziłem w czasie „Burzy” z m.p. – budynek VI Gimnazjum.

Odwołany w ostatnim dniu „Burzy” otrzymuję rozkaz ponownego przejścia do ścisłej konspiracji z indywidualnym zadaniem zabezpieczenia archiwów poszczególnych Wydziałów Sztabu (po aresztowaniach Komendy Sztabu AK) oraz magazynów broni z terenu Dzielnicy. Zadanie to udało mi się w pełni wykonać do chwili mego aresztowania w pierwszych dniach kwietnia 1945 r. przez sowiecką służbę kontrwywiadu „Smiersz”. W więzieniu (przy ul. Kadeckiej) przebywałem do 31 grudnia 1945 r., skąd zostałem wywieziony do obozu dla internowanych żołnierzy AK w Riazaniu-Diagilewie.

W okresie okupacji byłem trzykrotnie awansowany: w 1942 r. – do stopnia podporucznika, w listopadzie 1943 r. – do stopnia porucznika, a ostatni awans do stopnia kapitana otrzymałem osobiście z rąk gen. Filipkowskiego, w obecności płk. Czerwińskiego i kpt. Borkowetza w kwietniu 1947 r., przed likwidacją obozu w Riazaniu. Od lipca 1947 r. do kwietnia 1948 r. przebywałem czasowo w rozmaitych łagrach wołogodzkiej oblasti: w Wołogdzie, Czerepowcu i Griazowcu (nr 150) skąd 15 kwietnia 1948 r. zostałem skierowany wraz z grupą 17-tu kolegów do Lwowa, ostatniego przed aresztowaniem miejsca zamieszkania.

Po powrocie do Lwowa grupa nasza rozpoczęła starania o umożliwienie wyjazdu do Kraju.* Duże moje zaangażowanie w tej sprawie, wyjazdu w imieniu całej grupy do Moskwy, Kijowa, starania u władz wojewódzkich, miejskich, nawiązanie kontaktu z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem, PCK w Kraju oraz rodzinami pozostałych jeszcze

w łagrach i na zesłaniu kolegów były powodem ponownego aresztowania [mnie] przez „Smiersz” wojsk ochrony pogranicza w pierwszych dniach października 1948 r. Osadzony [zostałem] w odosobnionej celi więzienia w Mościskach, gdzie z oskarżenia o uprawianie kontrabandy prowadzono [przeciwko mnie] śledztwo. W kwietniu 1949 r. zostałem uniewinniony i zwolniony z więzienia z zakazem zamieszkania we Lwowie i bliżej niż 25 km od granicy, równocześnie wymuszając zobowiązanie, że nie będę się nadal starał o obywatelstwo polskie i umożliwienie wyjazdu do Kraju. Przy wyjściu z więzienia otrzymałem tzw. „Wid na żitielstwo dla lic biez opredielonnowo grahdanstwa”, tj. dowód tożsamości wydawany osobom nie posiadającym ściśle określonego obywatelstwa, który to dokument zmuszał do cotygodniowego, z czasem co miesiąc, meldowania się w urzędach NKWD. Ten uciążliwy nadzór uniemożliwiał podjęcie jakiegokolwiek działalności społecznej. Dopiero zawarcie związku małżeńskiego zmieniło moją sytuację, bo pozwoliło na zameldowanie się we Lwowie, możliwość poruszania się w terenie, podjęcie legalnej pracy zarobkowej.

Ustabilizowanie się mojej sytuacji osobistej pozwoliło na utrzymywanie kontaktów z krewnymi, przyjaciółmi i kolegami przebywającymi nadal w łagrach i [na] zesłaniu, którym pomagaliśmy przez regularne dostarczanie i wysyłanie paczek żywnościowych do więzień i obozów. Pomoc tę świadczyliśmy wraz z żoną, również żołnierzom AK-WSP, do 1957 r. W miarę zmniejszania się zainteresowania władz moją osobą częściej udzielaliśmy się w pracy społecznej: na terenie dwu polskich szkół [we Lwowie] przez prowadzenie biblioteki i wśród Polonii na wschód od Zbrucza – przez rozprowadzanie literatury polskiej. Zaangażowałem się tam w urządzanie odzyskanych kościołów, wykorzystując ujawnione w obozach moje zdolności manualne (rzeźba, snycerka, metaloplastyka) oraz wiadomości teoretyczne z zakresu historii sztuki i konserwacji zabytków. Dopiero zaawansowana od 5-ciu lat choroba [stawów] uniemożliwiała [mi] dalszą tam pracę, przekazałem jednak swoje zainteresowania synom, którzy je z powodzeniem kontynuują powiększając liczbę kościołów i kaplic wyposażonych w ołtarze, konfesyjonały, ambony, stacje Drogi Krzyżowej, ławki i klęczniki naszego projektu i wykonawstwa.

Dom nasz gromadził podobnych do nas, którzy znaleźli sobie cel życia i bodźce do pozostania na naszych terenach. Urządzaliśmy spotkania towarzyskie, zebrania, na których wygłaszano referaty na tematy historyczne (przeważnie), zwłaszcza dla młodych ludzi, którym szkoła tych wiadomości udzielić nie mogła. W domu naszym urządzaliśmy obchody rocznic narodowych (100-lecie powstania styczniowego), przedstawienia, jasełka, rozdawanie prezentów przez św. Mikołaja. Nie ograniczaliśmy się do szczerzego, jak wymagały tego względy bezpieczeństwa, grona najbliższych znajomych; pomagaliśmy szkole polskiej w urządzaniu przedstawień kostiumowych wystawianych siłami uczniów, bajek, utworów scenicznych, wieczorów literackich itp.

Przez dziesięciolecie w domu naszym inicjowano różne działania, których celem była nie tylko walka o biologiczne przetrwanie, ale przede wszystkim pobudzanie świadomości narodowej i jej utrwalanie, szczególnie wśród młodzieży i średniego pokolenia.

* Wyraz pisany przez Stanisława Adamskiego zawsze dużą literą.

Stanisław Adamski
Do druku przygotował Tadeusz Kukiz

Śp. ks. biskup Antoni Adamiuk (1913-2000)



Biskup Antoni Adamiuk urodził się 18 grudnia 1913 r. w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do Polski zamieszkał w Maksymówce w powiecie Zbaraż. Średnie wykształcenie zdobył w gimnazjum w Tarnopolu w 1933 r. Wybrał studia filozoficzno-teologiczne na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza, które ukończył zdobyciem magisterium z teologii i przyjęciem święceń kapłańskich 18 czerwca 1939 r. w katedrze lwowskiej z rąk arcybiskupa Bolesława Twardowskiego. Okres wojny przeżył w parafii Busk, gdzie z podziwu godną cierpliwością i odwagą posługiwał wiernym, także grekokatolikom. Wtedy też tragedię Sybiru przeżyła rodzina. Na początku czerwca 1944 r. musiał opuścić umiłowane strony. Przez kilka miesięcy duszpasterzował w parafii Strzelce Wielkie w powiecie Brzesko. Latem 1945 r. ks. Adamiuk przybył na Śląsk Opolski i w lipcu tego roku osiedlił się w Głubczycach, gdzie został katechetą w gimnazjum i liceum oraz obsługiwał parafie w Szonowie i Klislinie, w których osiedlili się ludzie z okolic Buska. W 1946 r. został dziekanem dekanatu głubczyckiego, mimo to pozostał nadal katechetą, ucząc każdego tygodnia 40 godzin religii, a także innych przedmiotów. Z chwilą przyjazdu do Opola biskupa Franciszka Jopa, ks. Antoni został wizytatorem nauki religii, w rok później konsultorem diecezjalnym oraz – po śmierci ks. rektora Jana Tomaszewskiego – profesorem pedagogiki i katechetyki w Wyższym Seminarium Duchownym. W 1961 r. został kanclerzem Kurii. Organizował też kursy katechetyczne dla świeckich i sióstr zakonnych. Opracował „Mały Katechizm”, „Historię Biblijną” oraz „Katechizm” dla dorosłych. Wiele pokoleń naszych diecezjan na tych podręcznikach uczyło się w minionych latach podstaw wiary świętej.

Ksiądz prałat Józef Ferensowicz (1915-1999)



Ksiądz Józef Ferensowicz urodził się 5 marca 1915 r. w miejscowości Zazule koło Złoczowa w woj. tarnopolskim. Jego rodzice, Karol i Franciszka ze Stojanowskich, byli rolnikami.

Był najstarszym dzieckiem w rodzinie. Miał brata Jana (przeszedł wywózkę na Sybir, później służył w Armii generała Andersa, walczył pod Monte

Cassino, obecnie mieszka w Calgary w Kanadzie), siostry: Antoninę (mieszka w Pyrzanach k. Witnicy na Ziemi Lubuskiej) i Janinę (zamieszkuje w Toruniu). Z domu rodzinnego wyniósł wysokie wartości etyczno-moralne, szacunek dla ludzi i pracy, sprawiedliwość, odpowiedzialność, umiłowanie rodzinnej ziemi i bez-

dnia 7 czerwca 1970 r. ogłoszono nominację ks. Antoniego Adamiuka na biskupa pomocniczego diecezji opolskiej. Konsekracja biskupa miała miejsce w katedrze opolskiej w niedzielę 5 lipca 1970 r. Głównym konsekratorem był biskup F. Jop. Odtąd rozpoczęła się posługa biskupa związana przede wszystkim z wizytacjami parafii, udzielaniem sakramentu bierzmowania, sprawowaniem różnorodnych uroczystości. Chętnie podejmował się różnorodnych posług w myśl swojego zawołania biskupiego „Fiat voluntas Tua – niech się staje wola Boża”. Cenił sobie żywy kontakt z wiernymi. Umiał rozmawiać także z ludźmi niechętnymi Kościołowi i religii. Zaszczepiał w kazaniach miłość do tradycji historycznej i katolickiej, przestrzegał przed wyniszczaniem narodu przez systemy totalitarne. Znał go szczególnie wszyscy zatroskani o przywrócenie wewnętrznej suwerenności narodu, którym nie szczędził zachęty, otuchy i pouczeń. Wszystko to przysporzyło Mu wiele szacunku i wzmacniało Jego autorytet jako biskupa i reprezentanta Kościoła. Był członkiem Komisji Katechetycznej, do Spraw Trzeźwości oraz Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Mimo przejścia w 1989 r. w stan spoczynku, nadal – o ile siły mu pozwalały – aktywnie uczestniczył w życiu diecezji. W czerwcu ubiegłego roku obchodził jubileusz 60-lecia kapłaństwa. Utrudzony chorobą, zakończył ziemską wędrówkę 25 stycznia 2000 roku w 86 roku życia.

Zgodnie z wolą śp. Biskupa Antoniego, wyrażoną w testamentie, ciało jego zostało pochowane na cmentarzu OO. Franciszkanów na Górze Św. Anny.

Był nieustraszoną działaczką solidarności i krzewicielem prawdy o naszych kresach i mordach w Katyniu, Ostaszkowie i Miednoje.

Opiekował się naszym Towarzystwem biorąc corocznie udział w Oplątku Kresowiaków, gdzie zwracał się do nas ze słowami o miłości i pamięci do naszego Lwowa, który ukończył i o którym pamiętał do końca swoich dni.

Żegnało go ponad 20 pocztów sztandarowych, episkopat, władze lokalne i samorządowe oraz liczne rzesze obywateli opolszczyzny. Żegnało go też liczne grono członków naszego Towarzystwa, zgromadzone pod sztandarem Zarządu Głównego TMLiKPW.

Cześć Jego pamięci.

graniczne poświęcenie dla najbliższych i innych ludzi.

Szkółę powszechną ukończył w Kozakach; gimnazjum z maturą w Złoczowie. Początkowo mieszkał w bursie, później na zajęcia uczęszczał pieszo, by nie obciążać skromnego budżetu domowego.

Po maturze w 1934 r. wstąpił do seminarium duchownego i rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Studiował teologię i psychologię młodzieży. Studia ukończył w 1939 roku.

Święcenia kapłańskie przyjął 18 czerwca 1939 roku z rąk Ordynariusza Archidiecezji Lwowskiej, arcybiskupa Bolesława Twardowskiego. Mszę prymicyjną odprawił w Kozakach. Pierwszą placówką, gdzie rozpoczął posługę duszpasterską jako wikariusz, była Kolegiata pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Stanisławowie.

Trudny okres okupacji sowieckiej i niemieckiej spędził w Stanisławowie. Był świadkiem prześladowań Polaków przez okupantów oraz zbrodni nacjonalistów ukraińskich popełnianych na narodzie polskim.

W 1946 r. został zmuszony do opuszczenia Stanisławowa. Jako ekspatriant przybył na Ziemię Zachodnie.

Rok wcześniej rodzina Księdza z Kozaków dotarła do miejscowości Pyrzany koło Witnicy w powiecie gorzowskim. Pracę duszpasterską ks. Józef Ferensowicz rozpoczął w Witnicy.

W 1947 r. został powołany przez władze kościelne do zorganizowania Niższego Seminarium Duchownego w Słupsku. Pełnił tam funkcję prefekta (do 1952 r.), a następnie dyrektora (do 1959 r.).

Następny etap posługi kapłańskiej w latach 1959-1969 to Kuria Biskupia w Gorzowie Wlkp. Został dyrektorem Wydziału Nauki Katolickiej i diecezjalnym wizytatorem religii. Ponadto pełnił również funkcję duszpasterza nauczycieli oraz diecezjalnego wizytatora żeńskich zgromadzeń zakonnych.

W 1969 roku został proboszczem parafii w mieście kolejarzy w Zbąszynku. Posługę tę pełnił przez 18 lat – do 1987 roku.

Ze względu na stan zdrowia przeszedł na emeryturę. Jako Ksiądz Senior zamieszkał w Gorzowie Wlkp. na plebanii parafii Matki Bożej Królowej Polski (ul. Żeromskiego). Tutaj obchodził trzy ważne jubileusze: 50-, 55- i 60-lecie kapłaństwa.

W okresie wieloletniej posługi kapłańskiej był zaszczycony godnościami:

- członka Rady Kapłańskiej (dwukrotnie),
- członka Rady Wzajemnej Pomocy Kapłańskiej,
- kanonika honorowego (1953),
- szambelana papieskiego (1962 r.),
- prałata honorowego (1975 r.).

Do końca swoich dni był aktywnym kapłanem, uczestniczył w koncelebrze wielu Mszy świętych i innych posługach kapłańskich.

Wykazywał duże zainteresowanie działalnością Gorzowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów

Południowo-Wschodnich. Często w swoich wspomnieniach wracał do stron rodzinnych na Kresach Wschodnich, do swojego ukochanego Lwowa i posługi kapłańskiej w Stanisławowie (1939-1946).

Po śmierci seminaryjnego Kolegi – ks. infułata dr. Władysława Sygnatowicza – w 1994 r. wyraził wolę przejścia opieki duchowej w gorzowskim środowisku Kresowian.

Uczestniczył chętnie w ważnych uroczystościach o charakterze patriotycznym, narodowym i w imprezach kulturalnych organizowanych przez Gorzowski Oddział TMLiKPW. W maju 1999 r. z okazji 10-lecia Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW ks. prałat Józef Ferensowicz został wyróżniony Dyplomem Honorowym. Był kapłanem wyjątkowo pogodnym, szlachetnym, skromnym i dobrego serca.

Służył zawsze mądrą radą. Takiego Go zapamiętamy.

Zmarł 10 grudnia 1999 r.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się 12 grudnia Mszą św. Żałobną w kościele pw. Matki Bożej Królowej Polski w Gorzowie Wlkp., odprowadzoną przez ks. Biskupa Edwarda Dajczaka, który wygłosił homilię poświęconą pamięci zmarłego Kapłana.

Druga część uroczystości żałobnych odbyła się w Zbąszynku. Liturgii żałobnej przewodniczył biskup diecezjalny Adam Dyczkowski. Słowo pożegnalne wygłosił biskup pomocniczy z Koszalina, Paweł Cieślak (uczeń seminaryjny Zmarłego).

W imieniu władz samorządowych, administracyjnych i mieszkańców Zbąszynka ks. Józefa Ferensowicza – Honorowego Obywatela miasta – pożegnał przewodniczący Rady Miasta, Jan Mazurek.

Ciało zmarłego zostało pochowane zgodnie z Jego wolą przy kościele parafialnym w Zbąszynku, gdzie był duszpasterzem.

Piotr Franków

Śp. Michał Koziarski (22.6.1924-4.1.1999)



4 stycznia br. minęła pierwsza rocznica śmierci Michała Koziarskiego pierwszego prezesa gnieźnieńskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, wielkiego orędownika pomocy rodakom w Parafii Strzelczyńska diecezji Lwowskiej oraz w samym Lwowie.

Urodził się 22 czerwca 1924 roku w miejscowości Prusy woj. Lwowskie. Przed wojną kończy szkołę podstawową. W czasie wojny pracuje jako robotnik rolny. 16 lipca 1944 r. zostaje powołany do czynnej służby wojskowej do jednostki szkolnej w Chełmie Lubelskim, a następnie jako podoficer w przyfrontowych pułkach zapasowych na Pomorzu. Zdemobilizowany w 1947 r. W latach 1947-1950 pracuje jako inspektor w Urzędzie Celnym Zarządu Portu Gdańsk – uzyskuje w tym czasie średnie wykształcenie.

W 1951 roku zostaje powołany do czynnej służby wojskowej, do Szkoły Chorążych OSA nr 2 w Olsztynie, którą

kończy. W latach 1952-1953 jest dowódcą plutonu ogniowego 33 Brygady Artylerii Ciężkiej w Choszczynie. W latach 1957-1963 jest dowódcą dywizjonu 91 przeciwpancernego i awansuje do stopnia majora.

Od 1964 roku jako dowódca szefa sztabu 9 PSA przeciwpanc. im. Obrońców KłECKA awansuje do stopnia podpułkownika. W październiku 1974 roku zwolniony z zawodowej służby ze względu na stan zdrowia. Od 1976 roku pracuje jako inspektor Obrony Cywilnej Zakładu Wodno-Kanalizacyjnego w Gnieźnie. Z początkiem 1994 roku jest współinicjatorem-założycielem gnieźnieńskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Do końca życia pozostaje wzorem sumienności i rzetelności, ciepłego i życzliwego stosunku do drugiego człowieka. Potrafił skupić wokół siebie ludzi chętnych do niesienia pomocy rodakom na wschodzie, nie tylko tych mających tam korzenie ale również i rodowitych gnieźnian. Oddał swoje ciało ziemi gnieźnieńskiej, ziemi praojców naszych ale dusza uleciała do kochanego Lwowa i Strzelczysk.

Na miejsce wieczystego spoczynku odprowadzało go pięciu kanoników z proboszczem Parafii Strzelczyńska na Ukrainie. Na trumnę spadła grudka ziemi z Cmentarza Orląt Lwowskich.

Pozostanie na stałe w naszej pamięci.

Janusz Sekulski

Śp. Adam Lewicki (8.03.1924-8.02.2000 r.)



inż. Adam Lewicki - SYN LWOWA -

GORLIWY POLAK I PATRIOTA, SYBIRAK, WIĘZIEŃ RIAZANIA, CZŁONEK LWOWSKIEJ AK, CZŁONEK ZARZĄDU GŁÓWNEGO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA WE WROCŁAWIU I PREZES ZARZĄDU TML-ODDZIAŁ W TARNOWIE, NIESTRUDZONY ORGANIZATOR POMOCY HUMANITARNEJ NA RZECZ POLAKÓW ZAMIESZKUJĄCYCH ZIEMIĘ LWOWSKĄ, INICJATOR ODBUDOWY CMEN TARZA OBRONCÓW LWOWA, ORĘDOWNIK OCALENIA PRAWDY HISTORYCZNEJ I TRADYCJI KRESÓW RZECZYPOSPOLITEJ.

Zmarł dnia 8 lutego 2000 r. w Tarnowie.
Pozostawiając wyłom w szeregach TML.

Pogrzeb odbędzie się na cmentarzu komunalnym w Tarnowie-Mościcach w dniu 12 lutego 2000 r. o godz. 13⁰⁰.

część Jego pamięci

Członkowie Tarnowskiego Oddziału TML i KPW



Adam Lewicki ur. się 8.03.1924 we Lwowie w rodzinie inteligentnej. Po ukończeniu szkoły powszechnej został uczniem VIII gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego. W lutym 1942 r. Adam został zaprzysiężony i stał się członkiem Narodowej Organizacji Wojskowej. Jego działalność w konspiracji związana była z funkcją łącznika w dzielnicy Łyczaków. Brał udział w oddziałach leśnych AK we wsi Stanisławówka w gm. Mosty Wielkie. Następnie został skierowany do oddziału leśnego 40 pułku AK w rejon lasów stryjskich Inspektoratu AK-Stryj. W lipcu 1944 r. w stopniu kaprala-podchorążego skierowany został do Lwowa, gdzie brał udział w akcji „Burza” w dzielnicy Śródmieście. Działalność tę prowadził do 18.03.1945 r., kiedy został aresztowany przez kontrрозwiędkę „Smiersz” w wyniku zdrady konfidenta. Do końca roku 1945 więziony był w więzieniu przy ul. Kadeckiej 20 skąd został wywieziony do obozów NKWD w Jagilewie i Borowiczach. W lutym 1949 r. ostatnim obozowym transportem został przywieziony do obozu w Brześciu. Po powrocie ukończył Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej. Pracę zawodową rozpoczął w 1953 r. w Tarnowie. Z tym miastem związał swoje całe życie zawodowe i rodzinne. Od 1992 r. pełnił funkcję prezesa oddziału TMLiKPW w Tarnowie; był członkiem Zarządu Głównego Towarzystwa. W latach 1998-99 pełnił funkcję przewodniczącego Od. Związku Sybiraków i był prezesem Środowiska Żołnierzy AK – Obszaru Lwów w Krakowie. Członek Komisji Odbudowy Cmentarza Orląt przy Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Odznaczony Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem

II Obrony Lwowa, Krzyżem Partyzanckim, Srebrnym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Cześć Jego Pamięci.

Pożegnaliśmy ADAMA w sobotę, 12 lutego. Miał piękny pogrzeb. Poprzedziła go b. uroczysta Msza św. JEMU poświęcona w kościele NMP Królowej Polski w Tarnowie-Mościcach, w której uczestniczyły delegacje Zarządów Głównych TMLiKPW z prezesem A. Kaminskim i wiceprezes D. Krupską, Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z prezesem E. Legowiczem, Tow. Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie z prez. E. Cydzikiem, prezisi oddziałów TMLiKPW z Lublina, Krakowa, Nowego Sącza i in., dyrektor Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” D. Tabińska-Juhasz oraz kombatancki – towarzysze walki w szeregach AK. Przed wystawioną trumną z NIM ustawiły się liczne poczty sztandarowe.

Mszę celebrował, w asyście wielu księży, ks. Biskup Jan Styryna, który w słowach pełnego uznania i szacunku przypomniał drogę życiową ADAMA – gorącego patriotę, lwowiaka zakochanego w swoim rodzinnym mieście, dobrego chrześcijanina. Ze wzruszeniem także mówił dużo o ZMARŁYM – swoim przyjacielu, kresowiaku nieustraszonego, uczynnym, spiesząc z pomocą rodakom pozostałym na Kresach – ks. Andrzej Rams, proboszcz parafii w Strzelczykach k/Mościsk w obwodzie lwowskim.

Gdy z kaplicy cmentarnej, wśród tłumy tarnowian, ADAM wyruszył w ostatnią drogę, na niebie zaświeciło słońce. Nad otwartym grobem pożegnali GO ks. biskup J. Styryna, proboszczowie ks. Rams i ks. Grzanka, sekretarz Z. Guzy w imieniu władz miasta Tarnowa, „strażnik grobów Orląt Lwowskich” E. Cydzik, tarnowscy lwowiacy i kombatancki. Jerzy Masior, prezes oddziału TMLiKPW w Nowym Sączu odczytał nad trumną wiersz o ADAMIE, którym pożegnała GO, JEJO druga, wielka rodzina lwowsko-kresowa skupiona w TMLiKPW.

Prezes Zarządu Głównego Towarzystwa A. Kaminski oraz lwowianie tarnowscy i stamtąd wrzucili do JEJO grobu grudy ziemi, którą tak ukochał i za którą tak tęsknił. Pochyliły się sztandary ZG TMLiKPW i organizacji kresowych, kombatanckich, tarnowskiej szkoły nr 9 im. Orląt Lwowskich. Kampania saperów WP z Dębicy oddała trzykrotną salwę honorową. ADAM spoczął u boku swojego syna Andrzeja, który tragicznie zginął w Tatrach w wieku 24 lat. Grób pokryły niezliczone ilości wieńców oraz wiązanki kwiatów. Tak pożegnał GO Tarnów – miasto, które wybrał spośród innych i zastąpiło MU niedaleki stąd Lwów.

Jerzy Masior

ZAPAMIĘTAJCIE TO WSZYSCY

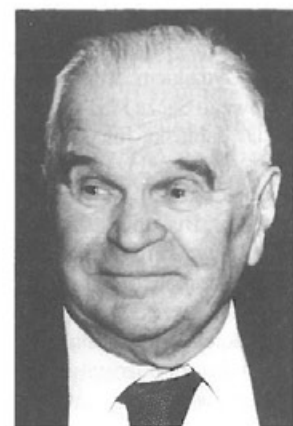
Adamowi Lewickiemu, którego nikt nie zastąpi

*Przywołałeś nas nie na pożegnanie,
Nie umiałeś być nieobecny
Byłeś i jesteś wciąż nowym odczytaniem
Pisma zdarzeń i nadziei
Byłeś ukrzyżowaniem wątpliwości
Jesteś siłą bezsilnych
Byłeś radą bezradnych
Archaniołem Campo Santo
Jest tam miejsce dla Ciebie
To nic że wiek się zaczyna
I ulice dziesięcioleci za nami
Żywość archaniołów walecznych
Jest nieustanny
Wypełnisz bliźnę katakumb
Skrzydłami i mieczem
A my tylko wykujemy imię
By stało się mową kamieni
Uczyłeś nas powrotów
Ale czy nauczyłeś wiary*

Nowy Sącz-Tarnów 8-10.II.2000

PRO MEMORIA

pamięci profesora Jerzego Łanowskiego



24 stycznia 2000 roku zmarł profesor Jerzy Łanowski filolog klasyczny, badacz klasycznej literatury greckiej i łacińskiej, znawca kultury hellenistycznej, tłumacz arcydzieł literatury antycznej, wychowawca wielu pokoleń filologów klasycznych, doktor honoris causa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, wieloletni dyrektor Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Zmarły był

jednym z najstarszych członków Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej Polskiej Akademii Nauk i przewodniczącym Komitetu przez dwie kadencje w latach osiemdziesiątych. O tej niepowetowanej stracie dla nauki polskiej zawiadamiają...

Tyle nekrolog. O Tobie Jerzy, Lwowiaku z dziada pradziada. Czy to naprawdę wszystko? Nie, po stokroć nie. Z uśmiechem w oczach, sercem na dłoni, pełen dobroci, życzliwości dla wszystkich i tych bliskich, i tych dalekich, byłeś najgodniejszym reprezentantem swego podobnie do Ciebie roześmianego Grodu. Podobnie jak wielu innych złe wiatry historii wygnały Cię z Twego Miasta w nieznane. Znalazłeś swój nowy dom w obcym, nieznanym mieście. I pokochałeś je. Oddałeś mu swoją wiedzę, swoją pracę, wychowałeś wielu polskich filologów klasycznych. Stałeś się chlubą swego miasta, chlubą Uczelni, której poświęciłeś swoje życie do ostatniego dnia. A jednak... gdy wspominaliśmy Lwów, rodzinne Miasto Twoje i moje, mała srebrzy-

sta kropelka staczała Ci się po policzku na klapę marynarki... i spieszenie wychodziłeś po kawę. Nie wstyd nam tych łez Jerzy, to łzy miłości i pamięci do jakże odległego, ukochanego Miasta, którego mimo upływu lat nie można zapomnieć.

Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą – została po nich buty i telefon głuchy – napisał ks. Jan Twardowski. To prawda. Już nigdy nr 325-21-09 nie odpowie nawet na najbardziej uporczywy sygnał.

Jerzy! Ktoś czeka na rozmowę z Tobą, ktoś chce usłyszeć Twój niski, ciepły głos. Na próżno. Ten numer na zawsze pozostanie głuchy. Jak mi trudno oswoić się ze złą, pełną żalu myślą, że już nigdy nie będziemy zaśmiewać się z limeryków, których sam byłeś autorem lub przekazywałeś zapamiętane. Nigdy nie położysz przede mną swojej nowej książki z Biblioteki Antycznej opatrzonej dedykacją zawsze pełną serdeczności. Nasze kawy to już tylko historia, podobnie jak towarzyskie spotkania w czasie których pisałeś na serwetkach, czasem przynosiłeś gotowe, okazjonalne, cudownie krotkochwilne wiersze i wierszyki. Wnosiłeś nimi wiele śmiechu i radości. Tyle było w Tobie ciepła, spokoju, dobroci, radości życia, tyle planów pracy na jutro, które nigdy nie nadejdzie, bo tak nagle zniknąłeś za Bramą Wielkiej Cizy. Mors certa, hora incerta. Nam, od których odszedłeś jest pusto i smutno, chwilami ocieramy łzy, których nikt się nie wstydzi. Jerzy kochałeś poezję ks. Jana Twardowskiego, weź ją ze sobą na tę najdłuższą z dróg, w którą przyszło Ci wyruszyć

Boże, po stokroć święty, mocny i uśmiechnięty
Iżes stworzył papugę, zaskronca, zebrał przegwaną
Kazałeś żyć wiewiórce i hipopotamom
Teologów łaskoczesz chrabąszcza wąsami
Dzisiaj, gdy mi tak smutno i duszno i ciemno
Uśmiechnij się nade mną.

I do Jerzego uśmiechnij się też razem ze wszystkimi
Bogami Starożytności.

Non omnis moriar

Wrocław 24-31.01.2000

Wspomnienie o Księdzu prof. dr. med. Henryku Mosingu



Urodził się we Lwowie 27.01.1910 r. w rodzinie lekarzy od czterech pokoleń – począwszy od połowy XVIII wieku. Ojciec, Stanisław, był lekarzem wojskowym, matka Olga córką prof. matematyki Politechniki Lwowskiej Placyda Dziwińskiego.

W 1928 r. otrzymał świadectwo dojrzałości w gimnazjum Przemyskim imienia prof. Kazimierza Morawskiego łącznie z listem pochwalnym. W tymże roku wstąpił na wydział lekarski Uniwersytetu im. Króla Jana Kazi-

mierza we Lwowie. Jeszcze jako student, jednocześnie z zajęciami na uniwersytecie rozpoczął od 1930 r. pracę w Katedrze Biologii Ogólnej pod kierunkiem prof. Rudolfa Weigla, światowej sławy uczonego, twórcy szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Początkowo pracuje ochotniczo jako pracownik nadetatowy, a następnie jako asystent, starszy asystent, kierownik laborato-

rium szczepionek, a od 1939 r. zastępca Profesora do spraw nauki. Jego praca w Zakładzie, oprócz zajęć związanych z pełnieniem asystenckich obowiązków i przygotowaniem szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu dotyczyła zagadnień, które kolejno i w odpowiednim czasie były przedmiotem oddzielnych opracowań.

Już w 1933 r. ogłasza pracę dotyczącą organizacji i techniki produkcji szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu.

(Arch. Instytutu Pasteura w Tunisie t. XXII-1933)

W roku 1934 uzyskuje dyplom lekarza, a w 1937 r. po obronie dysertacji: „Badania epidemiologiczne i serologiczne nad dudem plamistym” Dyplom Doktora Medycyny i podpisy na nim: Stanislaus Kulczyński h. t. Rektor magnificus, Marianus Franke h. t. Decanus, Rudolphus Weigl-Promotor. Wyniki badań „dyplomowych” zostały opublikowane w „Medycynie Doświadczalnej i Społecznej” tom XXII-1937 i przedstawione w Międzynarodowym Biurze Higieny w Paryżu.

W latach 1935-1939 H. Mosing pełni także funkcję kierownika centralnego laboratorium epidemiologicznego Państwowego Instytutu Higieny w Warszawie. W celu zwiększenia efektów badań organizuje zgodnie z zaleceniem PIH ruchome laborato-

rium epidemiologiczne, które ściśle współpracuje z praktycznymi ekspedycyjnymi badaniami w różnych miejscach wybuchu epidemii tyfusu plamistego. Wyniki niemal dziesięcioletnich prac zostały opublikowane w obszernej monografii „Tyfus plamisty” – Zdrowie – 1938, a także w Biuletynie Biura Higieny Ligi Narodów t. XXX-1938, 1715-1779. Oprócz epidemiologii tyfusu plamistego H. Mosing zajmuje się epidemiologią chorób grupy „Febris Quintana” (pięciodniowej gorączki). Jedno z zachorowań tej grupy opisuje w pracy „Richettsiaemia Weigli”, która na propozycję prof. Charlesa Nicolle’a zostaje opublikowana w Jego Żurnalu Archives de l’Institut Pasteur de Tunis t. XXV-1936.

Jako asystent Profesora pomaga Mu w rozpoznaniu biologii mikrobów zachorowań grupy tyfusu plamistego t. j. – mongolskiego tyfusu – tsutsugamushi, plamistej gorączki gór skalistych, i innych.

W związku z organizowaną przez Profesora produkcją szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, H. Mosing prowadzi badania nad immunologią przy tyfusie plamistym wyniki których zostały przedstawione na III Międzynarodowym zjeździe medycyny tropikalnej w Amsterdamie – 1938.

Za zasługi w służbie państwowej, Prezydent Rzeczypospolitej zarządzeniem z dnia 23.09.1938 nadał Dr. Henrykowi Mosingowi Złoty Krzyż Zasługi, podpis – Prezes Rady Ministrów – Sławoj Składkowski.

Skuteczność działania lwowskiej szczepionki zadecydowała o światowym rozgłosie Instytutu a gmach uniwersytetu przy ul. Mikołaja pamiętający czasy Króla Jana Kazimierza stał się Mekką dla znanych w świecie Rickettsiologów.

Jedną z ciekawszych i najbardziej żywiołowych reakcji na skuteczność szczepionki wyraził lekarz, farmaceuta, Ojciec Pere Rutten – szef belgijskiej misji katolickiej w Chinach, gdzie tyfus dziesiątkował europejskich misjonarzy – mierzył jej efektywność w tysiącach lat zaoszczędzonej pracy misyjnej. Tuż przed wybuchem wojny powstał Instytut w Chinach na wzór lwowskiego Instytutu, również w Abisynii (Addis Abeba).

Pamiętny wrzesień 1939 r. Wojska sowieckie zajmują Lwów 22.09.39. Pracownicy Instytutu szczęśliwie omijają fale chaosu, represji, przymusowych wysiedleń w głąb ZSRR. Okupant we własnym interesie sprzyja rozwojowi Instytutu. W latach 1940-1941 powstaje Lwowski Sanitarno-Bakteriologiczny Instytut organizowany przez S. N. Tieriechowa.

Prof. Rudolf Weigl zajmuje nadal stanowisko kierownika naukowego Instytutu a dr Henryk Mosing Jego zastępcy do spraw nauki. W lutym 1940 r. Instytut odwiedza Nikita Chruszczow. Rezultatem tej wizyty była dotacja przeznaczona na rozwój Instytutu, przejęcie pomieszczeń gimnazjum im. Królowej Jadwigi przy ul. Potockiego i rozpoczęcie seryjnej produkcji szczepionki. Pamiętny dzień 22 czerwiec 1941, pogodna niedziela.

Dotychczasowi niemieccy „sprzymierzeńcy” napadają na ZSRR. NKWD żegna Lwów, miasta i miasteczka na szlaku odwrotu wojsk radzieckich zwałami zmasakrowanych, rozkładających się ciał więźniów w pomieszczeniach więziennych lub zamordowanych i wkopanych w podwórza więzienne.

Już 4 lipca nad ranem, kolejny okupant witał miasto salwami „Sonderkommando” do Lwowskich Profesorów wyższych uczelni na Wzgórzach Wuleckich.

W tym tragicznym okresie niemieckiej okupacji, dzięki odwadze Profesora Rudolfa Weigla i Doktora Henryka Mosinga, całego zespołu naukowego Instytutu, szczepionka przeciw tyfusowi plamistemu wytwarzana w „niemieckim” Instytucie trafiała nie tylko do okupanta, ale i do Oddziałów Polskiego Podziemia, miejscowego obozu pracy przy ul. Janowskiej, Oświęcimia oraz

wielu innych miejsc ludzkiej niedoli. Dr Mosing działał nieustraszenie, szczepił młodzież, duchownych, osoby zagrożone więzieniem – pod pozorem pobrania szczególnie zjadliwych szczepów bakterii tyfusu plamistego od chorych Żydów getta warszawskiego dostarczał butle z gotową szczepionką prof. L. Hirszfelowi, którego Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN nieprzypadkowo mieści się przy ul. prof. Rudolfa Weigla we Wrocławiu.

Praca w Instytucie dawała w miarę bezpieczne schronienie i możliwości utrzymania się przy życiu tysiącom przedstawicieli młodszej i starszej generacji polskiej inteligencji zagrożonej wywozem do pracy przymusowej w Rzeszy.

Niezależnie od prowadzonych w Instytucie prac, przewalających się przez Kraj armii obydwo okupantów, kolejnych okupacji – dr Mosing nie ustawał w zajmowaniu się chorymi i starymi ludźmi udzielając im niezbędnej pomocy, opiekował się bezdomnymi dziećmi, pomagał w zdobywaniu wykształcenia i w obraniu drogi życia.

Po przymusowym opuszczeniu Instytutu w końcu marca 1944 r., prof. R. Weigl przekazał zagrożone „dziedzictwo” pozostałemu we Lwowie dr. H. Mosingowi (pismem z 25.03.44 r.).

Miłośnicy dla Mosinga i Instytutu los sprawił, że w 4 miesiące później – 26 lipca 1944 r. – śladami nacierających sowieckich wojsk „zjawia się” w Instytucie na czele grupy towarzyszących mu osób ten sam S. N. Tieriechow, były dyrektor Sanitarno-Bakteriologicznego Instytutu z lat 1939-1941. Dr Henryk Mosing pozostaje dyrektorem i kierownikiem naukowym Lwowskiego Instytutu Epidemiologii i Mikrobiologii.

Zdarzenie to wywołuje wiele emocji u tzw. kompetentnych organów władzy, jednak Tieriechow odważnie ręczy głową za swego współpracownika z lat 1939-1941.

S. N. Tieriechow zdawał sobie sprawę, że ankieta personalna dr. Mosinga jako curiozum na skalę sowieckiego Sojuszu mogłaby zapewnić Doktorowi pracę tylko w Gułagu na Kółmie. Gdyby nie kolejny miłośnicy los z lat 1953-1956-1961 ryzykant S. N. Tieriechow zapewne straciłby głowę.

H. Mosing, znany w świecie nauki rickettsiolog* – z badań nad problemami tyfusu plamistego i okopowej (wołyńskiej) gorączki – w 1948 r. Decyzją Rady Lwowskiego Medycznego Instytutu przyznano mu stopień kandydata med. nauk, w 1956 r. naukowy stopień doktora nauk medycznych.

Pod naukowym kierownictwem dr. H. Mosinga wykonano w Instytucie prace z zakresu epidemiologii, diagnostyki, leczenia i profilaktyki tyfusu plamistego. Kształci i przygotowuje 8 „właśnych” kandydatów med. nauk.

Przez ok. 20 lat (od 1952 r.) prowadzi batalię w obronie odkrytych prawd naukowych dotyczących tyfusu powrotnego (możliwość wystąpienia tej choroby po wielu latach bez udziału wszy), które zyskują powszechne uznanie naukowców i lekarzy specjalistów od tyfusu plamistego w Republikach Radzieckich.

Publikuje 56 prac naukowych – ważniejsze z nich:

– Epidemiologia tyfusu plamistego (rezultaty 20-letnich badań) ŻMEI, 1952, Nr 2, str. 44

– Okopowa (pięciodniowa) gorączka – Wielotomowy przewodnik mikrobiologii, kliniki i epidemiologii chorób zakaźnych. M., 1966, t.8, 701-719.

Jego największym osiągnięciem było wprowadzenie do praktyki lekarskiej „Testu Mosinga” do prostego i szybkiego rozpoznawania, a następnie zwalczania tyfusu plamistego na terytorium Ukrainy i byłego ZSRR.

Pozwoliło to po raz pierwszy obniżyć ilość zachorowań na obszarze Euroazjatyckiego Kontynentu do granic likwidacji tej od wieków wyniszczającej ludzkość choroby.

Posiadał niewielu wrogów lecz licznych przyjaciół wśród naukowców radzieckich, którzy podziwiali prastary Lwów oraz precyzję i zasięg wykonywanych prac badawczych w Lwowskim Instytucie Epidemiologii i Mikrobiologii.

W 1960 r. dr Mosing zostaje potajemnie wyświęcony na księdza przez Kardynała Stefana Wyszyńskiego (Łaski-Kampinos).

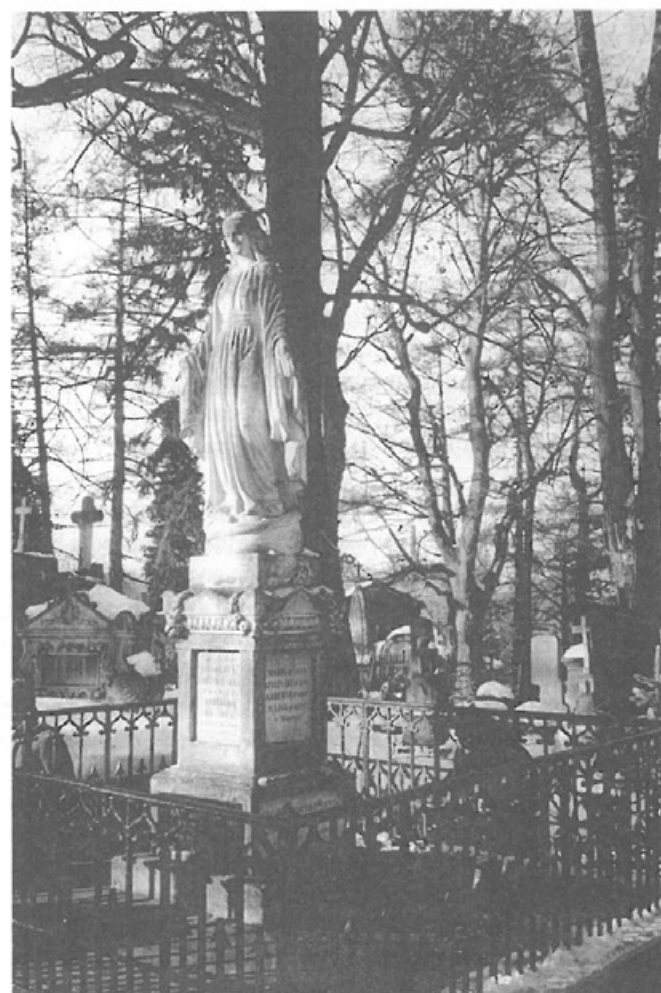
Zgodnie z zawołaniem wyrytym na grobowcu rodzinnym „usque ad finem” – aż do końca opiekował się chorymi, biedakami, młodzieżą, a szczególnie udzielał duchowej i materialnej pomocy udręczonym zesłańcom powracającym z różnych zakątków ZSRR.

Po ponad pięcioletnich ciężkich cierpieniach zmarł w dniu 27 listopada 1999 r. i został pochowany w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Koncelebrowaną żałobną Mszę Św. odprawił i ceremonię pogrzebową poprowadził Ks. Arcybiskup Marian Jaworski Metropolita Lwowski.

Zmarłego żegnał w imieniu rodziny, wdzięcznych uczniów i pracowników, przyjaciół z Polski Prof. dr Tadeusz Kaźmierczak.

Odszedł od nas człowiek ogromnej wiedzy, odwagi, miłości – znany jako Ojciec Paweł. Brnąc przez życie doświadczał na sobie wielkość słów Imiennika – Św. Pawła: „Gdybym wiedział wszystkie tajemnice, posiadał wszelką wiedzę a miłości bym nie miał, niczym jestem.”

* Od nazwiska Amerykanina Rickettsa, a także Czecha Provazeka, którzy oddali życie zaraziwszy się tyfusem plamistym podczas naukowych badań. Podwójną nazwę Rickettsia-Provazeka określającą rodzaj i gatunek zarazka tyfusu pl. nadał jej brazylijski badacz Rocha-Lima w 1915 r.



Rodzinny grobowiec Mosingów.
Cmentarz Łyczakowski we Lwowie

Watykan, 29 listopada 1999 r.
Sekretariat Stanu
Seksja Pierwsza, Sprawy Ogólne
Ekscelencjo,

Czcigodny Księżę Arcybiskupie,
Niniejszym przekazuję Księdzu Arcybiskupowi telegram
Ojca Świętego następującej treści:

Jego Ekscelencja
Ks. Arcybiskup Marian JAWORSKI
Metropolita Lwowski Obrządku Łacińskiego
Lwów

„Sprawiedliwi żyją na wieki; zapłata ich w Panu
i staranie o nich u Najwyższego” (Mdr 5,15).

Pozostaję w duchowej jedności z Księdzem Arcybiskupem oraz wszystkimi, którzy gromadzą się wokół trumny śp. Księdza Profesora Henryka Mosinga. Wspólnie powierzamy miłosiernemu Bogu duszę Człowieka sprawiedliwego, gorliwego Pasterza i wytrwałego Misjonarza, oddanego bez reszty Chrystusowi i ludziom.

Dane mi było poznać go jeszcze w latach sześćdziesiątych, kiedy jako wybitny uczony, kierownik Instytutu Epidemiologii we Lwowie, przyjechał na krótko do Polski. Dzielił się swym głębokim pragnieniem służenia ludziom nie tylko jako lekarz, ale również jako kapłan. W tamtych trudnych czasach, korzystając z możliwości służbowych wyjazdów w różne strony ówczesnego Związku Radzieckiego, chciał podjąć trud niesienia Ewangelii i duchowej opieki tym, do których inni kapłani nie mogli dotrzeć. Po osiągnięciu opi-

nii, wiedząc jak wiele dobra uczynił ludziom w latach wojny i w okresie powojennym, wraz z Kardynałem Prymasem przychylił się do jego prośby o dyspensę od studiów teologicznych i o udzielenie święceń kapłańskich. Wiem, że naszego zaufania nie zawiodł. Z wielką gorliwością, jako lekarz i kapłan, pełnił swoją pasterską misję od wschodniej Ukrainy, aż po Kaukaz i Syberię. Ostatni etap jego życia był przez chorobę w sposób szczególny związany z krzyżem Chrystusa, który podjął z wiarą i miłością. Proszę Boga, dobrego Ojca, aby obficie wynagrodził trud jego kapłańskiego życia w swojej chwale.

Na ręce Księdza Arcybiskupa składam wyrazy współczucia Rodzinie Zmarłego, Duchowieństwu oraz Uczestnikom liturgii pogrzebowej i z serca wszystkim błogosławię: W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Watykan, 29 listopada 1999 r.
Jan Paweł II, Papież

Korzystając z okazji przesyłam Księdzu Arcybiskupowi wyrazy szczerzego szacunku.

Z wyrazami szacunku
Arcybiskup Giovanni B. Re
Substytut
Jego Ekscelencja
Ks. Arcybiskup Marian JAWORSKI
Metropolita Lwowski Obrządku Łacińskiego
pl. Katedralny 1
290008 Lviv
Ukraina

Śp. Bronisław Radomski (1922-2000)



Urodził się 19.08.1922 r. w Samborze. Syn Jana i Agnieszki. Pochodził ze środowiska urzędniczego. Naukę w szkole rozpoczął w 6-tym roku życia. Najpierw szkoła powszechna, a następnie gimnazjum humanistyczne, które ukończył w 1939 r. uzyskując świadectwo maturalne. Było to w miejscowości Turka nad Stryjem gdzie pracował Jego Ojciec. Po wybuchu wojny rozpoczął studia w Instytucie Medycznym we Lwowie (który został utworzony po wkroczeniu Sowietów na tereny Małopolski Wschodniej). Po wkroczeniu do Lwowa wojsk niemieckich i utworzeniu administracji niemieckiej kontynuował studia, które ukończył w 1944 r. uzyskując dyplom lekarza. Rozpoczął pracę w Poliklinice w Samborze, gdzie pracował do dnia 6.I.45 r. Tego też dnia został aresztowany przez NKWD za przynależność do Armii Krajowej, do której wstąpił tuż po wybuchu wojny. Po śledztwie trwającym 9 miesięcy został skazany przez sąd i władzę radziecką na karę 10 lat pozbawienia

wolności. Przez pierwsze pięć lat odbywał karę jako więzień różnych obozów pracy (Ural, Kazachstan), a następnie został wywieziony na daleką północ do miejscowości Magadan na Kółmie, gdzie przebywał aż do zwolnienia. W czasie bezterminowego zesłania pracował jako lekarz głównie w ambulatorium chirurgicznym i jako lekarz karetki pogotowia. Powrócił do Polski 6-ego grudnia 1955 roku z dużą grupą repatriacyjną. Zamieszkał w Jaworze (gdzie byli już Jego Rodzice) i od 1956 roku podjął pracę w tamtejszej Służbie Zdrowia przechodząc wszystkie szczeble kariery zawodowej, kończąc na stanowiskach Kierownika Przychodni i Dyrektora Sanepidu. W lutym 1956 r. zawarł związek małżeński z Elżbietą Michalec, z którego urodziło się czworo dzieci – dwóch synów i dwie córki. W Jaworze mieszkał do końca 1967 roku, a następnie przeniósł się z Rodziną do Częstochowy gdzie podjął pracę specjalisty dermatologa w miejscowych przychodniach. Pracował zawodowo do 1991 roku, a następnie przeszedł na emeryturę. Nie zaprzestał jednak działalności społecznej. Z Jego inicjatywy powstał w 1973 roku oddział terenowy Związku Kynologicznego w Polsce, którego był Prezesem przez 15 lat. Przez wiele lat pełnił również funkcję v-ce prezesa Związku Sybiraków w Częstochowie. Od 1991 został prezesem częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i funkcję tę pełnił aż do śmierci. Zmarł 15 stycznia 2000 roku.

Jadwiga Sibiga

Adamowi –
Najlepsze z Przyjaciół

Ostatnie spotkanie

Nie ma Ciebie a byłeś wszędzie
dnem i nocą o świecie,
w słońcu i niepogodzie
byłeś zawsze i wszędzie.

Byłeś jak światło księżyca,
które zadziwia i niepokoi,
nieuchwytnie nocą –
rankiem przywraca nadzieję.

Byłeś życiem i całym światem
dla tych, którzy Cię kochali,
dla innych byłeś bratem
darem serca, pamiętaniem.

Byłeś posłaniem i spełnieniem
tam, gdzie droga była niełatwa,
byłeś – teraz Cię nie ma,
jak nić przzerwana, ulotna.

Pójdziemy śladem Twoich myśli
na zawsze zostaną wspomnienia,
ostatniej jesieni – Ostatniego Spotkania,
Będziesz wśród nas, chociaż Cię nie ma...

Jarosław-Tarnów 12 lutego 2000 r.



Adam Lewicki, Jadwiga Sibiga,
Kazimierz Rozmiłowski

WŚRÓD KSIĄŻEK

Tadeusz Kukiz, „Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w archidiecezji wrocławskiej i diecezji legnickiej”, Warszawa 1999, s. 336. Cena 13 zł.

W książce, wydanej przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, autor kontynuuje opis dzieł obrazów sakralnych, głównie Maryjnych, przywiezionych po drugiej wojnie światowej z archidiecezji lwowskiej oraz diecezji przemyskiej i łuckiej do Polski w nowych granicach (w dwóch poprzednich publikacjach, noszących ten sam tytuł, omówił obrazy znajdujące się w diecezjach gliwickiej i opolskiej).

Losy obrazów przedstawione zostały na tle historii miejscowości, z których pochodzą, zwłaszcza tych mało znanych. Szczególnie wiele uwagi autor poświęcił ludziom, którzy brali udział w ratowaniu wyposażenia

Świątyń na Kresach i przewożeniu go na Zachód. Podkreślił znaczenie, jakie przywiezione obrazy miały w „oswajaniu” nowych miejsc zamieszkania i ich rolę w integracji ludności pochodzącej z Kresów z napływającą z innych regionów Polski i z autochtoniczną.

Książka jest bardzo bogato ilustrowana, zaopatrzona w mapki, tabelaryczne zestawienia obrazów oraz w skrowidze osób i miejscowości.

Publikację można nabyć we Wrocławskiej Księgarni Archidiecezjalnej (50-329 Wrocław, Pl. Katedralny 1), również za zaliczeniem pocztowym.

Do nabycia są jeszcze „Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezji opolskiej” (cena 8 zł) oraz „Wołyńskie Madonny” (cena 20 zł) tegoż autora.

APELE

Apel

Stryjanie w Warszawie, chcąc przyczynić się do zachowania dla potomnych pamięci o „pięknie utraconej ziemi”, wystąpili z inicjatywą wydania monografii pt. „Stryj dawniej i dziś – dzieje i zabytki”.

Zebrano już sporo materiałów dotyczących historii tego Wolnego Królewskiego Miasta, od jego założenia aż do wybuchu II wojny światowej. Natomiast brakuje bibliografii z lat okupacji, aż do ekspatriacji ze Stryja.

Interesujące są dla nas zarówno relacje publikowane z tego okresu, jak i te „drzemające” gdzieś w zaciszu domowych, rodzinnych archiwów, a i też w pamięci. Interesują nas zarówno relacje dotyczące samego Stryja, jak i losów Stryjan rozrzuconych w wyniku wojny po świecie.

Cenne będą również wszelkie fotografie, rysunki, plakaty, pisma itp. dotyczące nie tylko lat wojennych, ale i dawnej historii Stryja.

Po wykorzystaniu nadesłanych materiałów, solennie przyrzekamy zwrócić właścicielom, jeśli takie będzie ich życzenie.

Alina Młyńska-Wójcik
Klub Stryjan
Warszawa, ul. Kinowa 4 m. 25
tel. 810-45-57

Apel

Poszukujemy wszelkich danych (rodziny, dokumentów, wspomnień, fotografii itp.) dotyczących ks. kanonika Stanisław DOBRZAŃSKIEGO, ur. 1905 r., wyśw. w Łucku 1930 r., zamordowanego przez UPA w Ostrówkach, dek. lubomelski na Wołyniu, z grupą ponad 1050 wiernych. Był wikarym we Włodzimierzu Wołyńskim, proboszczem w Sienkiewiczówce – tam wybudował kościół i w latach 1941-1942 był misjonarzem na PODOŁU.

Pochodził prawdopodobnie z Podola. Może żyją Jego krewni, rodzina? Wdzięczni będziemy za każdy ślad z życia tego Wielkiego Kapłana Męczennika. Ewentualne informacje, listy, prosimy kierować na adres: Towarzystwo Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej, 20-006 Lublin, skr. poczt. 365, ul. Kołłątaja 5/1b.

Prezes Towarzystwa
mgr Leon Popek

Poszukiwani

Poszukuję Piotra Zapolskiego, który mieszkał w Zimnej Wodzie (woj. lwowskie) i pracował jako aktor-muzyk w Filharmonii Lwowskiej w latach 40-tych. Wyjechał na występy do ZSRR i po wybuchu wojny stracił kontakt. Ja mieszkam w Gródku Jagiellońskim.

Informację proszę kierować na adres:
Stanisława Kowalczyk 85-868 Bydgoszcz, ul. Siedleckiego 2 m. 8.

Contents

Jerzy Masior – And what shall we do next...?	1
Andrzej Chlipalski – Federation of Polish Organizations in Ukraine on the verge of new millenium	4
Danuta Nespiak – Christmas help from Wrocław to Poles beyond the eastern border	5
List of Christmas donors for Countrymen in Lwów and Stanisławów	6
Franciszka Grodecka – Recollections of our exile in Kazakhstan (cont.)	6
Tadeusz Heimrath – 58 days in Lwów in recollections of 1939	8
Danuta Nespiak – Before the town of Lwów was born	12
Jerzy Masior – Just a while (a poem)	13
Zofia Różańska – September 1939 in Podolia	13
Alfred Janicki – My Mother's tales	14

BORDERLAND CHURCHES

Tadeusz Kukiz – Our Lady of Łuck again in the Volhynian cathedral	16
Zofia Konrad-Gluzińska	17
Mariusz Patelski – "The first general among industrialists" – economic activity of gen. T. Rozwadowski	19
Tadeusz Błażyński, Jerzy Stoszek – The IInd Republic District Tribunal at Czortków	20
Polish infant school at Sacré Coeur Sisters Convent in Lwów in the years of German occupation (1943-1944)	22

LETTERS TO THE EDITORIAL BOARD

From Mr Jerzy Fic, Sosnowiec	24
From Mr Tadeusz Riedl, Gdańsk	25
From Director General, Foreign Office, Warsaw	25
From Mr Jerzy Masior, Nowy Sącz	26
From Mr Albin Pietrus, Jasło	27
From the Director of Secretariate of the President of Polish Senate, Warsaw	27
Stan Scheller – Laughter of Lwów in the time of Apocalypse	27
Janusz Ragankiewicz – My considerations	30
Information on the VIIIth ALL-POLISH CHILDREN'S FESTIVAL OF LWÓW SONGS "TA JOJ!" – LESZNO 2000	31
Information on the IInd ALL-POLISH FESTIVAL OF LWÓW AND SOUTH-EAST BORDERLAND POLISH DIALECT "WIELKIE BAŁAKANIE" – WĘGLINIEC 2000	32

CELEBRATIONS AT LWÓW LOVERS' SOCIETY DIVISIONS AND CLUBS

Zbigniew Grata – Xth Borderland recitations at Brzeg	33
Andrzej Michniewski – Opening of Borderland Exhibition in Katowice	34
To the Lwów Eaglets	34
Jan Rawski – Lwów and South-East Borderland Lovers' Society at Tarnobrzeg	35
Mieczysław Kostur – The Vth Evening of Lwów Poems and Songs at Świdwin	36
A letter from Gniezno	36

YESTERDAY, TODAY, TOMORROW

Zbigniew Umański – Borderland diary	37
Józef Dobrowolski – From the Trembowla Extemporaneous Notebook – 1997	41

OBITUARY COLUMN

Stanisław Adamski (1916-1999)	43
Rev. Bishop Antoni Adamiuk (1913-2000)	45
Rev. Prelate Józef Ferensowicz (1915-1999)	45
Michał Koziański (1924-1999)	46
Adam Lewicki (1924-2000)	47
Jerzy Masior – Remember it all of you (a poem)	47
Janina Augustyn-Puziewicz – In memory of Prof. Jerzy Łanowski	48
Recollection of rev. Henryk Mosing, prof. dr of medicine	48
Bronisław Radomski (1922-2000)	51
Jadwiga Sibiga – Our last meeting (a poem)	51

AMONG BOOKS	52
-------------	----

APPEALS	52
Search for missing persons	52

Lista ofiarodawców w m-cu XII/99 i I/2000 r (w zł)

1. Tadeusz Szmyd, Kraków	10.-	23. Anna Biegańska, Zabrze, Cm. Orl. Lw.	100.-
2. Teresa Ernst, Szczecin, Cm. Orl. Lw.	16.-	24. Andrzej Borzemski, Wrocław	112.-
3. Emilia Bilat, Rzeszów	40.-	25. Stefania Kowalińska, Poznań	26.-
4. Irena Łukaszewicz, Bytom	26.-	26. Zofia Bar, Gniezno	16.-
5. Mieczysław Stepkowski, Hrubieszów	36.-	27. Czesława Krocak, Kietrz	20.-
6. Antonina Sawicka, Tarnów Opolski	40.-	28. Krystyna Wojtkowiak, Bierutów	50.-
7. Alicja Kafarska, Warszawa	26.-	29. Józef Wojciechowski, Legnica	30.-
8. Józefa Nowicka, Koźuchów	15.-	30. Mirosław Stokłosa, Kielce, cegielnia na budowę szkoły polskiej we Lwowie	20.-
9. Janina Blum, Wrocław	40.-	31. W. Trojanowska, Tarnobrzeg	100.-
10. TMLiKPW Szczecin, Szkoła nr 13 Szczecin- Wielgowo, Cm. Orl. Lw.	760.-	32. Maria Górka, Białystok	100.-
11. Kazimierz Hrynyk, Gdańsk	76.-	33. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Bydgoszcz, koło środow. Małopols. „Lutnia” Bydgoszcz, kwesta Cm. Orl. Lw.	537.-
12. Stanisław Mossoczy, Bielsko-Biała, Cm. Orl. Lw.	30.-	34. TMLiKPW Lublin – zbiórka prow. przez nauczycieli historii szkoły podst.	2546,24
13. Józef Nycz, Kanada	86,80	35. Maria Żurowska-Gangi, Toruń	10.-
14. Tadeusz Tomkiewicz, Poznań	20.-	36. TMLiKPW Stalowa Wola, Cm. Orl. Lw.	112,03
15. Gabriel Wójcik, Toruń	66.-	37. Joanna Kondracka, Kępno, Cm. Orl. Lw.	100.-
16. J. W. Tomynowie, Warszawa	50.-	38. TMLiKPW Kluczbork, Cm. Orl. Lw. – zbiórka ..	2677.-
17. Stanisława Mokrzycka, Gdańsk	16.-	39. Paulina Sawka, Nysa	20.-
18. W. A. Podoleccy, Kielce, na ochronę zabytków	30.-	40. Mieczysław Pollak, Londyn, Cm. Orl. Lw.	250.-
Pomoc dla Lwowian	46.-	41. TMLiKPW Oleśnica, Cm. Orl. Lw.	100.-
19. Jerzy Wolańczyk, Rokietnica, pomoc charyt.	100.-		
20. TMLiKPW Gniezno, kwesta Cm. Orl. Lw.	326.-		
21. Stanisław Duch, Lublin, Cm. Orl. Lw.	26.-		
22. Mieczysław Dębicki, Warszawa	26.-		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Od Wydawcy

– Rada Fundatorów i Zarząd Fundacji Kresowej SF dziękuje serdecznie za liczne życzenia świąteczne i noworoczne nadesłane pod naszym adresem. Cenimy sobie bardzo pamięć o nas ze Lwowa, Kijowa, Londynu i Kanady.

– Następne podziękowania kierujemy do tych wszystkich ludzi dobrego serca, którzy odpowiedzieli na nasz apel o pomoc świąteczną dla Rodaków ze Lwowa i Stanisławowa. Relację z tej akcji zamieszczamy wewnątrz numeru wraz z listą ofiarodawców (str. 5 i 6).

– Pragniemy również na Święta Wielkanocne pomóc w sposób podobny Polakom za wschodnią granicą. Prosimy przysyłać datki pieniężne pod hasłem „Święcone” na nasze konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111. Uważamy, że jedynym wyrazem pamięci i współczucia dla Ich biedy będzie ofiarowanie tych paru złotych, które tam dla nich bardzo dużo znaczą. Zapewnią Im syte święta i zachowanie tradycyjnego święconego.

– Z okazji sześćdziesiątej rocznicy syberyjskiej gehenny polskich zesłańców z byłych Kresów Wschodnich, oferujemy z serii „Biblioteka Zesłańców” wzruszające książki wspomnieniowe o „nieludzkiej ziemi”. Ceny książek nie przekraczają 10 zł. Polecamy:

„Do Anglii przez Syberię” – Zdzisława Kawecka
 „W Stepach Kazachstanu” – Anna Sobota
 „Niegoda” – Wanda Górka
 „Dosyć mam Sybiru, dosyć Kazachstanu”
 „Zapiski z Gułagu” – Borbert Lippaczy
 „Pod opieką Matki Bożej – Albin Jonacha
 „Więzień P 303 – wspomnienia łagieru” – St. Dakiniewicz
 „Jak piskłęta z gniazd – losy dzieci polskich w II Woj.
 Świat.” – Daniel Bockowski

„W łagrach na caratowskim szlaku” – Leonard Perepeczko
 Wydania wznowione:

„Osada Kościuszkowska na Podolu” – St. Rakowski
 „Katechizm...” – Bełza

Nowości:

„Orzeł Ujarmiony” – St. B. Skowroński
 „Byłam więźniarką NKWD” – Oktawia Grząska
 „Przysmaki Lwowskie” – Krystyna i Tadeusz Krzyżewscy

– Aktualna jest nadal przedpłata w wys. 50 zł na album-przewodnik pt. „Śladami Lwowa i Kresów we Wrocławiu” opracowywany przez Fundację na tysiąclecie Wrocławia. Ta zbiorowa praca ma udokumentować wkład nauki i kultury wniesiony przez Kresowian do Wrocławia po wojnie i rozwijany tu przez ostatnie półwiecze.

– W dalszym ciągu oczekujemy wpłat na prenumeraty naszych stałych pozycji dot. czasopism:

Dwumiesięcznik „Semper Fidelis” 24 zł
 Dwutygodnik „Gazeta Lwowska” 24 zł
 Dwutygodnik „Dziennik Kijowski” 12 zł
 Kwartalnik „Zeszyty Tłumackie” 16 zł

Polecamy tę wielce interesującą lekturę!

Dyrektor
 Fundacji Kresowej „SF”
 Danuta Tabińska-Juhasz